

SWIATY
KONKURS

WSZYSTKO O SKARBACH I PRZYGODZIE

ODKRYWCA

Nr 7 (31)

Lipiec 2001

Rok IV

ISSN 1505-6104

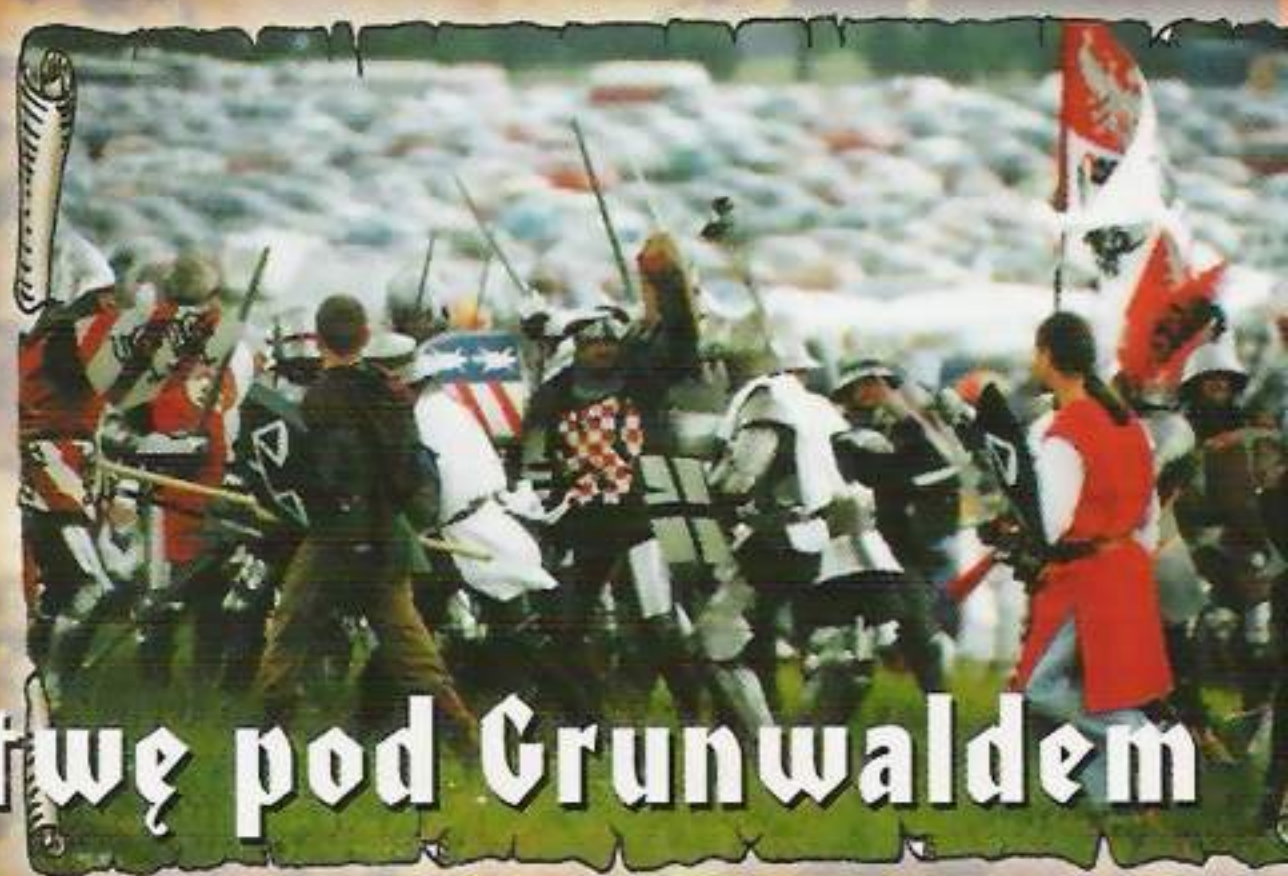
Cena 7 zł

Wraki na dnie Bałtyku

Co odkryliśmy
na dnie jeziora

GRANAT
AGITACYJNY

Militaria,
poszukiwania,
eksploracja



Wyruszamy na bitwę pod Grunwaldem

ISSN 1505-6104



07

Spis treści

Rozmowa str. 4

Dyrektor naukowy muzeum w Malborku Mieczysław Haftka opowiada o okolicznościach poprzedzających bitwę pod Grunwaldem

Nasz raport str. 8

Podwodny skarbiec

Konkurs str. 12

Poszukiwania str. 16

Wydobywamy U-boota

Aktualności str. 21

Skarby z porzuconego pociągu

Wyrok za bezmyślność

Starodruki w niewoli

Kamień niezgody

Polemiki str. 24

Spory wokół ustawy

Wędrowni odkrywcy str. 25

Kraina tysiąca jezior i tysiąca bunkrów

Cienie i blaski średniowiecza str. 29

Ranking szabel

Archeologia str. 33

Lekarze z przeszłości

Terenową na skarby str. 39

Japońska legenda

Poszukiwania str. 40

Zatopiona forteca

Militaria str. 44

Granat agitacyjny

Chrzcziny shermanna

Polemiki str. 45

Wojna od strony kuchni str. 46

Skarby dowódcy

Militaria str. 47

Zapalniki do min niemieckich

Poradnik Odkrywcy str. 48

Listy str. 49

Poszukiwania w internecie str. 54

Giełda str. 56



W te
miejsca
zabieramy
Was
w lipcu

Szczególnie polecamy

Człowiek, który wiedział za dużo

str. 18

Georg Stein widział, jak do Hernau przyjechało osiem ciężarówek, wyladowanych po brzegi dziełami sztuki. Lejtnant hrabia Ungern-Sternberg rozkazał ładunek ukryć w podziemiach bliskiego kościoła. Żołnierze przenieśli 80 skrzyń po 120 kg każda do gotyckich piwnic. W dwa dni potem wioska stała się polem żartowej bitwy i teren został tak przeorany bombami, że trudno zgadnąć, gdzie znajdował się kościół. Wiele lat później Stein poświęcił się odnajdowaniu skarbów bezprawnie wywiezionych podczas wojny do Niemiec. Zginął okrutną śmiercią w niewyjaśnionych do dziś okolicznościach. Jego archiwum kupił baron Falz-Fein i przekazał władzom radzieckim.



O panu, który w środy unikał kobiet

str. 29

Zwycięzca spod Grunwaldu wzbudzał wiele kontrowersji jeszcze za życia. „Ubóstwo umysłowe” i „wybitna inteligencja”, „człowiek pospolity, gnuśny i tępego podejścia” i „jeden z najwybitniejszych monarchów europejskiego średniowiecza” - tylko nieliczne epitety, którymi go określano. Podobno był wojownikiem o łagodnym sercu. Ocalał przecież życie kucharki, która podczas jego oficjalnej wizyty w państwie krzyżackim w 1404 roku oblała go pomyjami. Wielki mistrz Ulrich von Jungingen skazał ją za to na utopienie, chociaż wielu uważało, że zrobiła to na polecenie Krzyżaków.

Pomysłowość ludzka nie zna granic, w poszukiwaniu nowych przygód i doznań amatorzy silnych wrażeń przekraczają kolejne granice i bariery. Złaknieni silnej dawki emocji potrafią szukać rozwiązań, które jeszcze kilka lub kilkanaście lat temu byłyby postrzegane jako czyste szaleństwo. Wielu na miarę własnych potrzeb i możliwości szuka czegoś, co pozwoli zakosztować jedyne w swoim rodzaju połączenia strachu i odwagi. Skoki na bungy, rzucanie się w nurt górskich wodospadów, przeprawianie się przez rwące potoki na pontonie, loty parolotnią - to wszystko wymyślono tylko po to, aby oderwać się od prozy codziennego życia.

Męskie zabawy, czyli wszystko o sportach ekstremalnych

str. 36



ODKRYWCA

Wszystko o skarbach i przygodzie

ISSN 1505-6104

Redakcja

53-014 Wrocław, ul. Turniejowa 21/1
tel./fax (0-71) 339-90-76

Wydawca

"Instytut Badań Historycznych i Krajoznawczych" sp. z o.o.
62-500 Konin, ul. Spółdzielców 3/119

Prezes Zarządu

Magdalena Haber

Dziennikarze

Tel. (0-71) 339-90-43
e-mail: redakcja@odkrywca-online.com

Dział średniowieczny

e-mail: rycerze@odkrywca-online.com

Reklama

e-mail: reklama@odkrywca-online.com

Redaktorka naczelna

Joanna Lamparska
e-mail:
jlamparska@odkrywca-online.com

Zespół

Radosław Biczak, Monika Filipowska,
Beata Pająk

Stale współpracują

Leszek Adamczewski, Krzysztof Bartnik, Tomasz Bienek, Jacek Biesiadka, Jacek Blum, Adam Dobry - Duch, Marek Dudziak, Grzegorz Franczyk, Zbyszko Janiszewski, Sławomir Kordaczuk, Leszek Kotarski, Maciej Kulczyński, Krzysztof Maciejak, Katarzyna Michalak, Zbigniew Miler, Andrzej Olejko, Marcin Osman, Zbigniew Rekuć, Bogusław Stańczuk, Andrzej Urbański, Mariusz Wojciechowski, Lech Zwirello

Strona internetowa

www.odkrywca-online.com

Skład

A.R. "JET"

Druk

Drukarnia PRINT s.c., ul. Stawowa 113,
55-002 Dobrzykowice Wrocławskie
Tel. (071) 318 59 99

Redakcja zastrzega sobie prawo adiacji i skracania tekstów oraz zmiany tytułów. Zastrzegamy sobie także prawo przedruku nadesłanych tekstów i zdjęć w czasopismach współpracujących z "Odkrywcą". Materiałów nie zamówionych nie zwracamy. Nie ponosimy odpowiedzialności za treść ogłoszeń. Nie pośredniczymy w wymianie korespondencji. Przedruki artykułów i kopiowanie zdjęć - wyłącznie za zgodą redakcji.

Zdjęcie na okładce: Marcin Osman. Bitwę pod Grunwaldem fotografował Adam Kamrowski

Szanowni Czytelnicy

Każdy z nas ma w sobie duszę romantyka. Każdy chciałby wierzyć, że tunel, do którego właśnie się dokopuje to przejście, które doprowadzi nas prosto do Berlina, a po drodze spotkamy jeszcze partyzantów, którym nikt nie powiedział, że skończyła się wojna. Ze mną jest podobnie i wcale się tego nie wstydzę. Jednak każda fantazja ma swoje granice, szczególnie wtedy, gdy może zaszkodzić innym. Świetnym przykładem niech będzie jeden z ostatnich programów telewizji TVN "Nie do wiary", poświęcony tym razem podziemnemu kompleksowi Włodarz w Górach Sowich. "Nie do wiary" to program znany i popularny, ale może dlatego, że jego największym atutem jest element zaskoczenia. Bardzo trafny jest natomiast tytuł, po odcinku o Włodarzu można już tylko krzyknąć: nie do wiary! I to z siedemnastoma wykrzyknikami. Cóż bowiem pozostaje, gdy co innego widz ogląda, a co innego słyszy.

Nurkowie wpływają do odkrytej właśnie sztolni i z satysfakcją informują, że pod wodą znajdują się skrzynie. Z jednej z nich wyjęli zardzewiały karabin. Są ostrożni. Wiadomo, że tego miejsca pilnują tzw. strażnicy skarbow, a symboliczny krzyż, który niedawno widzieli, podobno postawiono chłopcu zbyt mało zainteresowanemu tajemnicami tych rejonów. To właśnie kadr z "Nie do wiary". Problem polega na tym, że we Włodarzu nie ma takiej sztolni, karabin trudno tam znaleźć, a krzyż postawiono młodemu mężczyźnie, który zamarzył w górach. Na szczęście podziemia były prawdziwe.

Cieszę się za każdym razem, gdy Dolny Śląsk, z którym jestem związana od dzieciństwa, i na terenie którego wychodzi ODKRYWCA jest telewizyjnym bohaterem. Każdy program, audycja, artykuł sprawiają, że znajdują się nowi informatorzy, że przyjeżdża do nas coraz więcej ludzi. Jednak program TVN poświęcony kompleksowi Włodarz to po prostu jawne nadużycie. Włodarz, w przeciwieństwie do Osówki w Głuszycy i Podziemnych Fabryk Walimia, nie jest udostępniony do zwiedzania. Potężny i tajemniczy, jest również bardzo niebezpieczny. Częściowo zala-

ny Włodarz został dokładnie spenetrowany wiele lat temu, bywały okresy, kiedy było w nim zupełnie sucho i bez żadnego ryzyka penetrowano jego wszystkie zaułki. Nikt nigdy nie trafił tam na żadne ukryte dobra. Tymczasem opowiadanie o jakichkolwiek skrzyniach (czytaj: skarbach) rozbudza wyobraźnię i jestem pewna, że wnet ruszą tam tabuny poszukiwaczy z całej Polski. Samo wejście do Włodarza dla osób nie przygotowanych na trudne warunki może być niezwykle ryzykowne. A już zupełnie niezrozumiałe i w pewien sposób okrutne jest pokazywanie grobu człowieka, który zamarzył, a nie - jak sugeruje telewizja - zbyt mało interesował się przeznaczeniem podziemi. Co natomiast sądzić o sugestiach, że giną bądź znikają ludzie, którzy badali Góry Sowie?

Temat podziemi budowanych w czasie II wojny światowej w Górach Sowich jest sam w sobie na tyle sensacyjny, że nie powinno się go ubarwiać jeszcze kiepskim kryminałem, do tego mało wiarygodnym. Nurkowie z programu znajdowali się pod wodą dłuższy czas. Tymczasem najwięcej wody jest w sztolni nr 1, jej poziom w "najlepszym okresie" sięga od 1,80 do 2 m. Przez większość drogi to miejsce pokonuje się w woderach. Do Włodarza prowadzą trzy wejścia. Wszelkie telewizje, w tym TVN wykorzystują oczywiście to najbardziej niebezpieczne, 40-metrowy szyb, którym ostatecznie można się dostać na dół, ale po co, skoro jest prostsza i nieco bezpieczniejsza droga. Na ogół pojawiają się też sugestie, że to jedyna droga na dół. Czy w takim razie ekipy telewizyjne także wracają nią na powierzchnię? Nie chce mi się w to wierzyć. Wiem natomiast, że wkrótce znajdzie się kilku śmiałków i to wcale nie związanych z eksploracją, którzy "rzucą" się na skrzynie we Włodarzu i to w sensie dosłownym, bo przez 40-metrowy szyb. Resztę do powiedzcie sobie sami.

A tak na koniec... Podziwiam odwagę kolegów z telewizji. Wiadomo przecież, co dzieje się z tymi, którzy zbyt mało interesowali się Górami Sowimi...

Joanna Lamparska

Lato pełne przygód

Błyskawiczny konkurs ODKRYWCY

Skończyłeś 15 lat i nie masz planów na sierpień? Zadzwoń do ODKRYWCY. Razem z nami możesz przeżyć wielką przygodę w "Trzech światach" wśród mazurskich jezior. To rozpoczynający się 3 sierpnia obóz dla tych, którzy chcą sprawdzić swoje możliwości na wodzie, w lesie i wśród skał. Uczestnicy obozu będą uczyć się wspinaczki, budować tratwy i przeprawiać się nimi przez rzekę, poznają również podstawy posługiwania się kompasem oraz czytania map. W programie przewidziano również nocne marsze, biwakowanie poza obozem oraz samodzielne gotowanie. Z tego obozu wrócisz zupełnie odmieniony. Mamy dwuosobowe, bezpłatne zaproszenie na obóz w Małej Rusi koło Ostródy. Ponieważ obóz zaczyna się już za kilka tygodni, tym razem musicie skontaktować się z nami telefonicznie. 16 lipca od godz. 10 do 13 czekamy na Wasze telefony pod naszym wrocławskim numerem telefonu: (0-71) 3399043. Wystarczy odpowiedzieć na jedno proste pytanie:

W której sławnej, polskiej kopalni latano balonem i odbywały się skoki na bungy?

Spośród osób, które prawidłowo odpowiedzą na to pytanie, wylosujemy tę, która wraz z osobą towarzyszącą pojedzie na obóz i powiadomimy ją o tym jeszcze tego samego dnia. Nazwisko zwycięzcy podamy też w kolejnym numerze ODKRYWCY.

Operacja "Grunwald"



W przeddzień rocznicy bitwy pod Grunwaldem i oblężenia Malborka z Mieczysławem Haftką, dyrektorem naukowym Muzeum Zamkowego w Malborku, rozmawia Proteus

- Zwiedzając zamek w Malborku nie sposób zapomnieć obrazu, jaki w naszej pamięci wywarli "Krzyżacy". Dzieło Sienkiewicza na całe dziesięciolecia utrwaliło obraz zmagania z zakonem i wielkiej wojny zakończonej bitwą pod Grunwaldem. Czy jest to obraz prawdziwy?

- Generalnie tak, chociaż autor nie ustrzegł się błędów, a raczej nieścisłości odnośnie liczby wojsk, udziału chłopów - tj. formacji pieszych, czy też uzbrojenia Litwinów i Żmudzinów, którym do rąk włożył maczugi i miedziane miecze. Nieścisłości jest znacznie więcej, lecz nie zaważyły one na realizmie literackiej wizji bitwy. Stanowiła ona istotną, finalną partię powieści. Warto przypomnieć, że Henryk Sienkiewicz aż dwukrotnie, na spotkaniach autorskich w 1900 roku w Krakowie - przed obrazem Matejki "Bitwa pod Grunwaldem" i później we Lwowie, odczytał zebranej publiczności opis bitwy. Pamiętać należy, że był to czas budzenia się uczuć patriotycznych w rozbiorowej Polsce. Była więc okazja do szerokiej dyskusji nie tylko nad losami bohaterów powieści, lecz także nad historycznym aspektem literackiej wizji, tym bardziej że spotkania odbywały

się w miastach, gdzie funkcjonowały uniwersyteckie katedry historii. Sienkiewicz zwykł był bardzo starannie studiować epokę, w której zamierzał umieścić fabułę planowanej powieści. Tak też było z powieścią "Krzyżacy", której pomysł napisania zrodził się w 1892 roku. Sienkiewicz aż cztery lata zbierał materiały, studiując nie tylko dzieła Długosza, lecz także archiwalne dokumenty, nie zapominając o opracowaniach historyków np. K. Szajnoch i innych. Korzystał także z osobistych kontaktów z wybitnym przedstawicielem świata nauki, którym był niewątpliwie Stanisław Smolka. Następne cztery lata zabrało mu pisanie powieści.

- W sienkiewiczowskiej wersji bitwy widzimy szeregi walczących ze sobą do upadłego rycerzy. Czy nie kłóci się to ze średniowiecznym kodeksem toczenia wojen?

- Przebieg bitwy kryje szereg tajemnic. Szczególnie sposób prowadzenia walki jak i taktyka nie zostały z braku źródeł dokładnie zbadane. Należy chyba przychylić się do teorii, że zgodnie z ówczesną sztuką wojenną bitwa składała się z wielu indywidualnych pojedynków między poszczególnymi ryce-

rzami. Zresztą niewielka liczba poległych wśród polskiego rycerstwa, które było przypuszczalnie znakomicie wyszkolone technicznie, zdaje się potwierdzać tę opinię.

- Zarówno Jan Matejko na swoim słynnym obrazie jak i Henryk Sienkiewicz sugerują nam, iż Wielki Mistrz poległ przebitą litewską włócznią. Czy tak mogło być w rzeczywistości?

- Wszystko wskazuje na to, iż Ulryk von Jungingen poległ z ręki Mszczuja ze Skrzynna, rycerza pełniącego funkcję przedchorągiewnego w królewskiej chorągwi nadwornej. W ostatniej fazie bitwy właśnie ta chorągiew starła się z hufcem zakonnym dowodzonym osobiście przez Wielkiego Mistrza. Po bitwie giermek Mszczuja o imieniu Jurga zdjął z zabitego złoty napierśnik, tzw. jakę, przypuszczalnie także zbroję i oddał je swojemu rycerzowi. Zgodnie z ówczesnym prawem zwyczajowym po bitwie giermkowie i inni podwładni rycerza szli "jego szlakiem bojowym" i zbierali łupy, które przynależały się ich panu. W przypadku Wielkiego Mistrza rycerz nie zatrzymał bogatego stroju, gdyż zdawał sobie zapewne sprawę, kto legł z jego ręki, ale oddał go królowi. Złoty pectoral

"pełen świętych relikwii" Władysław Jagiełło przekazał do skarbcza kapituły gnieźnieńskiej, gdzie był przechowywany do połowy XIX w. Natomiast jaka została podarowana kościołowi w Kijach w sandomierskim, a z tej właśnie ziemi pochodził Mszczuj.

- Jaką wartość mógł mieć taki napierśnik?

- Można przypuszczać, że ową jakę, jak wskazują rachunki krzyżackie zakupiono w 1408 roku. W tym właśnie czasie wydatkowano 30 grzywien na dwie pary tzw. krzyży Ordenskreuz przysługujących tylko Wielkiemu Mistrzowi. Czy stanowiły one później część stroju, trudno dziś rozstrzygnąć.

- Czy dziś na polach pod Grunwaldem można jeszcze odnaleźć części uzbrojenia lub ubioru uczestników bitwy?

- Raczej nie. Prowadzono kilka lat temu badania na tym obszarze i pomimo zdjęcia na znacznej powierzchni wierzchniej warstwy ziemi nie znaleziono nic prócz drobnych skrawków metalu. Należy pamiętać, że uzbrojenie i ubiór w owych czasach stanowiły wielką wartość, nic więc dziwnego, że na polu bitwy nie pozostawało nic cennego i raczej nie kierowano się skrupułami przy ograbianiu ciał poległych.

- Ale przecież bitwa to wielki finał wojny, wróćmy więc może do przygotowań, które musiały towarzyszyć tak ważnej wyprawie.

- W powieści Sienkiewicza brakuje wielu realiów historycznych. Myślę tu przede wszystkim o przygotowaniach do wielkiej wojny. Wprawdzie autor zamieścił akapit o przygotowaniach, lecz na małą skalę, w ramach pocztu rycerzy z Bogdańca i ich sąsiadów. W rzeczywistości przygotowania do walnej rozprawy zbrojnej z Zakonem trwały znacznie dłużej niż jeden rok. Otóż, śledząc politykę Władysława Jagiełły, można stwierdzić, że do wojny z Zakonem król przygotowywał się od momentu wstąpienia na tron Litwy w 1377 r. i Polski w 1386 r. Zaprzysiągł bowiem Polakom, że odzyska dawniej stracone ziemie Korony. Od unii w Krewie zmalały jego zainteresowania ziemiami ruskimi na rzecz polityki zachodniej, głównie stosunków polsko-krzyżackich. Mądry król wiedział, że z tej strony grozi Polsce i Litwie największe niebezpieczeństwo. Znał i rozumiał uwarunkowania polityczne w Europie, a także miał świadomość ogromu kosztów ewentualnej wojny. W związku z tym do tego przedsięwzięcia przez długie lata trzeba było przygotowywać państwo. Od pewnego czasu obydwie strony narastającego konfliktu dążyły do starcia zbrojnego. Jednak Jagiełło jako neofita nie mógł wypowiedzieć wojny korporacji kościelnej, bezpośrednio zależnej od papieża, mającej szerokie poparcie sfer rządzących w Europie, jaką był Zakon Krzyżacki. Toteż poprzez odpowiednią politykę sprowokował wypowiedzenie wojny

przez Ulryka von Jungingen. Pierwsza faza wielkiej wojny w 1409 roku zakończyła się rozejmem, ponieważ obydwie strony, a głównie Polska i Litwa, nie były w pełni gotowe do prowadzenia działań militarnych na szeroką skalę z udziałem niemalże wszystkich sił zbrojnych. Przerwę w działaniach przeciwnicy wykorzystywali na intensywne przygotowania, opracowanie strategii, a zwłaszcza na przedstawienie drogą dyplomatyczną swoich racji na dworach europejskich. Trudno jednoznacznie rozstrzygnąć, kiedy król i jego najbliższe otoczenie wypracowali strategię i plan logistyczny kampanii 1410 roku. W literaturze historycznej przeważają głosy, za Długoszem, że wszystkie te sprawy zostały omówione podczas narady w Brześciu nad Bugiem, na początku grudnia 1409 roku. Tymczasem skład osobowy narady - król, Wielki Książę Witold i podkanclerzy, arcybiskup Mikołaj Trąba - zdaje się wskazywać, że owo spotkanie miało raczej charakter polityczny, a nie ściśle wojskowy. Warto także przypomnieć o obecności w tym samym czasie w Brześciu chana Tatarów Krymskich, którego proszono o pomoc wojskową. Była to więc narada partnerska, gdyż jak pisze J. Długosz: "Tam też układają się, którego dnia i w jakim miejscu, zgromadzą się wojska polskie i litewskie i w jaki sposób przeprawią się przez Wisłę". Narad tego typu, a także ściśle wojskowych, jak informuje Długosz, było znacznie więcej. Król zwykł wysłuchiwać rad zarówno biegłych w dyplomacji, jak i rycerzy znających się na sztuce wojennej. Niemniej jednak pewne decyzje o charakterze organizacyjnym zapadały w Brześciu i to zapewne z inwencji króla, który był nie tylko znakomitym politykiem, lecz także znawcą zagadnień wojskowych, posiadającym umiejętności łączenia tradycyjnych doświadczeń nabytych od ojca, księcia Olgierda, z nowościami techniki wojskowej, a także nowoczesnej strategii i dowodzenia. Jagiełło, jako następca tronu, od wczesnych młodzieńczych lat brał czynny udział w licznych wyprawach swojego ojca. Miał więc okazję poznać sztukę wojowania w wydaniu wschodnim i zachodnim. Trzeba pamiętać, że Litwa położona na styku dwu odrębnych stref kulturowych mogła przy-

swajać i wdrażać u siebie wszelkie innowacje z obu stron. O rok wcześniej niż w Polsce na Litwie użyto broni palnej. Stryj Jagiełły Kiejstut już w roku 1382 podczas odwetowej wyprawy przeciwko Krzyżakom użył dział, z których ostrzelał kamieniami kulami grody przeciwnika. Dwa lata później Jagiełło zorganizował udane oblężenie zakonnego umocnienia Neu Marienwerder, wzniesionego przez Krzyżaków obok zniszczonego zamku litewskiego w Kownie. Oblężenie trwało dwa miesiące i pomimo silnej odsieczy, przeprowadzonej przez marszałka zakonu Konrada Wallenroda, zamek po licznych szturmach został zdobyty. Książęta litewscy - łącznie 11, w tym Skirgiełło i Witold pod wodzą Jagiełły, skierowali przeciwko krzyżackiej twierdzy liczne działa, ustawili maszyny oblężnicze i zastosowali podkop, czym zadziwili i zdobyli uznanie biegłych w sztuce wojennej Krzyżaków. Zbudowali także mosty przez Niemen, który w Kownie ma szerokość koryta niewiele mniejszą, niż Wisła pod Czerwińskiem.

Wielki Mistrz niesiony do stóp zwycięskiego króla Jagiełły. Scena z rekonstrukcji bitwy pod Grunwaldem w 2000 roku



- Rysuje Pan obraz Jagiełły jako wybitnego stratega i dyplomaty, a przecież w opinii wielu historyków z Długoszem na czele miał być niepiśmiennym przybyszem z dzikiej Litwy?

- Dalsze osiągnięcia Jagiełły zdają się świadczyć, że posiadał duże doświadczenie zarówno polityczne, jak i wojskowe. Przecież jego długie, prawie półwieczne panowanie nie było pozbawione trudnych problemów, a jednak król przetrwał wszystkie "burze i czarne chmury" wiszące nad jego państwem i rodziną. Jego politykę charakteryzuje spokój i rozważne w odpowiednim czasie działanie. Król miał niewątpliwie duże poczucie realizmu, umiejętność jasnej oceny sytuacji, chłodnej kalkulacji, cierpliwość, elastyczność, a przede wszystkim konsekwencję w polityce i realizacji zamierzeń. W konsekwencji główni wrogowie Polski, Krzyżacy i Zygmunt Luksemburski, musieli z czasem stonować swój agresywny stosunek do państwa Jagiełły. Nie mógł tego dokonać "niepiśmienny król z dalekiej Litwy", nie przygotowany do sprawowania władzy. Wszystko zdaje się wskazywać, że Władysław Jagiełło otrzymał w młodości staranne wychowanie, przygotowanie i wykształcenie, którego nie eksponował w prostym, zwykłym, bez wyniosłości życiu codziennym. Mógł nie znać, przybywając do Krakowa, obowiązującej w dyplomacji świata zachodniego łaciny i dlatego uznano go za niepiśmiennego. Z całą pewnością znał język ruski, a następnie opanował język polski. Ruskim prawdopodobnie posługiwał się także w piśmie. Większość swoich cech osobistych, obyczaj dnia codziennego, doświadczenie polityczne i wojskowe, Jagiełło odziedziczył po swoim ojcu Olgierdzie, który po klęsce nad rzeką Strawą, jakiej doznał od Krzyżaków w 1348 roku, dostrzegł konieczność trwałego zbliżenia Litwy do Polski. Ojcowską perspektywiczną myśl polityczną zrealizował Jagiełło.

- Jak zatem przebiegały przygotowania do wielkiej wojny?

- Musimy wrócić do przełomu lat 1409 i 1410, kiedy już dojrzała u króla decyzja o rozprawie zbrojnej z zakonem. Według relacji Długosza: "Król Polski Władysław, zważywszy, że nie została żadna nadzieja na zachowanie pokoju z Krzyżakami, rozesał listy i wici i nakazał wszystkim panom, rycerzom i poddanym swojego Królestwa Polskiego i podległych mu ziem, by chwyciwszy za broń do Prus przeciwko Krzyżakom". Wcześniej, jeszcze w Brześciu, ustalił zadania kampanii letniej 1410 roku, kierunek marszu głównych sił, pozorne ruchy wokół granic zakonu innych wojsk w celu dezorientowania przeciwnika, termin i miejsca koncentracji oraz sposób przeprawy armii przez Wisłę na terytorium wroga. Nakazał także przygotowania w całym państwie, między innymi zorganizowania polowań, w których osobiście brał udział, zgromadzenie

pozyskanego mięsa w centralnym magazynie wojskowym w Płocku i zbudowanie mostu łódzowego. Było to ogromne przedsięwzięcie logistyczne, które miało zdecydowany wpływ na końcowy wynik kampanii letniej 1410 roku i dlatego uznane przez historyków wojskowości za absolutnie nowatorskie, nieznane i niestosowane do tej pory w Europie. Należy także zwrócić uwagę na kilka, tylko pozornie prostych, łatwych spraw organizacyjno-technicznych. Mam tu na myśli przede wszystkim budowę mostu przez Wisłę i organizację marszu tak wielkiej armii, która potrafiła jednego dnia pokonać ponad 40 kilometrów. Most na koszt skarbu królewskiego budował przez całą zimę 1409/1410 w Kozienicach mistrz ciesielski o imieniu Jarosław. Nadzór nad supertajną budową sprawował miejscowy starosta radomski Dobrogost Czarny z Odrzywołu. Według ustaleń R.H. Bochenka, most składał się ze 168 łodzi płaskodennych. Każda z nich miała długość 5 m, szerokość 1,5 m i wysokość 1 m, a wszystkie były połączone drewnianymi przesłami o długości 6 m. Było to duże zadanie techniczne, którego najważniejszym momentem był sposób łączenia poszczególnych części. Musiał on być niezwykle prosty, aby most był gotowy do powtórnego ustawienia w Płocku, gdy armia będzie powracała. Budowa mostów nie była nowością w sztuce wojennej średniowiecza. Stawiali je Polacy, Litwini, a także Krzyżacy. Natomiast konstrukcję łódziową, przeznaczoną do celów wojskowych, stawianą po raz pierwszy w tej części Europy, znamy jedynie z literatury fachowej z początku XV w. Także Krzyżacy byli biegli w budowie przepraw, wystarczy nadmienić, że właśnie w 1410 roku w pobliżu zamku w Bratianie w ciągu jednej nocy, ustawili aż 12 mostów w celu przeprowadzenia wojsk przez Drwęcę. Drugą bardzo ważną sprawą była organizacja marszu armii. Długosz wyraźnie pisze, że: "... całe wojsko królewskie szło nim (tj. mostem - przyp. red.) w ustalonym porządku czterokonnymi wozami, mnóstwem armat, masą żywności i innych bagaży". Porządku podczas przeprawy pilnował wyznaczony przez króla "najlepszy oddział zbrojnych rycerzy". Król prowadził na wyprawę armię liczącą łącznie około 31 tysięcy zbrojnych, głównie konnicy, nie licząc taborów, które zawsze były obciążeniem dla sił uderzeniowych. Nie ustalono dokładnie wielkości taborów, składających się z wozów państwowych, w których wieziono żywność, działa, kule, proch, maszyny oblężnicze, sprzęt obozowy, zaplecze medyczne oraz wozów rycerskich. Oblicza się, że na jeden wóz przypadało około 5-6 rycerzy, nie licząc służby. Gdyby przyjąć taki szacunek, to armia Jagiełły ciągnęłaby za sobą ponad 5 000 wozów wzdłuż trasy pochodu na przestrzeni co najmniej 40 kilometrów. Jak więc dowodzić tak rozciągniętą armią, bez telefonu i łączności radiowej?

- Więc jak tego dokonał Jagiełło?

- W średniowieczu potrafiono jednak manewrować taborami, pozostawiając je czasowo na osi marszu, albo wyprawiając z obozów wcześniej tak, aby nie opóźniały ruchu wojsk. Ważną sprawą była łączność i dyscyplina. Wydany został rozkaz królewski, "by nikt nie odważył się wyjść z szeregów zanim marszałek Królestwa Polskiego, Zbigniew z Brzezia nie wystąpił z mniejszym sztandarem królewskim, czyli proporcem, nadto by wszyscy szli za nim i by nikt nie ważył się go wyprzedzić". Opracowano sygnały głosowe - trąby i wzrokowe - ruchy chorągwiami, posługiwano się zwiadem, który dostarczał nie tylko wiadomości o przeciwniku, lecz danych o drodze planowanego marszu, o warunkach do rozbicia obozów, a także o zasobach wody, paszy dla koni i drewna.

- Czy nie obawiano się nagłego ataku podczas marszu?

- Oczywiście, armia posiadała ubezpieczenie, które tworzyły specjalne oddziały współpracujące ze zwiadem. Wszystko wskazuje na to, że w wytyczeniu kierunku i podczas marszu posługiwano się mapą, a przede wszystkim licznymi przewodnikami, którzy znali teren Prus Zakonnych.

Reasumując trzeba stwierdzić, że wyprawa pod Grunwald, a następnie pod Malbork była ogromnym wysiłkiem organizacyjnym króla i całego zdyscyplinowanego rycerstwa.

- Przejdźmy do samej bitwy. Podobno wbrew literackiemu obrazowi nie użyto po obu stronach całych sił?

- Niezwykle rzadko zdarza się, że naczelnny wódz rzuca w jednym kierunku wszystkie swoje siły. Tak było również w okresie mobilizacji krzyżackiej w 1410 roku. W zgromadzeniu armii krzyżackiej zabrakło szeregu jednostek, a to z powodu ruchów wojsk polsko-litewskich wokół granic państwa krzyżackiego. Wielki Mistrz sądził, że główne uderzenie wojsk polskich skupi się na kierunku pomorskim. Działan litewskich zaś spodziewał się od strony Żmudzi i północno-wschodnich rubieży państwa. Zgodnie z tym założeniem, nastąpiło zgromadzenie głównych wojsk pod Świeciem, a terenów Nowej Monarchii miał bronić tamtejszy wójt Michał Kūchmeister - późniejszy Wielki Mistrz, zaś Kresy Wschodnie miały ochraniać załogi tamtejszych zamków. Gdy jednak wywiad krzyżacki dostarczył więcej szczegółów polskiego planu operacyjnego, wówczas Wielki Mistrz zmienił plan obronny, koncentrując całą uwagę na linii Drwęcy, zwłaszcza w rejonie Kurzętnika, gdzie funkcjonowała dogodna przeprawa. Było to posunięcie słuszne, bowiem jak wiadomo to miejsce leżało na kierunku marszu sprzymierzonych wojsk. Zmusiło to jednak Krzyżaków do nowego podziału armii. Gdy armia zakonna przesunęła się pod Kurzętnik, w Świeciu pozostał z silnym oddziałem miejscowy komtur Henryk von Plauen (późniejszy Wielki Mistrz).

O zwycięstwie pod Grunwaldem zdecydował fortel króla Władysława Jagiełły, który „na wabia” wystawił do boju małą chorągiew, ukrywając całe wojsko w pobliskim lesie



Dwa nagie miecze Ulryka von Jungingena

Bitwa była momentem zwrotnym toczonych w latach 1386 - 1435, czyli - z przerwami praktycznie pół wieku - zmagania Polski i Litwy z Zakonem Krzyżackim. Ten niewyobrażalnie długi czas walk można podzielić na dwie części. W czasie "przed Wielką Bitwą" (1386 - 1409) obydwie strony stawały zbrojnie na terenach Żmudzi i Litwy, tocząc jednocześnie walkę polityczną na forum międzynarodowym. Po formalnym i pisemnym wypowiedzeniu "uderzenia na Polskę" przez Ulryka von Jungingena w 1409 roku państwa sprzymierzone państwa walczyły z Krzyżakami już oficjalnie i krwawo.

Co przyczyniło się do przeważenia szali zwycięstwa na stronę Jagiełły akurat po pamiętnej bitwie w roku 1410? Do tego czasu Krzyżacy zupełnie nie brali pod uwagę niebezpieczeństw wynikających z możliwości wybuchu wojny z Polską i państwami sprzymierzonymi. Zakon popełniał błędy w realizowanej polityce tworzenia własnej potęgi terytorialno-majątkowej, nie doceniał zmian polityczno-gospodarczych zachodzących na terenach Polski i Litwy, dodatkowo wysoce niedyplomatycznym zachowaniem Krzyżacy powiększali już i tak szerokie grono "cichych wrogów". Dodatkowo w coraz bardziej napiętej atmosferze i przy nieustannej groźbie wojny rozpraszali siły na sprawy mniejszej wagi - na przykład podsycając intrygi książąt litewskich. Wnikliwymi obserwatorami potknięć Zakonu byli król Władysław Jagiełło oraz władca Księstwa Litewskiego - Witold. Natomiast wyboru miejsca sławnej potyczki dokonał Wielki Mistrz i pomimo jego zachodnio-rycerskiego wykształcenia wojskowego nie można z całym przekonaniem stwierdzić, że wybrał bezbłędnie,

gwarantując tym samym wygraną Krzyżaków

Kiedy wojska polsko-litewsko-ruskie dotarły w okolice wsi Grunwald, Łodwigowo i Stębark, okazało się, że "(...) Teren jest pofałdowany, o wzgórzach ponad 200 metrów, z przeważnie łagodnym spadkiem, przedzielony dość rozległymi dolinkami (...)" i tak samo trudny dla obu walczących stron, chociaż "dobry do zasadzek i zaskoczeń". Zróżnicowanie terenu nie przeszkodziło Jagielle w szybkim podjęciu taktycznych decyzji, aby "rozstawić wojska na równinie jakiegoś pola pomiędzy dwoma gajami", zwracając przy tym trzy godziny z rozpoczęciem jakichkolwiek działań. Mimo że zamierzeniem każdej ze stron była wygrana, od pierwszych decyzji taktycznych przez rozstawienie wojsk, aż do ostatecznego starcia uwidoczniły się różnice w przyjętej

strategii, doświadczeniach wojennych czy nawet temperamencie dowódców i samych walczących. Strona krzyżacka przodowała w inwencji zaskakiwania wojsk wroga, bardziej w celu krzyżowania planów Jagiełły niż konsekwencji taktycznych (ciężkozbrojna jazda, zamaskowane pułapki, nagłe zwroty ataków). Natomiast król Władysław Jagiełło z premiedytacją wdrażał przemyślane założenia strategiczne: "aby skupić możliwie największą siłę w wyznaczonym miejscu i koncentrycznie zmieść wroga z powierzchni ziemi" (zgodnie z taktyką bojową wschodnią i mongolską), przy czym

o losach walki przesądziła zwykła pułapka

Jagiełło wystawił małą chorągiew "na wabia", resztę wojska ukrywając w pobliskim lesie. Zgodnie z oczekiwaniem Wielki Mistrz zdecydował poprowadzić atak swoich 16 chorągwi właśnie w miejscu "wolnym od większych oddziałów polskich" i ... w finale walki Jagiełło miał powiedzieć, widząc przed sobą ciało Wielkiego Mistrza: "oto jest ten, który jeszcze dziś rano mniemał się być wyższym nad wszystkie mocarstwa świata". Oryginalny przebieg bitwy nie do końca wyglądał jak w "Krzyżakach" Sienkiewicza. Współcześni historycy obalają powszechną opinię, że bitwa "toczyła się w jednej, niezbyt wielkiej dolinie (...)" i wyglądała jak jednoczesne uderzenie dwu prostokątów wojska" (wg Długosza). Jagiełło faktycznie stał na niewielkim wzgórzu, ale całej bitwy nie widział, kontrolując wojska prawego i lewego skrzydła przez gońców. Walka toczyła się w wielu miejscach, niejednocześnie oraz wymagała od dowódców podejmowania nagłych i pewnych decyzji. Współczesna analiza poszczególnych posunięć bojowych wykazała podział całej potyczki na pięć faz, siedem lub osiem częściowych bitew toczonych niezależnie, przy czym całość zmagania trwała się mniej więcej od godziny dziewiątej do dwunastej. Jak by nie badać bitwa była trudna, ale najważniejsze, że wygrana dla zjednoczonych wojsk polsko-litewsko-ruskich, które konsekwentnie realizowały rozkazy dowódców. O zwycięstwie zdecydowały też trafne obliczenia strategiczne króla Władysława Jagiełły.

Błażej Piłatowski vel Piłatowicz

Stowarzyszenie "Bitwa pod Grunwaldem"

Na podstawie książki Stefana M. Kuczyńskiego Bitwa pod Grunwaldem, wydawnictwo "Śląsk", Katowice 1985

by powstrzymać ataki zgrupowania Macieja z Wąsoszy. Warto przypomnieć, że zręczne działania dyplomatyczne Sprzymierzonych uniemożliwiały udział w wojnie wojsk Zakonu Inflanckiego. Wykorzystano tu wewnętrzne animozje i zawarto rozejm z Inflantczykami, na mocy którego ich siły miały prawo wyruszać przeciwko Litwie po upływie trzech miesięcy, tj. 24 września 1410 roku. Był to niewątpliwie wielki sukces, który umożliwił udział armii litewskiej w Wielkiej Wojnie.

- W bitwie pod Grunwaldem rycerze polscy i litewscy szczególnie "polowali" na braci zakonnych rozpoznawanych po białych płaszczach. Gdy zrzucali płaszcze w ucieczce, poznawano ich po charakterystycznie przyszytych brodach. Po bitwie król kazał odesłać ciała wrogów, zakonserwowane w soli, do Malborka. Jaki cel mogło mieć takie postępowanie?

- Dziś można powiedzieć - propagandowy, ale w ówczesnej rycerskiej obyczajowości wynikało to z szacunku dla pokonanego przeciwnika, a także zasad religijnych. Odesłanie ciała Wielkiego Mistrza i innych dostojników zakonnych do Malborka odebrano w Europie jako akt rycerskości.

- Po bitwie wojska sprzymierzonych ruszyły pod Malbork. Wydawałoby się, że po wygranej na polach Malborka nie powinny mieć problemów ze zdobyciem zamku, tak się jednak nie stało.

- Sprawa jest niezwykle złożona i właściwie z braku źródeł nie do wyjaśnienia. Trudno bowiem osądzać postępowanie króla wyłącznie przez pryzmat relacji Długosza. Moim zdaniem, była wyłącznie jedna możliwość zdobycia zamku malborskiego, tj. bezpośrednio po bitwie. Wystarczyło wysłać mniej zmęczone oddziały, bowiem zamek był słabo broniony. Zabrakło w tym momencie, najprawdopodobniej, woli politycznej. Dalej zaprzepaszczone okazje wytykane królowi przez Długosza, były nierealne. Atak na zamek w 1410 roku był możliwy, lecz należało się liczyć z dużymi stratami w ludziach. Dlatego Jagiełło, po dokonaniu rozpoznania, stworzył wokół zamku linię frontu, którą tworzyły stanowiska dział. Król liczył na presję kul i nie zdecydował się na generalny szturm. W miarę przedłużania się oblężenia zmiana na korzyść Krzyżaków uległa zwłaszcza sytuacja polityczna. Jagiełło nie chciał wojny na kilku frontach, a taka groziła Polsce we wrześniu 1410 roku. Nadto nie chciał zapewne całkowitej likwidacji Zakonu Krzyżackiego, gdyż wtedy straciłaby sens Unia Polsko-Litewska. A on mógłby stracić koronę.

- Dziękuję za rozmowę.

Zdjęcia: Proteus,
Błażej Piłatowski

O życiu prywatnym króla Władysława Jagiełły czytacie na str. 49

Tajemnicze znalezisko rozerwało sieci i ponownie wpadło do morza. Rybacy zdążyli ujrzeć cynowe i miedziane naczynia, ceramikę oraz książki. Jedna z nich otworzyła się, gubiąc wszystkie kartki. Na szczęście w sieciach zostały okładziny. Rybacy przekazali je do muzeum i tam ustalono, że zahaczyli prawdopodobnie o część rufową XVII-wiecznego wraku

Podwodny skarbiec

Wraki Bałtyku przyciągają coraz większą rzeszę amatorów. Lokalizacja niektórych znana jest od lat, inne nadal czekają na swoich odkrywców. Jednak turystyka wrakowa niesie ze sobą zagrożenia nie tylko dla samych nurków, ale również dla wraków. Rządowy projekt znowelizowanej ustawy o ochronie dóbr kultury i dziedzictwa narodowego stara się uregulować "kwestię bałtycką". Jednak same przepisy nie załatwią wszystkiego, a nurkowie w większości są zgodni - wraki trzeba chronić przed... nurkami.

- W Polsce wiele spraw powinno zostać uregulowanych - uważa Aleksander Ostasz, wydawca magazynu "Nurkowanie". - Jako państwo cały czas jesteśmy na etapie przekształceń i niewątpliwie są ważniejsze sprawy. O nowej ustawie słyszy się od dawna, ale trudno powiedzieć jak będzie wyglądała w ostatecznej wersji. Inna sprawa, że ustawa to jedno, a jej interpretacja i przestrzeganie to zupełnie inna bajka. Jak będzie - czas pokaże. Mam tylko nadzieję, że projekt konsultowano z jakimiś autorytetami, gdyż - jak przynajmniej mnie uczy doświadczenie, jeśli zrobili to sami urzędnicy nie będą to rozwiązania najlepsze.

Sam temat nurkowania na wrakach jest bardzo kontrowersyjny. Przecież niemal każda katastrofa morska wiąże się z ludzkim cierpieniem i śmiercią. Wrakom towarzyszy specyficzna atmosfera, a nurkując, oprócz samego oglądania staramy się także poznać i zrozumieć przyczyny tragedii. Filmujemy wraki i robimy zdjęcia, ale smutne jest, że wielu ludzi stara się odkręcić chociażby najmniejszą śrubkę - "na pamiątkę". Tego procederu nie sposób całkowicie wyplenić i same przepisy sprawy nie załatwią. Należy większy nacisk położyć na edukację. Powinny być wyznaczone jednostki, które będą woziły na wraki, któ-

re nie stanowią zagrożenia i nie przedstawiają wartości kulturowej. W niektórych krajach śródziemnomorskich, w trosce o ochronę wraków antycznych, wprowadzono całkowity zakaz wchodzenia do wody w miejscach, gdzie występują. Jednak często można nurkować w towarzystwie upoważnionego przewodnika, który nadzoruje, żeby niczego nie dotykać, nie mówiąc już o wyciąganiu. Wszyscy, którzy nie stosują się do przepisów są narażeni na drakońskie kary, z których konfiskata sprzętu nurkowego jest jedną z łagodniejszych. Nie wyobrażam sobie, żeby w Polsce został wydany całkowity zakaz nurkowania na wraki. To na pewno nie byłoby rozwiązanie.

Zakazów nie lubi nikt i nie inaczej jest z nurkami. Większość z nich krytykuje

zakaz nurkowania na wrak "Wilhelma Gustloff"

który wprowadzono na prośbę strony niemieckiej. Niemcy uznają Gustloff za zbiorową mogiłę przeszło 5000 osób i nie życzą sobie zakłócania spokoju zmarłych. Polacy jako kontrargument podają przykład polskiego promu "Jan Heweliusz", na który Niemcy organizują oficjalne wyprawy, w których niemal

każdy może wziąć udział. Przypomina się także zamieszanie spowodowane rzekomym grabieżnictwem Heweliusza przez nurków, którzy pili alkohol pochodzący z baru promu. Rodzimi nurkowie przyznają, że w pierwszych miesiącach po tragedii zapewne dochodziło do takich sytuacji. Zwracają jednak uwagę, że nikt nie narobił hałasu, gdy w burtach Heweliusza wycięto potężne otwory i wydobyto stojące w nim TIR-y. Tego nie mogli zrobić amatorzy, tylko doskonale zorganizowani zawodowcy. Na pewno sprawę Heweliusza należy rozpatrywać pod nieco innym kątem niż nurkowania na starszych wrakach, z których część objęta jest ochroną konserwatorską. Tylko czy fakt, że statek zatonął 10 lub 20 lat temu i nie jest zabójstwem upoważnia do pozyskiwania z niego różnych elementów?

Iwona Pomian z Centralnego Muzeum Morskiego w Gdańsku jest przekonana, że rozkradanie wraków najwięcej szkody przynosi samym nurkom. Nurkowanie w poszukiwaniu zatopionych statków jest wspaniałym zajęciem godnym wspierania.

- Nasze muzeum ma wiele kontaktów w środowisku nurkowym, w którym są osoby i grupy, którym staramy się pomagać w organizacji wypraw na wraki. Jednak nie może być tak, że nurkowanie sprowadza się do wyciągania z wraku tak zwanych fantów. Nie chodzi już tylko o rozpatrywanie tych przedmiotów w kategoriach dóbr kultury, bo część wraków jest współczesna i w danym momencie nie stanowi wartości kulturowej. Jednak po pierwsze jest to czyjeś mienie, a po drugie огоłocone z wszystkich elementów wraki, które są dostępne dla przeciętnego nurka, stają się puste i nudne. Ostatnio poinformowano mnie, że z Helu

organizowane są złodziejskie wyprawy na wraki

Przez kilka ostatnich lat starałam się nie ingerować w sprawy tego typu, ale prośba o interwencję wyszła ze środowiska nurkowego. Dlatego poprosiłam Urząd Morski o pomoc. Zostało wystosowane pismo do kapitanatów portów w Helu i Władysławowie oraz do Straży Granicznej, w którym U.M. informuje o procedurze okradania wraków i zwraca się z prośbą o wszczęcie kontroli na jednostkach, które wożą nurków. Umówiłam się z kolegami nurkami, że sprawdzimy, czy przypadkiem nie skończy się tylko na piśmie. Znajomi w tym rejonie nurkują, dlatego będziemy wiedzieli, czy kontrole rzeczywiście się odbywają. Jeżeli nie, to ponownie poproszę U.M. o interwencję. Wcześniej już się zdarzało, że dla świętego spokoju wychodziło pismo, którego później nikt nie respektował. Inna sprawa, że niektóre z nich były zupełnie nie przemyślane. Absurdalne jest zabranianie ludziom nurkowania w morzu. Nie sztuką jest ogranicze-

Wielu nurków jest zafascynowanych penetrowaniem wraków



nie dostępu do morza. Należy w zręczny sposób ukierunkować nurków tak, żeby ich działania przynosiły obopólne korzyści. Najbardziej cieszy fakt, że skalę zjawiska dostrzegają sami nurkowie. W wielu klubach w trakcie szkoleń pojawiają się hasła, że nie należy zubażać wraków, podobnie jak nie można niszczyć na przykład raf koralowych. Oczywiście zawsze zostanie grupa ludzi, których w żaden sposób nie da się uświadomić i dla nich potrzebne są przepisy, ale realne, możliwe do wdrożenia i egzekwowania. A z regulacjami prawnymi bywa różnie, czego najlepszym przykładem jest brak jednolitego prawa międzynarodowego dotyczącego ochrony podwodnych dóbr kultury. Większość krajów jest zgodnych, że obiekty pochodzące z przed 1945 r. powinny być chronione obligatoryjnie i winny podlegać jurysdykcji państwa, na którego wodach się znajdują. Jednak problem stanowią wraki jednostek wojennych. W prawie morskim widnieje przepis, że własność do wraku okrętu zachowuje państwo flagowe. Innymi słowy, jeżeli

w rejonie Helu znajduje się wrak U-boota

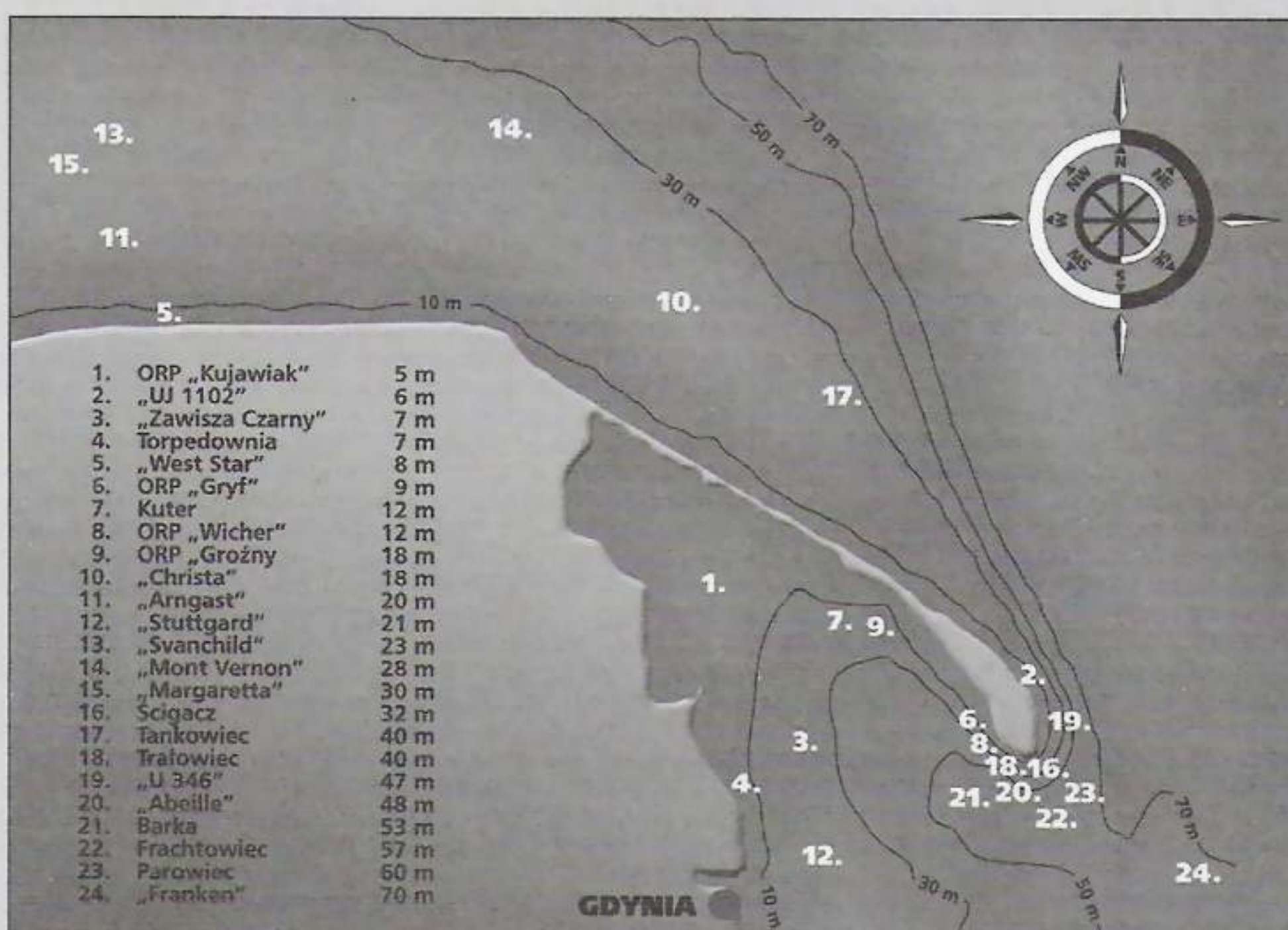
który był wojenną jednostką niemiecką - pozostaje własnością obecnego państwa niemieckiego, które odziedziczyło wrak po III Rzeszy. Wrak szwedzkiego "Solena" stanowi własność rządu szwedzkiego, który zachował prawa do wydobytych z niego zabytków. Jest propozycja, żeby zachować ten przepis, ale trochę go znowelizować. Polegałoby to na tym, że jeśli w wodach terytorialnych danego państwa znajdzie się wrak okrętu, który flagowo przynależy do innego państwa, to informowałoby się kraj, do którego jednostka należy o odkryciu i wspólnie prowadziło prace. Wydobyte zabytki zostałyby w kraju, w którego wodach zostały znalezione, ale istniałaby możliwość udostępnienia ich państwu, do którego należał okręt. Jest to jedna z propozycji, ale bardzo rozsądna. Tymczasem trwają prace nad konwencją UNESCO o ochronie podwodnych dóbr kultury, która miała zostać podpisana w maju bieżącego roku na konferencji w Paryżu. Tak się jednak nie stało, ponieważ jest grupa państw, które starają się ten projekt zablokować. Przewodzą im Stany Zjednoczone, w których silnie rozwinęły działalność firmy zajmujące się poszukiwaniem i wydobywaniem zatopionych skarbów. Tam poszukiwanie skarbów jest procedurą zalegalizowaną, a wynika to z prawa brzegowego i tradycji wzorowanych na prawie brytyjskim. W Wielkiej Brytanii prawo brzegowe sięga XVI - XVII wieku i stanowi, że wszystkie przedmioty znalezione na brzegu należą do znalazcy. Podobnie jest z rzeczami znalezionymi w wodzie. Stany Zjednoczone, które swoje prawa oparły na brytyjskiej bazie legislacyjnej przeniosły to prawo na rodzimym gruncie, a później było słynne znalezisko Mela Fischera, które rozpało wyobraźnię wielu ludzi marzących, żeby na skarbach zbić fortunę.

Jednak jeżeli przejrzy się statystyki dotyczące firm poszukiwawczych i osiąganych przez nie wyników, to tylko bardzo znikomy procent z nich ma rzeczywiste zyski, część zaledwie pokrywa koszty wydobywania, a około 70% notuje straty. Niekiedy tak wspaniale eksponuje się złoto wydobyte z wraku, ale nikt nie pokazuje, że cała reszta zabytku została bezpowrotnie zniszczona. W latach osiemdziesiątych była taka historia z wrakiem statku

przewożącego ładunek chińskiej porcelany

Żeby szybko wydobyć ładunek na śrubę statku-bazy, z którego nurkowano założono specjalną rurę.

Dokończenie na str. 10



Mapa wraków

Nikt nie wie ile wraków statków i okrętów znajduje się na dnie Morza Bałtyckiego. Ich zewidencjonowanie jest ważne nie tylko dla zapewnienia bezpieczeństwa jednostkom korzystających z torów wodnych, ale również dla archeologów, rybaków i ekologów. Swoje mapy wraków posiadają: Urząd Morski, Marynarka Wojenna, Centralne Muzeum Morskie i rybacy. Akademia Marynarki Wojennej, która zebrala wszystkie możliwe dane, posiada informacje o przeszło 40 tysiącach miejsc! Oczywiście wiele z nich nie ma nic wspólnego z wrakami, są to tak zwane "zaczepty", czyli miejsca, gdzie rybacy zahaczają sieciami o kamienie, korzenie lub inne przeszkody. Często zdarza się, że kilka punktów oznacza jedną i tę samą przeszkodę, ponieważ informacje były uzyskiwane w czasach, gdy nie znano jeszcze GPS-u dyferencyjnego, czyli satelitarnego sposobu namierzania, a zaznaczana pozycja była zmienna zależnie od strony, z jakiej nadpływał statek lub kuter. Dopiero określanie pozycji satelitarnej pozwoliło części informacji zweryfikować. Od niedawna w Centralnym Muzeum Morskim trwają prace pod kierownictwem Iwony Pomian mające na celu stworzenie jednolitej bazy danych. Przedsięwzięcie jest żmudne i czasochłonne, bowiem od zakończenia II wojny światowej nie prowadzono oficjalnej bazy danych dotyczących przeszkód na dnie morskim. Często zdarza się, że "odkryty" wrak, który dla badaczy jest nowością, był zewidencjonowany 30 lat temu w jednym z rejestrów. Wprawdzie jeszcze nie ma ujednoliconego światowego zapisu przeszkód dna morskiego, ale są pewne standardy, które kiedyś staną się regułą, dlatego powstająca baza danych jest tworzona zgodnie z normami stosowanymi w zapisie hydrograficznym na świecie. Komputerowa baza danych będzie również uzupełnieniem Archeologicznego Zdjęcia Polski (czyli podziału kartograficznego obejmującego wszystkie znane stanowiska arche-

ologiczne), które kończy się na linii brzegowej naszego kraju. Dawniej archeolodzy zdawali się nie dostrzegać stanowisk znajdujących się na dnie morza. Istniejąca do tej pory mapa archeologiczna została wyrysowana ręcznie. Doprowadziło to do nieznacznych nieścisłości. Korekta na lądzie nie stanowi większego problemu - istnieją bowiem stałe punkty odniesienia takie jak drogi czy rzeki. Znacznie trudniej skorygować błędy na morzu. Dlatego dla wyznaczenia dokładnego miejsca na Bałtyku oprócz tradycyjnych map i systemu GPS, niezbędne są również dane komputerowe, dzięki którym cała wiedza dotycząca wyznaczania konkretnych pozycji została usystematyzowana. Dzięki temu współrzędnym wybranego stanowiska automatycznie jest przypisywany odpowiedni arkusz mapy. A znając arkusz znamy podstawowe dane, czyli numer stanowiska, województwo, powiat, opis lokalizacyjny, współrzędne zapisywane w trzech systemach oraz urządzenie, z którego dokonano pomiaru. To ostatnie można skorygować, czy różnica w lokalizacji stanowiska wynosi 100, czy 10 m. Można również uzyskać informacje o zagrożeniach związanych ze stanowiskiem, co jest podstawą do dalszych decyzji konserwatorskich związanych z ochroną, oraz sam opis wraku; czyli podstawowe funkcje, wymiary, ładunek, stan zachowania, daty i wyniki przeprowadzonych analiz metodą dendrologiczną oraz C-14, jak również wszystkie znaleziska wpisane do ksiąg inwentarzowych.

Korzyści płynące z budowanej bazy danych będą ogromne zarówno dla użytkowników morza jak i wszystkich, których interesują losy jednostek, które swój tragiczny koniec znalazły w głębinach Morza Bałtyckiego.

BIR

Mapa opracowana przez Bałtyckie Centrum Nurkowe „EXPLORER”.

Dokończenie ze str. 9

Po uruchomieniu silników skierowano potężny strumień wody na wrak, żeby wypłukać piasek i odsłonić porcelanę. Mocne elementy statku wytrzymały napór wody, ale cała reszta została całkowicie zniszczona. A wracając do konwencji UNESCO, to teoretycznie Stany Zjednoczone występują na takich samych zasadach jak inne kraje, ale w rzeczywistości jako potęga gospodarcza, ekonomiczna i polityczna ich głos ma istotne znaczenie, co sprytnie wykorzystują, blokując jednolity projekt tej ustawy. W lipcu będzie kolejne, prawdopodobnie już ostatnie spotkanie dotyczące konwencji i jeżeli projekt nie zostanie podpisany, to sprawa na kilka lat zostanie odłożona do lamusa.

Mechanizm jest bardzo prosty; prace nad projektem finansuje UNESCO, jeżeli sprawa się przedłuża i trwa trzy, cztery lata nie przynosząc konstruktywnych rozwiązań, to jest to postrzegane jak pieniądze wyrzucone w błoto i przez kilka kolejnych lat nikt w UNESCO nie chce słyszeć o wrakach.

Trzeba czekać, aż zmienia się urzędnicy i próbować od nowa. Na szczęście zaawansowane są prace zmierzające do podpisania konwencji o ochronie podwodnego dziedzictwa kulturowego w akwenie Morza Bałtyckiego. Kraje bałtyckie dość szybko osiągnęły porozumienie i w swoich pracach są dużo dalej niż UNESCO. Jest już przygotowany spójny projekt, nad którym we wrześniu będą debatowali na wspólnym spotkaniu ministrowie kultury krajów bałtyckich. Wzorce zostały zaczerpnięte z krajów basenu Morza Śródziemnego, które u siebie też próbują wprowadzić ujednolicone prawo. Sytuacja jest niemal analogiczna; dwa małe morza z niewielką ilością krajów dookoła, które osiągnęły konsensus. Kto wie, może jeżeli uda się odpowiednią konwencję wprowadzić w życie nad Bałtykiem i Morzem Śródziemnym, to pomoże to w pracach UNESCO?

Konwencje niewątpliwie są potrzebne, ale ważna jest postawa samych nurków, któ-



Wrak U-534 - niemieckiego okrętu podwodnego zatopionego w pobliżu Danii i podniesionego z dna w 1993 r.

rzy mogą przyczynić się do ochrony i ratowania wraków spoczywających na bałtyckim dnie. W poszukiwaniach wraków pracownicy Centralnego Muzeum Morskiego niejednokrotnie korzystali z informacji dostarczanych przez nurków. Wprawdzie większość obiektów, które zostały "odkryte" jest znana, ale współpraca jest ważna, wszak nigdy nie wiadomo

kiedy ktoś odkryje drugiego "Solena"

"Miedziowca" czy taki statek jak "General Carlton", który dzięki dużej ilości rewelacyjnie zachowanych zabytków uznawany jest za najcenniejsze znalezisko ostatnich lat.

Innym źródłem informacji jest Instytut Morski. Jedno ze zgłoszeń pochodzących z

instytutu zelektryzowało muzealników - na głębokości 55 m, wykorzystując pojazd podwodny ROW, znaleziono obity miedzianą blachą kadłub statku. Znalezisko zostało sfil-mowane z zewnątrz i wrak wydawał się być w dobrym stanie. Na dziobnicy były jeszcze zachowane pięknie wycięte z blachy cyfry określające liczbę wodną - oznaczającą głębokość zanurzenia statku.

Już szacowano, w jaki sposób można będzie wrak podczepić i przenieść na płytszą wodę, żeby wydobyć znajdujące się w nim przedmioty. Rozczarowanie było ogromne, gdy ROW-em wpłynięto do środka wraku, który był całkowicie pusty. Nie zostało zupełnie nic. Nie wiadomo, czy statek przed zatonięciem wypalił się do szczytu, czy wywrócił się tak, że wszystko się z niego wysypało. Nie wykluczone też, że rozsypane przedmioty trafiły w sieci rybackie. Sam pusty kadłub nie był interesujący dla muzealników.

Inne rozczarowanie przyniosła informacja od rybaków, którzy powiadomili o znalezieniu starego żaglowca. Gdy rozpoczęto penetrację okazało się, że na skłonie Ławicy Słupskiej, gdzie został zlokalizowany, znajdują się pozostałości lasu. Pnie drzew były tak oszlifowane przez piasek, że sprawiały wrażenie obrobionych ręką ludzką elementów statku.

Zazwyczaj bywa, że ze wszystkich zgłoszeń 95% to przysłowiowe strzały kulą w płot, a pozostałe 5% to naprawdę "coś" na dnie. Na szczęście nie wszystkie sygnały są fałszywymi alarmami i wiele wskazuje, że Centralne Muzeum Morskie jest

na tropie kolejnego rewelacyjnego odkrycia

o którym donieśli rybacy z Władysławowa. Podczas jednego z połowów kuter zaczę-

Wielkie katastrofy

"Wilhelm Gustloff" został zbudowany w 1937 r. jako statek pasażerski. W 1939 r. został przebudowany i przekwalifikowany na okręt szpitalny, a w 1940 r. został przekształcony na tak zwany okręt towarzyszący, czyli okręt bazę. W swój ostatni rejs wypłynął z Gdyni 30 stycznia 1945 r. zabierając przeszło 6 tysięcy pasażerów. Pomiędzy Białogórą a Łebą na trawersie Ustki został trafiony trzema torpedami wystrzelonymi przez radziecki okręt podwodny "S-13". Zatonął, a wraz z nim przeszło 5 tysięcy ludzi.

W podobnych okolicznościach zatonął "General von Steuben", niemiecki okręt ewakuujący rannych żołnierzy oraz uchodźców z Pilawy. 10 lutego 1945 r. na trawersie Ustki, "Steuben" z ponad 3 tysiącami osób na pokładzie został zlokalizowany i storpedowany przez ten sam okręt podwodny "S-13" dowodzony przez komandora podporucznika Aleksandra Mariniesko. Eskortujący "Steubena" torpedowiec zdołał uratować zaledwie 300 osób.

Polski prom "Jan Heweliusz" płynący ze Świnoujścia do Ystad zatonął 14 stycznia 1993 r. w pobliżu wyspy Rugia. Zginęło 55 osób. Prom spoczął na

"General Carleton of Whiteby" był brygłowcem, który zatonął 28 września 1785 brzegu w pobliżu Dąbek w gminie Krokowa. wspaniale zachowanymi przedmiotami wydobytymi przez pracowników Centralnego Muzeum Morskiego z Gdańska (więcej o tym odkryciu pisaliśmy w styczniowym "Odkrywcy").

tyjskim trójmasztowym żaroku zaledwie 300 metrów od Z a s ł y n ą ł



Piękny, biały "Steuben" był niegdyś chlubą stoczni niemieckich - dzisiaj spoczywa na dnie Bałtyku

pił o coś sieciami tak mocno, że stanął w pionie. Nie można nawet było zwinąć sieci, które ugrzęzły na głębokości 70 m. Dzięki przymusowemu postojowi rybacy bardzo doładnie nanieśli swoją pozycję, a później po kilku próbach zdołali zerwać się z uwięzi. Wyciągnęli siatkę z dużym fragmentem drewnianej konstrukcji oraz zabytkami. Dopóki ten niecodzienny ładunek był zanurzony, nie stawiał dużego oporu, dopiero, kiedy opuścił wodę jego ciężar wzrósł do takich rozmiarów, że drewno rozdarło sieci i wszystko spadło do morza. Rybacy ujrzeli cynowe i miedziane naczynia, ceramikę oraz książki. Jedną z nich otworzyła się gubiąc wszystkie kartki, ale w sieciach zostały okładziny, które zostały przekazane do muzeum. Rybacy - odkrywcy przypuszczalnie zahaczyli sieciami o część rufową wraku, gdzie mieściły się pomieszczenia kapitańskie. Na podstawie zachowanych okładek przypuszcza się, że statek pochodzi z XVII w. Jeżeli wiatry będą sprzyjać, to eksploracja na "książkowcu" zostanie podjęta jeszcze w tym roku.

O skarbach Bałtyku marzą nie tylko muzealnicy, ale również nurkowie. Jednym z nich jest Jerzy Janczukowicz, prezes gdańskiego "Rekina", pionier nurkowania na "Wilhelmie Gustloffie".

- W moim odczuciu Bałtyk jest niezwykle ciekawym akwenem. Nie chciałbym, żeby to zabrzmiało fałszywie, ale żadnych swoich wakaacji nie planuję w ciepłych wodach. Nie wybieram się do Chorwacji, Włoch, Grecji czy Egiptu - miejsc, z którymi duża ilość płetwonurków wiąże całe swoje nurkowanie. Ja świadomie wybieram Bałtyk, morze bardzo ciekawe, bogate we wraki, ale także w faunę i florę. Rzecz jasna większość plaż takich jak Sopot, Brzeźno czy Jelitkowo

nie ma pod wodą nic prócz gołego piasku

ale są miejsca, gdzie flora i fauna występuje w dużej ilości form i gatunków. Żeby daleko nie szukać, wystarczy zapaść się w przybrzeżną część morza w pobliżu mola w Orłowie, i nurkując popłynąć w stronę Gdyni. Występują tam piękne łąki podwodne bogate w różne gatunki roślin, przetykane głązami narzutowymi, które na skutek erozyjnej działalności morza zostały oderwane od klifu i rozrzucone po okolicy. Są uskoki z przewarstwieniami torfu. Oczywiście występują ryby, można też znaleźć kawałki bursztynu. Teren jest wspaniały do oglądania, filmowania i fotografowania. Obecnie naukowcy planują objąć ten rejon ochroną, nadając mu status pierwszego na naszych wodach rezerwatu flory i fauny.

Nurkowie z "Rekina" mają swój udział w projekcie rezerwatu, bowiem uczestniczyliśmy w inwentaryzacji terenów przyszłego rezerwatu. Jeżeli chodzi o wraki to w Bałtyku na ich brak nie możemy narzekać. Jest pewna ilość publikacji dotyczących wraków Bałtyku, ale na dobrą sprawę można powiedzieć, że nasze wody są stosunkowo mało znane, a opracowania dotyczące wraków nie są takie, jak byśmy sobie wszyscy życzyli. Zaobserwować można coraz większe zainteresowanie wrakami ze strony nurków, ale z drugiej strony Centralne Muzeum Morskie też prowadzi swoje badania i czasami dochodzi do sytuacji kolizyjnych. Często w wypowiedziach muzealników pobrzmiwa nuta, że płetwonurkowie są rabusiami, którzy nie robią nic innego tylko okradają wraki, które w całości pod swoją opieką powinno mieć muzeum. Oczywiście rozumiem, że wszystkie historyczne wraki powinny być natychmiast po znalezieniu zgłaszane muzealnikom. Zresztą w ostatnich

dniach osobiście uczestniczyłem w takiej sytuacji, kiedy to płetwonurkowie z klubu "Posejdon" na wysokości mola w Orłowie

odkryli szczątki średniowiecznego żaglowca

Informacja dotarła do nas, zanurkowaliśmy i rzeczywiście w odległości około 200 m na przedłużeniu osi mola, na głębokości 6-7 m zlokalizowaliśmy potężną, zakrzywioną belkę stępki wystającą z dna, a kawałek dalej dostrzec można tkwiące w dnie wręgi oraz deski poszycia. Na tym wszystkim leży narzut kamienny i oceniając wstępnie jest to typowa pozostałość żaglowca z XVII - XVIII wieku. Niewykluczone, że po zdjęciu wierzchniej warstwy kamieni i piasku zostaną znalezione przedmioty, które umożliwią identyfikację wraku. Niewątpliwie jest to zadanie dla pracowników muzeum i zgłoszenie pochodzi od "zwykłych" nurków. Nie ma się co oszukiwać - większość nurków jest zainteresowanych wrakami, które nie są w stanie rozkładu, tylko coś sobą reprezentują, po których jeszcze widać, że był to statek, który kiedyś pływał po morzu. Siłą rzeczy najwięcej takich wraków to relikty II wojny światowej, które dla muzeum są stosunkowo mało interesujące. Niewiele mają wspólnego z archeologią podwodną, a dla nurków są to tematy bardzo ciekawe. Drugowojennych wraków jest na Bałtyku naprawdę sporo i tylko niewielka ich część jest znana. Pomimo tego, że nie są traktowane w kategoriach zabytków archeologicznych staramy się ich nie zubażać, bowiem każdy nurek zdaje sobie sprawę, że po nim będą inni, którzy również chcieliby zastać wrak jak najbardziej kompletny. Oczywiście zdarzają się wyjątki; doskonale pamiętam historię, kiedy kilka lat temu przypłynęli do mnie nurkowie z Niemiec, proponując wspólny wyjazd na wrak niemieckiego statku "General von Steuben". Przypłynęli na jakimś przerobionym kutrze i

zapropowowali, że zlokalizują Steubena

i wrócą po nas. Zgodziłem się, bo dlaczego by nie? Tym bardziej, że „Steuben” to cała legenda. Był to wspaniały liniowiec pasażerski zbudowany w Bremie w 1922 r. Statek był tak imponujący, że mówiono o nim - piękny, biały „Steuben”. W czasie wojny, a dokładnie w roku 1944 został przeklasyfikowany na transportowiec wojskowy i transportowiec rannych. Zaczął wykonywać swoją misję wożąc uchodźców z Prus Wschodnich do Kilonii, z której zabierał zaopatrzenie i wracał do Piławy, by ponownie zabrać pasażerów. Większość z nich stanowili ranni niemieccy żołnierze, którzy nie byli w stanie stawiać oporu nadciągającym Rosjanom. 9 lutego 1944 r. „Steuben” zabrał na pokład około 3.200 pasażerów - przeważnie rannych i chorych żołnierzy. Eskortował go tylko jeden stary torpedowiec „T-196”. „Steuben” płynący początkowo kursem północno-północno-zachodnim szczęśliwie minął rejon Zatoki Gdańskiej, gdzie często polowały radzieckie okręty podwodne. Około północy obie jednostki wpłynęły w akwen pomiędzy Rozewiem a Ławicą Słupską - ten sam, gdzie dwa tygodnie wcześniej zatonął torpedowiec „Wilhelm Gustloff”. Było około pierwszej w nocy, gdy dwie torpedy trafiły „Steubena”, który zaczął nabierać wody. Wystrzelił je radziecki okręt podwodny „S-13”, dowodzony przez komandora podporucznika Aleksandra Iwanowicza Mariniesko, ten sam, który posłał na dno Bałtyku Gustloff. Dla „Steubena” również nie było ratunku. Morze było wyjątkowo spokojne, a noc jasna i księżycowa, gdy statek równomiernie nabierając wody zaczął tonąć. Dla większości rannych żołnierzy nie było żadnych

szans ratunku. Przykuci do noszy tonęli w milczeniu lub obłędnie krzycząc. Towarzyszący „Steubenowi” torpedowiec zdołał uratować zaledwie 300 rozbitków.

Niemcy rzeczywiście po nas przypłynęli. Zlokalizowali wrak i oznaczyli go boją sygnalizacyjną. Nurkowaliśmy dwoma zespołami polskim i niemieckim. Faktycznie na dnie był wrak leżący na równej stępce, z kominami sterczącymi ku górze, ale nie był to „General von Steuben” tylko „Holstein”, tankowiec służący do przewożenia wody. Niemcy byli zaskoczeni na równi z nami. Tankowiec był bardzo ciekawy. Nigdy nie zapomnę wspaniałego koła sterowego, które się na nim znajdowało. Po oględzinach, kiedy zaczęło kończyć się powietrze popłynęliśmy w górę i kiedy siedzieliśmy w komorze dekompresyjnej zobaczyłem drugi zespół Niemców, którzy z kluczami popłynęli odkręcić to piękne koło sterowe mogące stanowić ozdobę każdego domu czy klubu nurkowego... A tak na marginesie - nie słyszałem, żeby ktokolwiek odnalazł i nurkował na wraku „Steubena”.

Chciałoby się rzec, że Bałtyk to temat rzeka, ale przecież to temat morze. Nikt nie wie, ile wraków naprawdę spoczywa na dnie. Odkryto już naprawdę dużo, ale wiele tajemnic obmywanych słoną wodą ciągle czeka w mroku na ludzi, którzy szukając wraków lub łowiąc ryby wyciągną z dna przedmioty, które naprowadzą na ślad kolejnych znalezisk.

Radosław Biczak
Zdjęcia: archiwum,
Jerzego Janczukowicza,
„Magazynu Nurkowanie” oraz autora

ZACHODNIOPOMORSKIE CENTRUM NURKOWE zaprasza na kursy i obozy nurkowe

Szkolenie w systemie PADI - najpopularniejszej i najnowocześniejszej federacji na świecie. Specjalizujemy się w kursach nurkowych:

- ❖ poszukiwanie, wydobywanie zagubionych przedmiotów
- ❖ nurkowania wrakowego
- ❖ nurkowania jaskiniowego

W cenie kursu podstawowego OWD udostępniamy nowoczesny ekwipunek nurkowy.

- zapewniamy bazę noclegową
- całodienne "domowe" wyżywienie
- wypożyczalnia sprzętu nurkowego
- nurkowania rekreacyjne w najatrakcyjniejszych jeziorach regionu zachodniopomorskiego

Zachodniopomorskie Centrum Nurkowe

Dariusz Torebko IDC Staff Instruktor PADI

Całoroczna Baza Nurkowa

Otoki 1, 74-111 Lubanowo

tel./fax 091/416 66 75, tel. 0 607 077 827

Zachodniopomorskie Centrum Nurkowe

Sklep ze sprzętem nurkowym i pływackim

Szczecin, ul. Wąska 16 (basen WDS),

tel. 091/411 18 56 w. 202

Przedstawiamy kolejną pracę wyróżnioną w naszym konkursie „Napisz do ODKRYWCY, wygraj wykrywacz”. Jury bardzo wysoko oceniło rysunki wykonane przez autora tekstu

Jeśli są skarby, to trzeba je znaleźć

Moja Przygoda z poszukiwaniami rozpoczęła się bardzo dawno - w odległym dzieciństwie. Zawsze interesowała mnie historia. U mojego dziadka wiele było przedmiotów pamiętających czasy dwóch ostatnich wojen. Poza tym zawsze tam coś wyorał, monety leżały po prostu pod szopą, bo tam je odrzucał, ja z ciekawością oglądałem je, a było na co patrzeć; w małej ręce zwykłe kopieжки były ogromnych rozmiarów.

Zbierałem je, z czasem moja kolekcja bardzo się rozrosła, a później nastąpił czas, że minęła mi fascynacja i wszystko rozdałem, dzisiaj bardzo tego żałuję. Kiedyś na strychu natrafiłem na mapy i podręczniki lotnicze, jak się okazało pozostawił je radziecki oficer po likwidacji polowego lotniska, prosił o przechowanie, mówił, że kiedyś po nie wróci - nikt go więcej nie widział. Początkowo wiele przedmiotów znajdowałem, chodząc w najstarsze części miasta, najczęściej po dużych ulewach. Wtedy deszcz wypłykiwał z ziemi monety, guziki i różne drobne przedmioty. Poza tym kopalnią staro-

ci były piwnice, strychy i różnego rodzaju szopy. Z czasem moda na starocie, a i czasami bezmyślne niszczenie w czasie rozbiórki domów dokładnie

wyczyściły miasto z zabytków

Na początku lat 90 kupiłem pierwszy swój wykrywacz - saperski, ramkowy, w dodatku uszkodzony - sam go naprawiłem i rozpocząłem poszukiwania. Oczywiście moja wyobraźnia była niewspółmiernie rozbudowana do wyników tych pierwszych znalezisk. Moje poszukiwania zacząłem od lasów, wiadomo chłopak to militaria. Fascynacja wojskiem prowa-

dziła mnie nie tylko do suchego szukania. Śledziłem dostępne mi materiały drukowane, mapy, odnajdowałem miejsca dawnych walk nie tylko te z ostatnich dwóch wojen. Nie wiem, kiedy nastąpił przełom w moich poszukiwaniach, chyba przechodząc z jednego zagajnika do

Sensacja - puszka po konserwie po sardynkach, wykonana z żelaznej blachy, dawniej powlekana była cienką warstwą cyny, która zachowała się jeszcze na miejscach spojeń brzegów





1. Orzeł wojsk polskich, wzór obowiązkowy po 1930 roku, pięknie zachowany, wytłoczony z grubej blachy i gdyby nie przygięte skrzydło (nie będzie go odginał) byłby to piękny egzemplarz, nad nogami orla w centralnej części tarczy wywiercone po dwa otwory jak sądzę do umocowania orla na napie. 2. Połówka przelamanej mosiężnej klamry do pasa z czasów carskiej Rosji. 3. Znalazona przeze mnie jako pierwsza plakietka identyfikacyjna tzw. nieśmiertelnika żołnierza niemieckiego, jest to jedna z połówek nieśmiertelnika oznaczona cyfrą 2. Znalazłem ją na polu w pobliżu rowu melioracyjnego kilka lat temu. Przy zakładaniu stalowej rury w rowie wykopano szczątki kości żołnierzy niemieckich, wg jednego z rolników jego ojciec wraz z sąsiadem zaciągnęli do rowu i zakopali 2 żołnierzy, którzy się mocno rozkładali, niestety nie zapytałem o nazwisko tego człowieka. 4. Aluminiowa blaszka z wytłoczona literą M lub W trudno zgadnąć. 5. Mosiężna siódemka ze śladami wtopionych gwoździ do przybicia lub przygięcia. 6. Uchwyt plecaka sygnowany WB. 7. Mosiężna blacha w kształcie prochownicy, na której poprzednio umieszczony był jakiś znak. Zachował się tylko dolny fragment nakładki, ślad na blasze zaznaczony przerywaną kreską

drugiego, pokonując orne pole zacząłem tam znajdować: monety, sprzączki, kule ołowiane, cały zaginiony świat, właściwie zagubiony. Od tamtej pory przeniosłem się na pola. Zacząłem przeglądać mapy, analizowałem lokalne nazwy osiedli, miejsc, przebieg dróg dawniejszych i dzisiejszych. Wolnymi krokami zaczął wyłaniać się z mroków i piasków Mazowska obraz okolic sprzed wieków. Próbuje uratować wszystko to, co

jeszcze można wydobyć z ziemi

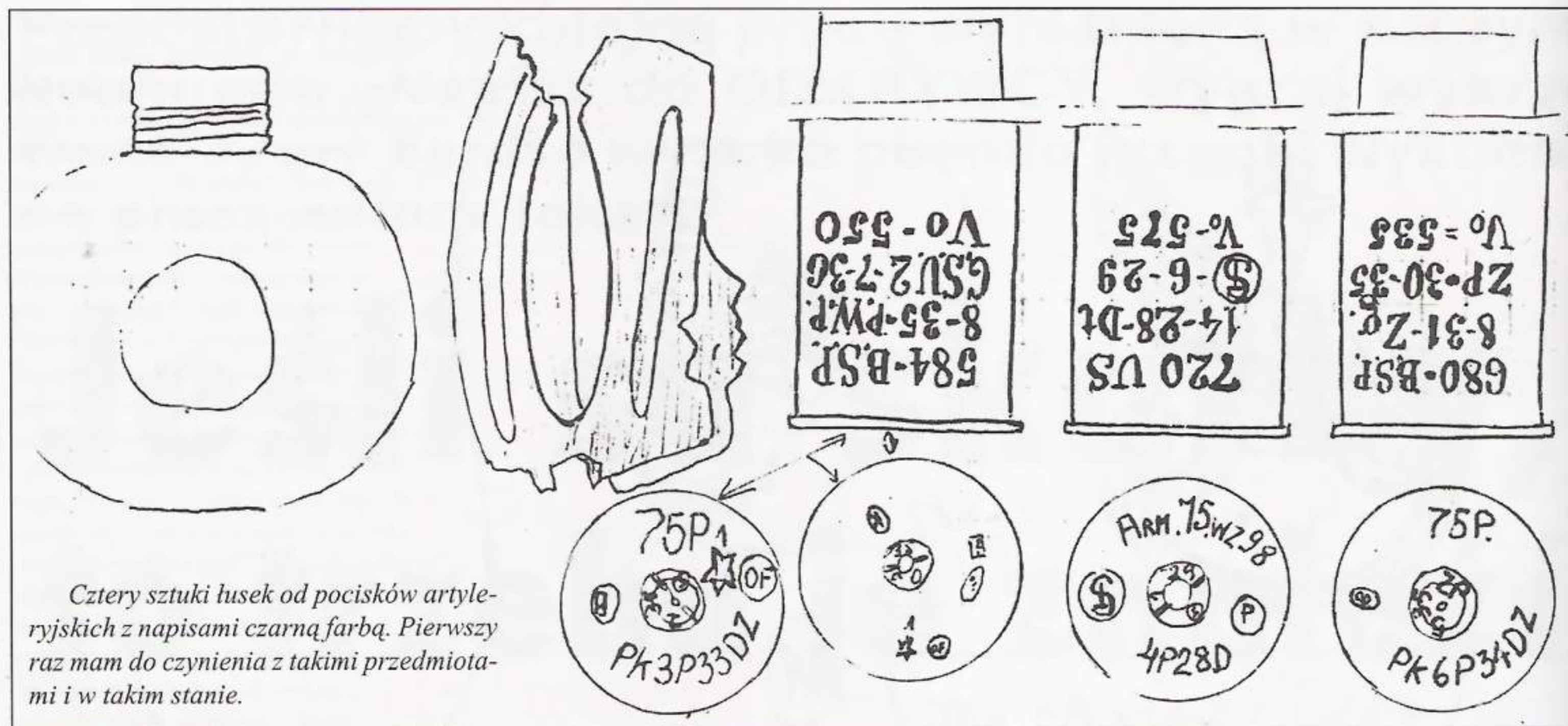
- miasto się rozrasta, coraz nowe tereny zajmowane są pod osiedla, drogi, zakłady przemysłowe, to, co skryje beton i asfalt jest już nie do "ugryzienia"; często nazywam swoje poszukiwania ratowniczymi, gdy dowiem się, że kolejne hektary gruntu za chwilę będą niedostępne, ponadto upada rolnictwo i ok.

30% pól nie uprawia się już, a są one ciekawe, użytkowane od kilku wieków. Często spotykałem ludzi, którzy dziwnie się uśmiechali i ukradkiem pukali się w czoło, mówiąc "czy pan tu min szuka". Prawie nigdy nie spotkałem się z ludźmi, którzy odmówiliby mi wejścia lub poszukiwań na ich polu, działce. Coraz bardziej pochłaniało mnie szukanie, potrafię każdą wolną chwilę poświęcić na poszukiwanie (choć żona krzywo patrzy na tę moją pasję), a metalowe przedmioty są wszędzie, nawet na najmniejszej grządce z warzywami w ogródku. Za każdym razem jest coś nowego: guziki wojskowe i cywilne: cynowe, mosiężne złożone i srebrzone guziki biednych i bogatych, stracone przez żołnierzy w boju lub już po powrocie do domu, sprzączki od pasów i uprząży, plecaków itp. biżuteria i znowu tych biednych i bogatych, broszki, zapinki, pierścionki i

obrączki z brązu i srebra dalej medaliki i krzyżyki różnych wyznań, drobna

"biżuteria" wojskowa, odznaczenia, orły

monety oraz różne drobne przedmioty użytkowe i ich fragmenty, plomby ołowiane i setki innych nie nazwanych przedmiotów. Z czasem zacząłem rozróżniać pola, na które warto "wejść" - intuicja (?) czy rutyna (?); bywało i tak, że na jednym była obfitość znalezisk, a za miedzą nic, myślałem sobie wtedy, ale "brudasy", nie sprząтали swojego obejścia, wszystko zostało w domu i pole czyste. Czasami bywało i tak, że na jesieni prawie nic nie znajdowałem na polach, ale za to na wiosnę, gdy śniegi ustąpiły, a ziemia nasiąkała wodą i zbiła się w jednolitą masę "zabytki" posypały się jak z rękawa. Pragnę jeszcze nadmienić, że od około 10 lat pracuję z wykrywaczem CS



Cztery sztuki łusek od pocisków artyleryjskich z napisami czarną farbą. Pierwszy raz mam do czynienia z takimi przedmiotami i w takim stanie.

990 angielskiej firmy "SCOPIE", średniej klasy z podstawowymi funkcjami, również z dyskryminacją, a to jest bardzo ważne. Wszystkie znalezione przeze mnie przedmioty rejestruję w specjalnie do tego celu przeznaczonych księgach znalezisk, gdzie są narysowane i jeśli to możliwe sklasyfikowane pod względem materiałowym stanu zachowania; odczytuję wszystkie napisy i sygnatury oraz określám miejsce i czas znalezienia. Z czasem taki przedmiot po konserwacji zostaje umieszczony w od-

powiednim dziale znalezisk. Nigdy nie wiem, czy mogę pokleić rozerwane - połamane elementy różnych przedmiotów, czy mogę ingerować i trwale pokrywać nieusuwalnym klejem ich powierzchnie. Jeśli nawet tym sposobem zabezpieczę poszczególne elementy przed przypadkowym zagubieniem. Kto choć raz zdecydował się na wydobywanie z ziemi dawno zagubionych przedmiotów powinien czuć się za nie odpowiedzialnym, nie można dopuścić, aby uległy zniszczeniu lub przypadkowemu

rozproszeniu. Moje postępowanie uważam za właściwe, prowadzę poszukiwania wokół mojego miasta na polach, przedmioty zalegają w warstwie uprawnej i teraz w dobie maszyn rolniczych narażone są na zniszczenie, te wszystkie pługi, brony, glebogryzarki itp. systematycznie rozdrabniają metalowe przedmioty, gną je, rysują, uszkadzają, nie mówiąc już o szczątkach ceramiki lub szkła. Dlatego wszystko, co zdołam znaleźć i opisać jest jakimś moim wkładem w ratowanie tych drabin kultury, a niekiedy są to jedyne materialne ślady po dawno żyjących tu ludziach - moich przodkach. Wiele z tych przedmiotów dostało się do ziemi wraz z nieczystościami, z nawozem, część została zagubiona lub celowo wyrzucona. Nie należę do ludzi, którzy

prowadzą jakieś rabunkowe poszukiwania

naruszając strukturę warstw osadniczych. Myślę, że ta warstwa ornej ziemi grubości ok. 30 cm i to, co się w niej znajduje jest najbardziej narażona na zniszczenie, jest przecież odwracana (uprawiana) kilkakrotnie w ciągu roku. Poza poszukiwaniami w ziemi pragnę ochronić i zachować wszystko, co dotyczy mojego miasta i okolic: fotografie, książki, druki, plany, relacje ustne najstarszych mieszkańców. Swoje spostrzeżenia i znaleziska rejestruję w zeszytach formatu A-4 od 1990 roku, które nazywam "księgami znalezisk". W 2001 roku zakończę 5 taki zeszyt, a może rozpocznę 6. Dla przykładu zamieszczam odbitkę ksero kilkunastu stron z moich ksiąg znalezisk. Celowo nie podaję tu miejsc znalezienia poszczególnych przedmiotów, bo każdy poszukiwacz powinien

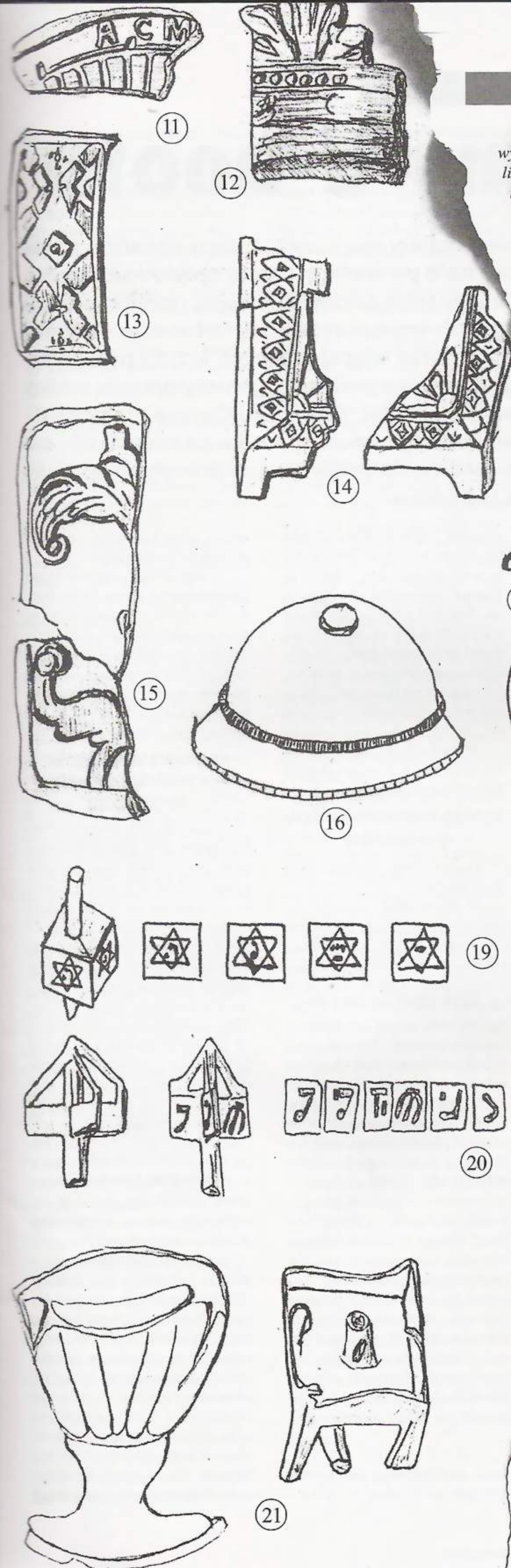


8. Krzyżyk od różańca wykonany jest z mosiądzu z zachowaną podłużną wkładką z drewna i jednym ogniwnem łańcucha. Nie zachował się jednak Chrystus, który odpadł, pozostał w ziemi.

9. Mosiężny lub brązowy krzyżyk jest ładnie i starannie wykonany, pokryty ładną zieloną patyną o różnych odcieniach, ucho krzyżyka jest odłamane; zapewne w ten sposób dostał się do ziemi. Dolna część jest przygięta zapewne podczas orki.

10. Fragmenty krzyża - medalika (?), odznaczenia, wylany jest z brązu techniką odlwania; napisy w języku rosyjskim, nie pokusiłem się jeszcze, żeby go odczytać, na awersie brak postaci Chrystusa na krzyżu, zamiast tego jakiś symbol uproszczony kształt w postaci wzdłużnych linii

Wśród wielu kawałków metalu wyróżniają się szczątki przedmiotów użytkowych: 11. mosiężny odlew (fragment) z zachowanymi dwoma otworkami i literkami "ACM" - może podkówka buta; 12. cynkowy fragment odlewu z motywem zdobienia roślinnym; 13. cynkowa blaszka ze skomplikowanym wzorem, bardzo źle zachowana, ale czytelna; 14. trzy fragmenty podstawki wykonanej techniką odlewania z ołowiu lub cyny z motywami geometrycznymi; 15. dwa fragmenty półkolistej ozdoby odlanej z ołowiu z motywami roślinnymi; 16. kapturek z brązu lub mosiądzu, posiadający na obrzeżach równomierne nacięcia, może zbijak zapalnika pocisku lub miny; 17. pokrywka mosiężna niekompletna, brak uchwyty - wykonana techniką odlewu; 18. pokrywka z ołowiu wykonana techniką odlewania z motywem roślinnym; 19. cynkowy odlew prawdopodobnie



nie żydowskiej kostki do gry, na kolejnych czterech bokach wizerunki gwiazd Dawida z oznaczeniami hebrajskimi, próbowałem wprawić ją w ruch trzymając za dłuższy koniec, kręci się; 20. ołowiane ażurowe strzałki egzemplarz "c" na każdej stronie łopatki posiada znak, nie wiem tylko czy czasami nie narysowałem odwrotnie, być może znaki są narysowane "do góry nogami"; 21. dwa przedmioty wykonane z ołowiu, pierwsze to kapturek do jajek, drugi podstawka nie potrafię powiedzieć, do czego

takie tereny znaleźć sam - chyba to zrozumiałe. Może moja relacja nie bardzo oddaje emocje związane z poszukiwaniami, ale są one ogromne. Kto raz połknął ten bakcyl poszukiwań, temu trudno się z niego otrząsnąć i przestać, po prostu

"Jeśli są skarby, to trzeba je znaleźć"

Na pewno nie wyczerpałem całości tematu, wiele trzeba by jeszcze napisać, z każdym przedmiotem wiąże się jakaś inna opowieść. Niektóre części przedmiotów znajdowałem nieraz z kilkuletnim odstępstwem, rozdrobnione pług przenosił w odległe części pól, a ponadto nie zawsze znajdowały się na głębokości dostępnej dla wyszukiwania przez detektor.

Mirosław Powierza

Autor wyróżnionego tekstu wykonał wiele rysunków dokumentujących znaleziska. Część z nich przedstawiliśmy w tekście wraz z autorskimi komentarzami.

Wydobywamy U-boota

Podziemna sala pamięci, kilkudziesięciometrowy ceglany monument i mapy oceanów usiane czarnymi i czerwonymi krzyżykami. Tyle pozostało po wielkim planie opanowania mórz przez drapieżne stada niemieckich U-bootów. Na mapach z początków wojny dominuje czerwień setek podwodnych cmentarzysk, zatopionych transportowców, liniowców i barek. Jednak z upływem czasu kolejne lata wojny rodziły coraz więcej czarnych krzyży poległych stalowych wilków. W sali, w której stoimy wszystkie ściany, witryny, gabloty opisują walkę marynarzy ze śmiercią niesioną przez morskie fale. To tutaj, na brzegu Ostsee, na początku XX wieku pobudowano w iście bismarckowskim stylu monument ku pamięci tych, co polegli na morzu. Gdy skończyła się II wojna światowa, do setek tysięcy poległych dopisano imiona kilkudziesięciu tysięcy marynarzy z U-bootów.

Przybyliśmy do Laboe w Niemczech, by wraz z Jerzym Janczukowiczem z Gdańskiego Klubu Płetwonurków „Rekin” znaleźć odpowiedzi na pytania, które pojawiły się przed naszą akcją wydobywania U-boota z Zatoki Gdańskiej. Po drodze w Kilonii do grupy przyłączył się nasz przewodnik i tłumacz - Ali. Wbrew brzmieniu imienia okazał się gdańszczaninem i to rodowi-

tym - z Wrzeszcza. Opowiedział o swym dzieciństwie. Mama i tata byli Kaszubami mówiącymi słabo po polsku. W niemieckim Danzing Ali posługiwał się głównie niemieckim i to zapewne uratowało rodzinie życie. W pierwszych tygodniach wojny policja wzywała na przesłuchania nie tylko dorosłych, ale także dzieci, rozmawiano z nimi tylko po niemiecku sprawdzając, czy nie

wtrącają polskich słów. Ali zdał ten egzamin, lecz w 1945 został ze względu na język uznany za Niemca. Jego mamę przed losem, jaki Rosjanie gotowali Niemkom uratowało tylko to, iż cały czas nosiła przy piersi swoje drugie, dziewięciomiesięczne dziecko. Ali nauczył się polskiego i dorastał wraz z rozwojem Trójmiasta ale... to już zupełnie inna historia.

W muzeum w Laboe zostaliśmy przyjęci w klubie weterana przez Erharda Bogen,

byłego radiotelegrafistę z U-bootów

kiedyś też mieszkańca Wrzeszcza.

W Niemczech szczególnie starsze osoby mają nadal poczucie winy za wojnę, więc wszelkie relikty militarne są przedstawiane pod kątem wielkiej tragedii w odróżnieniu od anglosaskiej wizji wojny bohaterskiej i widowiskowej. Tak też jest i w Laboe. Stojący tam okręt, jeden z niewielu nie zatopionych podczas wojny nie ma przedstawionej historii bojowej ani heroicznych czynów załogi - jest pozbawiony opisów czy fotosów z czasu służby. Kiedy wchodziliśmy trudem do wnętrza, przypominały mi się kadry z filmu „Das Boot”. Prawie widziałem i słyszałem szum wody, biegającą załogę i stukot silników diesla. Gdy znalazłem się w środku nie mogłem uwierzyć, że na tak małej przestrzeni mogło żyć i pracować ponad czterdziestu mężczyzn. Tysiące rurek, kurków, wąskie przejścia i krótkie koje, a do tego jeszcze po tylu latach wyczu-

walny zapach smarów. To przypomina o klaustrofobii.

Erhard pokazuje nam kolejne pomieszczenia, tłumaczy jak bardzo skomplikowanym i awaryjnym urządzeniem jest łódź podwodna. Jesteśmy zaskoczeni, że czas przebywania pod wodą z powodu małej ilości powietrza był ograniczony do 6 godzin, że ubikacja jest koło kuchni, że

spalo się dosłownie na wielotonowych torpedach

a podczas ich wystrzeliwania trzeba było dokonywać cudów, by pozbawiony balastu statek się nie wynurzył. Niestety, okazało się, że od czasu wojny dokonano bardzo wielu przerobek i zmian, które w znacznym stopniu zaburzyły pierwotny wygląd wnętrza i pokładu statku. Dokonałmy jednak pomiarów i prześledziliśmy ewentualne niebezpieczeństwa, jakie czekają naszych nurków podczas wchodzenia na głębokości 50 m do wnętrza. Okazało się, że dwie klapy prowadzące na pokład są zamykane od środka i nie ma szans na wejście przez nie z zewnątrz, podobnie luki torpedowe. A więc jeśli nadal są zamknięte będziemy mieli spory problem z ich pokonaniem.

Przyszła czas na rozstrzygnięcie kwestii, w jaki sposób zidentyfikować „naszego” U-boota. Zarówno Erhard Bogen, jak i pracownicy muzeum twierdzą, że podczas wojny nie istniały jakiegokolwiek opisy na zewnątrz korpusu mogące świadczyć o numerze taktycznym statku, nie montowano również numerowanych boi ratunkowych, a jedynym miejscem umieszczenia opisu mógł



Jerzy Janczukowicz bada wnętrze łodzi podwodnej w Laboe

być mostek. Być może na ubraniach marynarzy były umieszczone nazwiska i porównując je z listami poległych można ustalić numer, ale przecież my nawet nie wiemy czy na naszej łodzi ktoś zginął. Pokład i kiosk okrętu okazują się dla nas niedostępne, z powodu wielu wypadków. Nawet dyrektor muzeum nie może wydać zezwolenia na wejście. Straciliśmy możliwość sprawdzenia, gdzie wyprowadzone są przewody do szasowania zbiorników.

Opuszczając Laboe czułem dreszcz emocji. Zrozumiałem, jak dalekie od rzeczywistości były nasze wyobrażenia o niezniszczalnych podwodnych stadach drapieżców. W rzeczywistości okręt okazał się nadzwyczaj "delikatnym urządzeniem", któremu pod wodą zagrażało nieskończenie wiele niebezpieczeństw.

Z Alim pożegnaliśmy się w centrum Kilonii i pognaliśmy w stronę Hamburga. Z poszukiwań w internecie dowiedzieliśmy się, że w tym wielkim portowym mieście stoją trzy U-booty. To nie do wiary, ale od wojny w wielkim schronie morskim Elbe II stoją okręty U-2505, U-3506, U-3004 klasy XXI. W ich odnalezieniu miał swój udział Jak P. Showell angielski historyk i pisarz poświęcający swoje prace historii niemieckich okrętów podwodnych.

Następny nasz cel - Cuxhaven przywitało nas deszczem. To niewielkie, nadmorskie miasteczko u wylotu kanału kilońskiego, na początku XX wieku było świadkiem wielkiej emigracji do Ameryki. Pozostał jeszcze dworzec i nabrzeże, do którego przybijały transatlantyki wożące tłumy poszukujących ziemi obiecanej. My jednak

szukaliśmy "U-boot archiv"

prywatnego archiwum stworzonego i kierowanego przez Horsta Bredow, który w czasie wojny służył jako oficer na U-bootach, a po powrocie z niewoli zaczął gromadzić pamiątki i dokumenty dotyczące podwodnej floty. W 1989 utworzył archiwum na przedmieściach Cuxhaven służące informacjami i dokumentami zainteresowanym historykom.

Weszliśmy do mistycznego świata starych fotografii, map, raportów i wspomnień. Przyjęli nas Horst Schwenk i Jak P. Sho-

well i oprowadzili wśród regałów pełnych segregatorów. Bo jak przystało na niemieckie archiwum wszystko ma tam swoje miejsce, jest skatalogowane i gospodarze dokładnie wiedzieli, gdzie czego należy szukać. Zasada porządku idealnie sprawdzała się w stosunku do dokumentów, niestety w stosunku do zatopionych okrętów kompletnie zawodziła. Przeglądając listy zatopień i koordynat co rusz okazywało się, że według jednej listy dany statek powinien spoczywać na dnie Zatoki Gdańskiej, podczas gdy już na następnej był umiejscowiony gdzieś na Atlantyku. Okazało się, że dane są tak sprzeczne, iż nie sposób określić nawet wstępnej listy zatopionych jednostek. Czyżby komuś kiedyś zależało na ukryciu numerów okrętów spoczywających koło Gdańska? Przecież Bałtyk de facto był morzem spokojnym, zatonięcia zdarzały się w odległości nie większej niż 10 km od brzegu w pobliżu stoczni i portów. To co najmniej zastanawiające, że zadano sobie trud identyfikacji głęboko leżących wraków na Atlantyku, a nikt nie zajmuje się płytkim i bliskim Bałtykiem.

Nasi rozmówcy potwierdzili przykrą dla nas informację, iż nie było żadnych oznaczeń na zewnątrz statku. Ale Jak P. Showell przypomniał sobie o skrzynce narzędziowej znalezionej przez nurków na U-869!

Na niej była przymocowana plakietka z numerem taktycznym.

W końcu jakiś ślad

Kolejna dobra informacja. Już wiemy, gdzie były wyprowadzone rury do dostarczania powietrza i to dwie: jedna dla załogi, druga do szasowania. Jeśli na "naszym" okręcie okażą się sprawne, to właśnie nimi wtłoczymy powietrze konieczne do podniesienia 900 ton stali na powierzchnię.

Obiecano nam kontakt z konstruktorami U-bootów i mechanikami, którzy na nich pływali. Brzmi to obiecująco i być może pozwoli jednoznacznie określić, który numer nosiła "nasza" jednostka. Pozostaje nam już tylko 1200 km do Gdańska i opracowanie planu oczyszczenia kiosku z sieci i lin podczas najbliższego nurkowania. Ale o tym za miesiąc.

Proteus
poszukiwania@odkrywca-
online.com

Nasz przewodnik „Ali” u Erharda Bohena w klubie weteranów



Jak Showell i Horst Shwenk pokazują Jurkowi działo pokładowe



Skrzynka narzędziowa odnaleziona we wraku U869



Georg Stein widział, jak do Hernau przyjechało osiem ciężarówek, wyładowanych po brzegi dziełami sztuki. Lejtnant hrabia Ungern - Sternberg rozkazał ukryć ładunek w podziemiach bliższego kościoła. Żołnierze przenieśli 80 skrzyń po 120 kg każda do gotyckich piwnic



Baron Falz Fein ogłosił w prasie, że dla znalezcy Bursztynowej Komnaty przewidziana nagroda w wysokości 500 tys. dolarów

Człowiek który wiedział za dużo

"20 sierpnia 1987 roku w pewnym malowniczym ustroniu w Bawarii przypadkowi spacerowicze znaleźli nagie, straszliwie zmasakrowane zwłoki. Obok ciała leżał nóż i skalpel. To był Georg Stein. Zginął śmiercią samobójczą - orzekli prowadzący śledztwo".

Taki oto lakonicznie zredagowany tekst dotarł do polskich czytelników jesienią 1998 roku, gdy warszawskie wydawnictwo TRIO wydało przekład książki Dietmara B. Reimanna "Bursztynowa Komnata - Fakty i mity", dzisiaj stojącej w każdej bibliotece tropiciela tajemnic Trzeciej Rzeszy. Niemiec Reimann znany jest w swej ojczyźnie jako

bezkompromisowy penetrator "wstydlwych" regionów historii ostatniej wojny, organizator ekspedycji poszukiwawczych, "żyjący w niezgodzie z urzędami wielu landów i nader kontrowersyjny w zachowaniu z mediami. Píše zresztą o tym w swej książce bez ogródek. Sprawą tajemniczego "samobójstwa" Georga Steina zajmuje się nieprzerwa-

nie od dawna, wspólnie z Reinhardem Borgmannem. Idzie tropem dziwnych konkluzji, do jakich doszedł filmowiec z Monachium Philip Remy podczas realizacji filmu "Koniec pewnej legendy" (1990 r.) - filmu o losach Bursztynowej Komnaty zleconego przez Nordeutsche Rundfunk. "Autorzy filmu - stwierdza D. B. Reimann - pytają też o rze-

**w kartotekach policji
nie ma żadnego śladu**

Kilka razy w programach dokumentalnych naszej telewizji zdarzało mi się widzieć okaleczone zwłoki Steina, ukazywane z bezmyślną ekscytacją w otoczcze bełkotliwego komentatora, który epatował widza zagadką jakiejś nieokreślonej zмовy, sugerował niepoczytalność zamordowanego itd. - bez wnikania w istotę dramatu. Wygląda to podobnie w licznych publikacjach. Ja sam niewiele więcej bym wiedział na ten temat, gdyby mnie los nie zetknął z Awenirem Piotrowiczem Owsjanowem, kaliningradzkim poszukiwaczem skarbów, autorem książki "W ruinach starego zamku", który dziś

jest dysponentem wielkiego
archiwum Georga Steina

Nawiasem mówiąc: w Polsce wtedy, za sprawą dziennikarzy (z Ryszardem Badowskim na czele), Krolewski był radośnie wspominany, bowiem

"pomagał" w poszukiwaniach skarbów kijowskiej Rusi

ukrytych jakoby na Mazurach w Dzikowie (dawnym Wildenhof), zmyślnie kompilował historyjki i "nakręcał" w Kaliningradzie eksplorację, rujnując bez ceregieli zabytki. O tym dowiadujemy się dopiero teraz od Owsjanowa. Stein tych kulis nie znał, rzucił się w wir poszukiwań detektywistycznych, jego życie uległo całkowitej przemianie. Zaczął gromadzić dokumenty i relacje świadków, odwiedzał archiwa i szukał kontaktu ze znanymi osobistościami, które mogły wpłynąć na przebieg poszukiwań; nieznany nikomu ogrodnik nagle nawiązał korespondencję z Markiem Chagalem, Georgem Simenonem, baronem z Lichtheinsteinu Falz-Feinem, rosyjskim pisarzem Julianem Siemionowem, właścicielką pisma "Die Zeit" hrabiną Marion Deinhof, a nawet Paulem Enke czołowym poszukiwaczem Stasi (zmarł nagle w równie tajemniczych okolicznościach i także w 1987 roku!). Z niesamowitym uporem i energią przekopał tony akt sztabowych byłego ministra Rzeszy Alfreda

Absender _____

Postleitzahl _____

München
Stadt
weltberühmter
Biere

POSTKARTE

30 DEUTSCHE
BUNDESGROSCHEN

An den Bauern
Georg Stein

~~2241~~
Stelle

2093
Postleitzahl

Krs. Harburg

PFUL!

Rosenberga i nitka po nitce trafił do jednego z magazynów muzealnych, gdzie spoczywały zagrabione przez hitlerowców skarby z klasztoru pskowsko - pieczorskiego!

**Wykładane srebrem, perłami
i złotem wolumeny**

średniowiecznych ewangelii, puchary mistrzowskiej roboty, suto haftowane ornaty, medaliony, broń białą, ikony - w sumie 614 przedmiotów bezcennej wartości zabytkowej. Rząd RFN zmuszony został, pod naporem szalonego detektywa, "depozyt" ten oddać Rosji. Cerkiew rosyjska, po raz pierwszy w swoich dziejach, zaprosiła cudzoziemca wraz z całą rodziną do odwiedzenia słynnego klasztoru, aby mógł osobiście odebrać zasłużoną dziękczynną "gramotę" i medal Wielkiego Księcia Włodzimierza wybity dlań z woli Patriarchy Moskiewskiego. Rodzinę Steinów z wielkimi honorami obwożono po Złotym Pierścieniu, czyli po wczesnośredniowiecznych miastach Starej Rusi. Owsjanow, pisząc o tym podkreśla, że ani rząd Breżniewa, ani władze niemieckie nie były zachwycone tym wydarzeniem: Stein działał prywatnie, czyn jego miał charakter oskarżycielski w stosunku do bezprawnych "strażników skarbu" w RFN, zaś moskiewscy oligarchowie, niechętni wszystkiemu, co podsycalało nastroje "kultu religijnego", woleli całą sprawę pominąć milczeniem. Stein zaczął odbierać listy, których nadawcy nie kryli się z po-
tepieniem:

Wielce szanowna świnio Stein!

Twoja burzliwa działalność zmierzająca do odnalezienia tak zwanych skarbów historii rosyjskiej wywołuje uczucie wstrętu i oburzenia. Jesteś przecież Prusakiem, twój dom zburzyli bolszewicy, a ty wyłazisz ze skóry by im oddać to, co jakoby Niemcy im zabrali. Czyżbyś nie pamiętał, że lotnictwo sowieckie i artyleria obróciły w perzynę twój rodzinny Königsberg, a razem z nim setki niemieckich miasteczek i wsi. Königsberg zamienili w betonowe kosza-ry, a ty im chcesz pomagać? Gardzimy tobą. Wracaj do swojego sadu, zajmij się sprzedażą smacznych jabłek. Nie pchaj nosa w nie swoje sprawy! To ostrzeżenie, panie Stein! Jesteśmy przyjaciółmi starego Königsbergu. Dortmund 20 czerwca 1978 r."

Takie pocztówki otrzymywał Stein, gdy głośno stało się o jego pasji

Georg Stein poświęcił całe życie na tropieniu miejsc, w których hitlerowcy ukryli zrabowane skarby

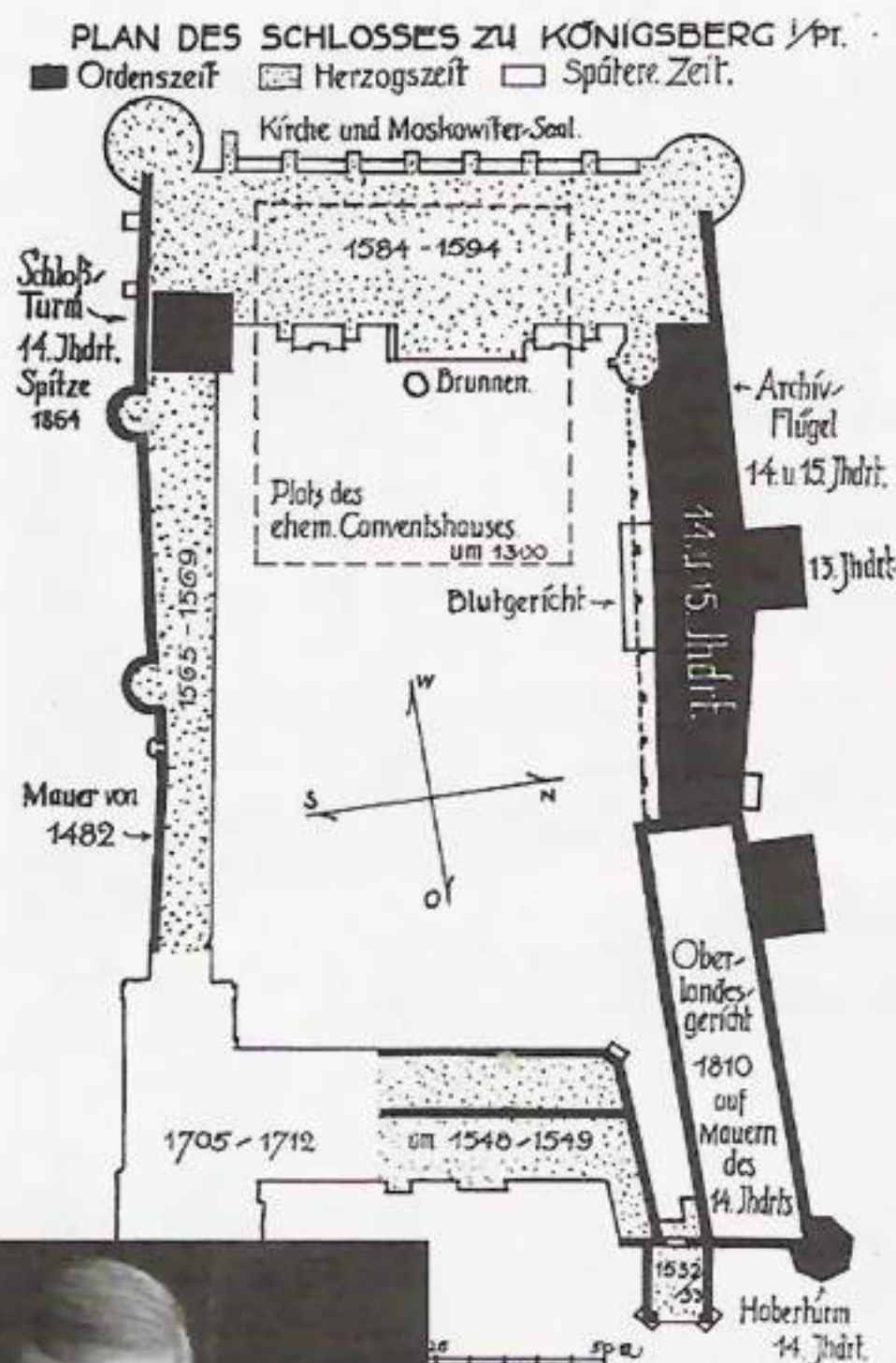


Zanim dojdziemy do tego dnia, gdy niezna-
ni dotąd sprawcy,

**siedemnaście razy uderzyli
Steina sztyletem**

i kroili go lekarskim lancetem, spojrzmy na niezwykle życie tego Niemca przez pryzmat Rosjanina, pułkownika Awenira Owsjanowa z Kaliningradu, który miał odwagę niedawno wyznać, że był jednym ze sprawców zburzenia Królewskiego Zamku w Koenigsbergu ("To ja wysadzałem ten zamek" - "Odkrywcą" 4/2001).

- Wiesz chyba Ryszardzie - pisał do mnie Awenir Piotrowicz w jednym z listów - że widuję się z synem Georga Steina, Gebhardem. Bywa w Kaliningradzie, odwiedza dom rodzinny, który cudem ocalał w nawale artyleryjskiej 1945 r., rozmawiamy o przeszłości i o kartonach z archiwalnymi dokumentami Georga, które po jego śmierci wykupił od rodziny baron Falz-Fein i przekazał do ambasady rosyjskiej w Szwecji. O szczegółach opowiem Ci kiedy indziej, teraz tylko podam podstawowe fakty z życia tego niezwyklego detektywa. Georg urodził się w 1922 r. w miasteczku Stelle koło Hamburga, w wieku czterech lat razem z rodzicami przyjechał do Königsbergu, gdzie Robert Stein, jego ojciec, znalazł pracę w zarządzie archiwów miejskich. Dobre zarobki pozwoliły na zakup domu



Jeden z rewelacyjnych dokumentów z archiwum Steina - plan podziemi Zamku Królewskiego w Królewcu

Philip Remy, realizator filmu o Bursztynowej Komnacie

istniejącego do dziś przy Waldstrasse (dziś ul. Chemiczna)

Robert odrzucił ideologię nazizmu

Wyszło to na jaw już w latach 30., a podczas wojny było przyczyną jego śmierci. Georg, jak i jego siostra Dorota - Luiza, dorastał zgodnie z obowiązującym szablonem: przynależność do Hitlerjugend, wstępne przygotowanie wojskowe, pochody z pochodniami. Świadectwem dojrzałości było wcielenie do wojska i transport na dno piekła, bo prosto na pole bitwy pancernej pod Kurskiem w jednostce saperów. Potem odwrót na linię Dniepru przez Białoruś do Prus. Brał udział w walkach pod Kłajpedą i w końcu - w obronie Königsberga jako żołnierz szturmowej formacji "Herzog" należącej do 52 korpusu armijnego 4 armii. Kiedy krwawe walki toczyły się już na Półwyspie Żemlandzkim, Georga dosięgła wieść, że jego ojciec i siostra zostali rozstrzelani latem 1944 r. po zamachu na Hitlera, oskarżeni o udział w spisku. Wkrótce potem

znalazł się w kotle koło Braniewa i tam trafił do niewoli

Po powrocie z Rosji przybył do miejsca swego urodzenia pod Hamburgiem, gdzie czekała nań ziemská posiadłość rodzinna. Georg zajął się hodowlą bydła i to przyniosło znaczne dochody. Założył rodzinę, żona Elizabeth, dwie córki -

Renata i Betti oraz dwaj synowie - Gebhard i Krzysztof - żyli w standardzie zamożnego mieszczaństwa, dopóki... W połowie lat sześćdziesiątych Stein niefortunnie przestawił gospodarstwo na sadownictwo, akurat w momencie, gdy drzewa dawały obfity plon - ceny na owoce raptownie spadły, dochody skurczyły się do minimum! Wtedy też - zbiegiem okoliczności - "wirus eksploracji" dotknął idealistę sadownika: jego kosztowne poszukiwania oraz zaniedbanie interesu handlowego przynosić poczęły rujnujące ubytki... Odszukanie skarbów klasztoru pskowsko-pieczorskiego kosztowało majątek, a Rosjanie odwiedzili się tylko medalem i wycieczką do Złotego Pierścienia. Rząd RFN ani myślał dziękować! Na dodatek tropiciel drażliwych tajemnic Trzeciej Rzeszy wpadł w kłopoty z urzędem podatkowym, który dopatrzył się nieprawidłowości w wypełnianiu dokumentów. Stein wpadł w korkociąg długów. Nad rodziną zawisła groźba utraty domu. Gdyby przerwał "szwendanie się" po archiwach, zaprzestał poszukiwań Bursztynowej Komnaty i nie dobijał się natrętnie do urzędów w Volpriehausen w Dolnej Saksonii, gdzie w kopalni Wittekind po wojnie

znaleziono 360 tysięcy tomów z biblioteki uniwersyteckiej

w Królewcu. Przychodziły nadal listy z pogrózkami, żona odbierała głuche telefony. Któregoś dnia znalazł ją w pokoju martwą, popełniła samobójstwo. Na temat zawartości ogromnego archiwum Georga Steina krążą legendy. Uważano nawet, że zostało po jego śmierci zniszczone, że wykradli je neonaziści, nikt nie przypuszczał jednak, że trafi ono do Kaliningradu! "Szalony baron" Falz-Fein, z Lichtensteinu (spokrewniony jakoby z rodem Romanowów) kupił je w tajemnicy od synów i córek Steina i... przekazał Rosji. Pierwszy "transport" dokumentów mieścił się - jak wspomina Awenir Owsjanow - w kilkudziesięciu pojemnych kartonach i zawierał oprócz papierów, 36 bębnow z mikrofilmami, pakiety ze slajdami i fotografiami. Materiały te dotyczą głównie regionu dawnych Prus Wschodnich, Koenigsbergu, dokumentują historię Bursztynowej Komnaty w okresie, gdy znajdowała się w Królewcu pod zarządem dr. A. Rohde, (jest tam również dokumentacja dotycząca jego samego), oraz prezentują wielki wachlarz dowodów świadczących o losach zagrabionych w Rosji dzieł sztuki, będących w aukcyjnym obrocie na zachodzie. Stein zebrał również obfity obciążający materiał ukazujący sprawców gigantycznej grabieży dokonanej na Wschodzie przez hitlerowców. Powstała dość osobliwa sytuacja: o prawo do tych dokumentów pretendować poczęło muzeum w Carskim Siole, jako, że

tam znajdowała się Bursztynowa Komnata

i jakoby miało ono lepiej wyposażone pracownie konserwatorskie! Awenir Owsjanow brał udział w tym sporze, gdy darczyńca Falz-Fein pofatygował się osobiście do Kaliningradu i obaj rozstrzygnęli spór na rzecz Królewca.

- Czy są jakieś korzyści z przejęcia tego archiwum? - spytał A. Owsjanowa.

- Ogromne. Dzięki niemu dysponujemy wzbogaconą wiedzą o zakresie dokonanej w Rosji grabieży dóbr kultury, wiemy, jakie były drogi ewakuacji skarbów, gdzie je koncentrowano w ostatniej fazie wojny, jaką rolę odgrywał w tym procederze Koenigsberg. Hitlerowskie rejestry zrabowanych arcydzieł z ich opisem zostały w Moskwie skopiowane i rozesłane do wszystkich krajów, które ucierpiały na skutek grabieży,

także i do tych, które bezkarnie handlują tym kradzionym mieniem. Wiele zabytków trafiło również do polskich muzeów w trakcie powojennych rewindykacji...

- Słyszałem o jakiejś "mapie skarbów".

- To fakt, George Stein daremnie ubiegał się o zgodę na przyjazd do Kaliningradu, próbował pokazać nam miejsca, gdzie należy skierować poszukiwania. Odmówiono mu również i wtedy, gdy odzyskał dla cerkwi bezcenne zabytki! W determinacji starał się nawiązać nawet kontakt ze Stasi, ze słynnym Paulem Enke, prosił o wizę do NRD - na próżno. Pozostawił dla nas mapę obwodu kaliningradzkiego, na której zaznaczył aż 72 punkty, wskazując gdzie mamy szukać. O dziwo! Większość z tych wskazań pokrywa się z naszymi tzw. rokującymi adresami. Z braku środków i wykwalifikowanych ekip eksploracja idzie w ślimaczym tempie. Ostatnio ekipy niemieckie i redakcja "Der Spiegel" zadeklarowały gotowość przeszukania terenów nieistniejącego Zamku Królewskiego, inna grupa prowadzi koncesjonowane badania w Baldze, a jeszcze inna w byłej kopalni "Anna".

- Czy do waszych rąk trafiło całe archiwum Steina?

- Na początku byliśmy przekonani, że to cały "pakiet akcji", ale obecnie wiem od Gebharda, syna Georga, że Falz-Fein nabył tylko część zasobu! Zabiegamy o skopiowanie reszty. To mówi wyraziście jak bardzo niebezpieczne było posiadanie takiego archiwum i jak bzdurne są przypuszczenia, że Stein popełnił samobójstwo...

- Jest jakiś szczególnie intrygujący ślad?

- Pominę ślady "wewnątrzniemieckie", które są nadal groźne dla wielu osób. Intryguje mnie szczególnie trop wiodący do dawnego Hermau - tam wedle osobistych notatek Steina, 28 stycznia 1945 r. był on świadkiem przybycia, nieomal na linię frontu, zabłakanych ośmiu ciężarówek wyładowanych po brzegi działami sztuki. Lejtnant hrabia Ungern Sternberg, dowodzący jednostką Steina, rozkazał porzucony ładunek ukryć w podziemiach bliskiego kościoła. Żołnierze przenieśli 80 skrzyń po 120 kg każda do gotyckich piwnic. W dwa dni potem wioska stała się polem zażartej bitwy i kościół zamienił się w stertę gruzu, batalion saperów opuścił pozycję, po jakimś czasie znów je odzyskał, ale teren był tak przeorany bombami, że trudno było zgadnąć gdzie znajdował się kościół. Syn Steina, Gebhard opierający się na tych notatkach, godzina po godzinie przeanalizował bieg zdarzeń i wyliczył miejsce, gdzie należy szukać śladu kościoła. Jeżeli i dzisiaj ten ślad trudno wypatrzeć, to tym większa jest szansa, że skrzynie pozostają nadal w ukryciu...

Archiwum Georga Steina pracuje nadal dla dobrej sprawy.

Ryszard Wójcik
Fot. archiwum autora,
archiwum A. Owsjanowa

Awenir Piotrowicz Owsjanow wykorzystuje dziś archiwum Steina dla dobrej sprawy



W archiwach znajduje się kolorowy film, przedstawiający żołnierzy amerykańskich prezentujących skarby kultury z tzw. złotego pociągu. Kadry z programu niemieckiej telewizji publicznej ZDF „Jäger verlorener Schätze - Das Reichsbankgold”, wyemitowanego wiosną 2001 roku



Skarby z porzuconego pociągu

Był poniedziałek, 16 maja 1945 roku. Choć działania wojenne w Europie skończyły się kilka dni wcześniej, żołnierze z plutonu podporucznika Josepha A. Mercera tak na wszelki wypadek odbezpieczyli pistolety maszynowe, gdy wchodzili w mroczną i wilgotną czeluść tunelu kolejowego w austriackich Alpach. Za chwilę mieli dokonać sensacyjnego odkrycia. 56 lat od tamtego odkrycia dokonanego przez amerykańskich żołnierzy historia ta ma swój ciąg dalszy. Do sądu w Miami wpłynął bowiem pozew węgierskich Żydów, którzy skarżą rząd USA o... paserstwo. I domagają się albo zwrotu zrabowanych przedmiotów, albo odszkodowań.

- Jest to wstydlivy rozdział w amerykańskiej historii - mówił na początku lat osiemdziesiątych Kenneth Alford, amerykański bankier i jednocześnie historyk-amator. To on w 1980 roku natrafił w amerykańskich archiwach na pierwsze dokumenty dotyczące rabunku skarbów przez żołnierzy US-Army. Po lekturze tych dokumentów Alford dodał: Wstyd tym większy, że jak wynika z akt, to amerykańscy generałowie jako pierwsi wyciągnęli rękę po skarby.

A historia ta zaczęła się w ów majowy poniedziałek 1945 roku w okupowanej przez Amerykanów części Austrii. Wysłany na patrol pluton, dowodzony przez podporucznika Mercera, w Alpach natrafił na tunel kolejowy. Któryś z żołnierzy spojrzał na mapę i odczytał jego nazwę - Tauern.

- Wchodzimy, ale ostrożnie - rozkazał Mercer. Żołnierze, wchodząc w mroczną i wilgotną czeluść tunelu, tak na wszelki wypadek odbezpieczyli pistolety maszynowe. Choć działania wojenne w Europie zakończyły się kilka dni wcześniej, w Alpach ukrywali się jeszcze uzbrojeni żołnierze niemieccy. Mogli być też i tu, w tunelu.

Po kilku minutach marszu, w słabym świetle laterek elektrycznych podwładni podporucznika Mercera zauważyli wagony stojące w tunelu pociągu towarowego. Podeszli bliżej, ale nigdzie nie było nikogo z obsługi pociągu, który - jak domyślili się żołnierze - stał tu już od kilku tygodni. Ktoś zerwał plombę i otworzył drzwi jednego z wagonów.

- Jezu Chryste, złoto! - wyrwało mu się.

Jeszcze tego samego dnia o odkryciu w tunelu Tauern dowiedział się generał Harry John Collins - dowódca 42. dywizji piechoty i jednocześnie gubernator wojskowy Salzburga. To na jego rozkaz kolejarze austriaccy, pod eskortą żołnierzy amerykańskich, ów złoty pociąg doprowadzili do Salzburga. I tam, przed rozładowaniem, dokładnie sprawdzili jego zawartość. Pociąg składał się z 52 wagonów. W 29 z nich znajdowały się skarby o bagońskiej wręcz wartości: sztaby złota, biżuteria, diamenty, porcelana, srebrne naczynia stołowe, dzieła sztuki, meble, perskie dywany i tym podobne przedmioty, które na początku lat dziewięćdziesiątych niemiecki „Bild am Sonntag” wycenił na 800 milionów marek.

General Collins, który uznał pociąg za zdobycz wojenną, wartość znalezionych skarbów szacował na 20 milionów ówczesnych dolarów.

Rychło też Amerykanie poznali historię złotego pociągu. Pod koniec wojny przewoził on

mienie zrabowane przez hitlerowców

węgierskim Żydom wysyłanym do obozów zagłady, a także przedmioty zrabowane z węgierskich muzeów. W pociągu tym najprawdopodobniej znajdowały się też cenne przedmioty, przekazane w depozyt przez bogatych Węgrów kolaborujących z prohitlerowskim reżimem. W obliczu nadciągających z wszystkich stron armii sprzymierzonych, niemiecka obsługa pociągu porzuciła go w tunelu Tauern.

Przez 35 lat zmowa milczenia pokrywała to, co działo się później, a podjęta jeszcze w 1948 roku próba wyjaśnienia zagadki złotego pociągu przez amerykańską urzędniczkę Evelyn Toker z wojskowego Zarządu do Spraw Sztuki i Pomników zakończyła się jej aresztowaniem. Po opuszczeniu więzienia wróciła na Florydę, gdzie otworzyła galerię sztuki. Wkrótce potem wszelki ślad po niej zaginął...

General Collins - jak ustalił Alford - mieniem z pociągu, które złożono w wojskowym magazynie, polecił urządzić swą salzburską rezydencję i zarekwirowane wille, dokąd trafiło wiele srebrnych nakryć stołowych, kryształów oraz „ogromna liczba mebli, dywanów i obrazów”.

Na początku lat dziewięćdziesiątych „Bild am Sonntag” pisał: „General Collins wiódł życie rozkapryszonego indyjskiego maharadży. Po zarekwirowaniu zamku w Zell rozkazał, w celu stosownego urzędujania jego wnętrz, przywieźć z salzburskiego magazynu między innymi 45 srebrnych nakryć, tyleż samo srebrnych talerzy i półmisków, 90 kompletów kieliszków, osobno do wina, szampana i likieru, a także drogocenne serwety i obrazy. Ale to jeszcze nie wszystko. General Collins był nienasycony. Zrabowanymi skarbami kazał wyposażać kilka innych zarekwirowanych zamków i willi. [...] Także jego specjalny wagon kolejowy urządzony został przedmiotami ze złotego pociągu”.

W ślady Collinsa szli jego oficerowie. Major Heyn pobrał dwie zastawy srebrnych naczyń, a pułkownik Leakey był skromniejszy

bo zadowolili się tylko jedną zastawą

Kapitan Brownyard przywłaszczył sobie sporo dywanów i srebra, a general Edwin Howard najpierw „zaopatrył” się w dziewięć dywanów, a później także w srebro i dwanaście talerzy.

Przykład z przełożonych brali również żołnierze. Ale ci mieli pecha. Pięciu szeregowców przyłapano na kradzieży z salzburskiego magazynu i zostali oni skazani na dwa lata ciężkiego więzienia każdy.

Niewielką część skarbów ze złotego pociągu zatrzymała armia, która później sprzedała niemal wszystko na aukcjach, a resztę przekazała nowojorskiej organizacji dobroczynnej, sprawującej opiekę nad ofiarami nazizmu.

Prawda wyszła na jaw dopiero w latach osiemdziesiątych w rezultacie kilkuletnich poszukiwań archiwalnych dokumentów przez historyka-amatora Kennetha Alforda. Jego ustalenia w 1999 roku potwierdziła działająca w USA prezydencka komisja do spraw odzyskania mienia ofiar Holocaustu. Administracja ówczesnego prezydenta Billa Clintona obiecała, że Stany Zjednoczone wypłacą zainteresowanym odszkodowania.

Teraz, gdy do sądu wpłynął pozew przeciwko rządowi USA, tenże - jak przewidują obserwatorzy - spróbuje zawrzeć pozasądową ugodę z prawnikami węgierskich ofiar Holocaustu. Po 56 latach sprawa złotego pociągu znajdzie więc swój finał, ale plamy z honoru armii amerykańskiej nie już nie zmaże.

W potocznej opinii Polaków, w 1945 roku rabowali przede wszystkim Rosjanie. Do rąk żołnierzy Armii Czerwonej „przyklejały” się nie tylko zegarki i inne cenne przedmioty, jak biżuteria, ale także na gigantyczną wręcz skalę rabowali oni dzieła sztuki, archiwalia i zbiory biblioteczne, po prostu dobra kultury.

Ale ta sama opinia przez długie lata nie dopuszczała do siebie myśli, że na zajętych terenach Trzeciej Rzeszy mogli też rabować Amerykanie. To wymysły - rozumowano - propagandy komunistycznej. A jednak Amerykanie rabowali na równi z Rosjanami. Wiadomo było o tym od dawna, ale dopiero badania prowadzone w minionych kilkunastu latach uchyliły rąbka tajemnicy w kilku zaledwie sprawach. Choćby owego złotego pociągu.

W 1945 roku, wkrótce po upadku Trzeciej Rzeszy, w tajemniczych okolicznościach

zniknęły niemieckie państwowe rezerwy złota

i walut obcych o obecnej wartości 2,5 miliarda funtów szterlingów. Ślady wiodły do Amerykanów okupujących Niemcy.

W tym samym 1945 roku amerykański porucznik John T. Meador, który pełnił służbę wojskową w Górach Harzu, w jakichś lochach koło miasta Quedlinburg odnalazł skarb szacowany dziś na około 200 milionów dolarów. Na ów skarb, będący jednocześnie bezcennym zabytkiem historycznym, składały się: bogato zdobiony złotem, srebrem i kamieniami szlachetnymi Ewangeliarz Samuela z IX wieku, równie bogato zdobiony modlitewnik z szesnastego stulecia, a także grzebień z kości słoniowej używany w obrzędach religijnych w wiekach VII i VIII oraz inne tego typu, ale bardzo cenne drobiazgi ze skarbca katedry świętego Serwacego w Quedlinburgu. Skarby te Meador włożył do kartonowego pudła i... pocztą polową wysłał za ocean, do domu.

Gdy paczka porucznika Meadora znajdowała się w drodze do USA, Sumner McCrosby, kierownik jednej ze specjalnych grup armii amerykańskiej zajmującej się zabezpieczaniem dzieł sztuki, sugerował, by dzieła te przejmować jako reparacje wojenne. Pisał bowiem, że „tego typu odszkodowanie jest o wiele łatwiej uzyskać. Niemcy mają bardzo mało do zaoferowania Ameryce oprócz dzieł sztuki. Mogą one zapłacić luki amerykańskiego muzealnictwa, które dzięki temu może stać się największym w świecie”. Sugestię McCrosby’ego uznano za prywatne zdanie oficera armii amerykańskiej i oficjalnie nie zajmowano się grabieżą skarbów kultury w pokonanych Niemczech i w Austrii.

Nieoficjalnie zaś tak, o czym świadczą przedstawione tu przykłady. Z wód oceanu wyłoniła się góra lodowa. Na razie pokazała tylko swój wierzchołek. Co kryje się w głębinach? Czy aby nie to, co w finałowej scenie głośnego swego czasu filmu „Poszukiwacze zaginionej arki” pokazał Steven Spielberg? Pokazał - przypomnę - gigantyczny magazyn dzieł sztuki „zabezpieczonych” przez Amerykanów. Zaiste, symboliczna to scena.

LESZEK ADAMCZEWSKI
Zdjęcia obrazu telewizyjnego
- Leszek Adamczewski

Sąd ukarał inwestora, który złamał umowę i nie dokonał niezbędnych badań archeologicznych

Wyrok za bezmyślność

Sąd w Elku skazał na trzy miesiące pozbawienia wolności w zawieszeniu na dwa lata inwestora, który podczas budowy willi zniszczył stanowisko archeologiczne. Na brzeżu jeziora, czyli teren, na którym budowano domek jest dawnym podgrodzem, a nieopodal wznosi się zamek krzyżacki z XIV w. Z tego powodu zgoda na budowę została udzielona pod warunkiem, że inwestor przed rozpoczęciem prac budowlanych zleci specjalistyczne badania archeologiczne.

Nie wykluczano bowiem, że na działce, na której miał zostać wzniesiony domek, mogą znajdować się cenne archeologicznie przedmioty. Ponieważ ten warunek nie został wypełniony, pracownicy Służby Ochrony Zabytków złożyli w prokuraturze wnioski przeciwko nieuczciwemu przedsiębiorcy. Został on oskarżony o dokonanie samowoli budowlanej na terenie ochronnej strefy konserwatorskiej. Budowa została wstrzymana, ale archeolodzy ubolewają, że bezpowrotnie została zaprzepaszczona możliwość poznania kontekstu historycznego ewentualnych znalezisk. Wyrok, jaki zapadł w połowie czerwca, powinien być przestrogą dla ludzi, którzy nie potrafią przewidzieć konsekwencji działań na terenach, na których przeszłość odcisnęła swoje materialne piętno.

Fl

Starodruki w niewoli

Zaostrza się sytuacja wokół inkunabułów skradzionych z Biblioteki Jagiellońskiej. Dzięki śledztwu prowadzonemu również przez dziennikarzy Gazety Wyborczej udało się odnaleźć 18 z 59 zrabowanych ksiąg. Okazało się, że miały zostać sprzedane za pośrednictwem niemieckiego domu aukcyjnego Reiss&Sohn. Antykwariusz Godeberd Reiss chciał uzyskać za bezcenne dzieła sumę około 3 mln marek. Polscy eksperci, którym umożliwiono dostęp do starodruków potwierdzili, że są to księgi pochodzące z Jagiellonki. Wówczas prokuratura w Krakowie wystąpiła do niemieckich władz o zapobieżenie próbie sprzedaży. Inkunabuły w ostatniej chwili zostały wycofane z aukcji i zatrzymane przez policję. Ponieważ jednak do dziś nie zostały zwrócone, krakowska uczelnia zdecydowała się na wystąpienie z pozwem wobec domu aukcyjnego. Od strony prawnej sprawę prowadzi kancelaria adwokacka z Frankfurtu nad Menem. Tymczasem londyński dom aukcyjny Christie's wstrzymał sprzedaż „Comediae” Plauta. Istnieje bowiem podejrzenie, że to bezcenne dzieło pochodzące z 1472 r. zostało również skradzione z Biblioteki Jagiellońskiej. Właściciel chciał je sprzedać za 35 tys. funtów. Teraz bezcenny starodruk zostanie poddany oględzinom ekspertów. Jeżeli podejrzenia zostaną potwierdzone, będzie to już trzecia skradziona pozycja pojawiająca się na aukcjach. Z krakowskiej biblioteki „zniknęły” łącznie 94 starodruki.

Fl

Według hinduskich ezoteryków Kraków jest jednym z siedmiu miejsc na świecie, w których znajdują się cudowne czakramy emitujące niezwykłą energię

"Dyrekcja Zamku Królewskiego na Wawelu i Zarząd Katedry Krakowskiej ostrzegają przed dawaniem wiary plotkom na temat istnienia na Wawelu cudownego kamienia (czakramu), nie opartym na jakichkolwiek przesłankach naukowych ani religijnych.

Informujemy, że:

- na Wawelu nie działają żadne siły mogące mieć pozytywny wpływ na stan psychiczny i fizyczny człowieka

- uprawianie praktyk okultystycznych nie licuje z godnością Wawelu, jako miejsca o najwyższych wartościach historycznych i religijnych

- udział w tego rodzaju praktykach jest sprzeczny z zasadami wiary katolickiej

Prosimy nie gromadzić się na krążanku, gdyż powoduje to tamowanie ruchu turystów i prowadzi do uszkodzeń zabytkowej ściany zamku".

Uniwersytetu Jagiellońskiego (zbieżność nazwisk przypadkowa - przyp.red.) - W tym przypadku jest mocniejsza, bo oprócz właściwości uzdrawiających, kamień potrafi podobno także zmienić charakter, a to w obecnych czasach jest bardzo pożądane. Przecież to jest mit, a z mitami nikt nie walczy. Z tego, co wiem to ogrodzenie ma charakter czasowy, ponieważ związane jest z kwestią zabiegów konserwatorskich. Zresztą chodziłem na Wawel przez trzy dni z rzędu i nie było tam żadnych tłumów. A ci, co chcieli, to i tak przechodzili przez barierkę i dotykali ściany. Tak naprawdę, to niewiele osób wie o istnieniu jakiegoś magicznego miejsca na Wawelu. Bo przedtem też specjalnych kolejek w tym miejscu nie było. - I tylko krakowska przekupka handlująca u podnóża Wawelu plastikowymi smokami i jarmarcznymi kopiani Szczerbca żałuje, że ludziom zabroniono dostępu do ściany.

Kamień niezgody

Ogłoszenie tej treści pojawiło się na Wawelu z polecenia dyrektora Jana Ostrowskiego. Dodatkowo ścianę, która emituje cudowne fluidy ogrodzono barierką, tak aby nikt nie mógł dotknąć miejsca, gdzie można poczuć promieniowanie. Dyrektor Ostrowski nie chciał nam wyjaśnić powodów, dla których podjął tak drastyczne środki. Stwierdził, że nie jest zainteresowany komentowaniem swojej decyzji. O opinię poprosiliśmy zatem Zbigniewa Święcha, autora książek poświęconych zagadkom historii.

- Podobnie jak cała Polska jestem zdziwiony, że ktoś walczy z legendą. Tym bardziej że takie magiczne miejsce to wspaniała promocja dla Wawelu. - Czakram to według legendy święty kamień mocy. Na całym świecie jest ich zaledwie siedem. Oprócz tego, który podobno znajduje się na Wawelu, są jeszcze w Now Delhi, w Mekce, Jerozolimie, Rzymie, Delfach i w Welehradzie na Morawach. Każdy z nich podobno został przyporządkowany jednej planecie. Ten z Krakowa przynależy do Jowisza. A ponieważ ten rok jest rokiem jowiszowym, więc moc kamienia jest znacznie większa.

Zbigniew Święch twierdzi, że każdy, kto dotknie ściany sąsiadującej z czakramem zostanie "naenergetyzowany" w indywidualny sposób. On sam czuje się po takim jednym seansie bardzo zrelaksowany. Są jednak tacy, których jakaś tajemnicza siła odrzuca od tego miejsca. Być może to w trosce o nich, magiczna ściana została odizolowana od zwiedzających.

Legenda czakramu pojawiła się na początku ubiegłego wieku. Podobno, jak utrzymuje Zbigniew Święch, o czakramie wiedział nawet Henryk Sienkiewicz. Ci, którzy również jak on wierzą w magiczną moc kamienia, mogą wybrać się do każdego w Polsce zamku. Bo zdaniem autora książki o czakramie, wszystkie zostały zbudowane w tajemniczych miejscach mocy. - Wiara w to, że istnieją zjawiska, które mają moc uzdrawiającą istniała od zawsze - wyjaśnia dr Jan Święch z Instytutu Etnologii

- Przecież byli tacy, co przyjechali z jakimś sprzętem i udowodnili, że coś tam promieniuje.

- A jak ma nie promieniować - odpowiada sceptycznie handlarz z sąsiedniego straganu - przecież w tym miejscu znajduje się transformator, który zasila cały Wawel.

Fil

Fot. R. Biczak

Wykorzystano także fot. z książki Z. Święcha „Czakram wawelski. Największa tajemnica wzgórza”.



Zbigniew Święch - autor książki o czakramie

Barierki pilnie strzegą dostępu do ściany emitującej cudowną moc



WYKOPANE ZNALEZIONE ODZYSKANE

Podczas prac wykopaliskowych pod Poznaniem odnaleziono niezwykle charakterystyczne szkielety ludzkie. Po przeprowadzeniu specjalistycznych badań trwających kilka lat, okazało się, że na cmentarzysku pochowano przedstawicieli rasy żółtej - mężczyzn w wieku około 25 lat, mierzących 160 cm wzrostu. To sensacyjne znalezisko może świadczyć o tym, że w X w. Wielkopolska przeżyła najazd ludów mongolskich. I nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że nie wspominają o tym żadne kroniki.



Wywóz z kraju starodruków udaremnił celnicy wspólnie ze strażą graniczną na przejściu w Zebrzydowicach. Cenne księgi usiłowała wywieźć koleją włoska para. Podczas kontroli bagażu znaleziono u nich sześć ksiąg pochodzących z XVI w., hebrajską biblię z XVIII w. oraz pergaminowe rękopisy. Wszystkie starodruki pisane są po łacinie, niektóre oprawiono w skórę i ozdobiono metalowymi klamrami. Wszystkie mają pieczęcie polskich antykwariatów.



Na starówce w Elblągu odkryto fragment średniowiecznego domu. Budowla pochodzi prawdopodobnie z XIII w. Do dziś zachowała się duża część ściany wykonanej z bali drewnianych uszczelnianych gałęziami, narożnik oraz podłoga. Wszystkie elementy zostaną poddane badaniom laboratoryjnym, jednak ze względu na duże koszty - ocalałe fragmenty budynku nie zostaną wyeksponowane w muzeum.



Ponad 20 krzemienianych noży wykopał na polu mieszkaniac Krowiej Góry w powiecie sandomierskim. Znalezisko pochodzi prawdopodobnie z IV w. przed narodzeniem Chrystusa. Noże wykonane są z tzw. krzemienia czekoladowego, który występuje na północnych i wschodnich obrzeżach Gór Świętokrzyskich. Były wykorzystywane prawdopodobnie przez ludność młodszych kultur naddunajskich. Jest to jedno z niewielu takich odkryć w kraju.



Średniowieczna dębanka została wydobyta z dna rzeki Radwi w pobliżu Bardzina. Łódź pochodząca z XVI w. nurkowie odkryli już niemal 20 lat temu. Nie wyłowili jej, gdyż Muzeum Okręgowe w Koszalinie nie miało pieniędzy na renowację zabytku. Fundusze znalazły się dopiero teraz i po niezbędnych zabiegach konserwacyjnych dębankę będzie można oglądać w salach muzealnych.



Zbiorowy grobowiec sprzed trzech tysięcy lat odnalazł rolnik z Trzebiatkowej koło Bytowa. Podczas prac polowych wyorał osiem glinianych urn z fragmentami ludzkich szczątków. Znalezisko pochodzi prawdopodobnie z początków kultury pomorskiej. Jest cenne tym bardziej, że według archeologów mamy do czynienia prawdopodobnie z pochówkiem rodzinnym. Niewykluczone, że są to pozostałości po osadzie sprzed trzech tysięcy lat.

Wszyscy - politycy, konserwatorzy i poszukiwacze skarbów są zgodni co do tego, że obowiązująca od niemal czterdziestu lat ustawa o ochronie dóbr kultury jest zła i przestarzała. Nie ma natomiast zgody co do przyszłego kształtu nowej ustawy. W sejmie leżą dwa projekty - poselski o ochronie dziedzictwa narodowego, który wpłynął do łaski marszałkowskiej w listopadzie 1999 roku oraz rządowy z marca bieżącego roku

Spory wokół ustawy

Rada Ministrów niemal przed rokiem proponowała Wysokiej Izbie odrzucenie projektu poselskiego. Niewątpliwym argumentem przemawiającym za tym była negatywna opinia Zespołu Integracji Europejskiej, który ocenił, że ów projekt nie jest dostosowany do prawodawstwa Unii Europejskiej.

Projekt został skierowany do komisji kultury z zaleceniem konsultacji z Komisją Sprawiedliwości i Praw Człowieka. Ponieważ jednak czas nagli, a Polska musi jeszcze wiele ustaw dostosować do prawodawstwa europejskiego, rząd opracował własny projekt. Dokument pozytywnie został zaopiniowany przez sekretarza Komitetu Integracji Europejskiej Jacka Saryusza - Wolskiego. Tymczasem według posła Zdzisława Podkańskiego, przewodniczącego podkomisji zajmującej się obydwoma projektami, ten przedstawiony przez Radę Ministrów nie powinien w ogóle zostać dopuszczony do pierwszego czytania, gdyż zbyt duże uprawnienia daje służbom konserwatorskim, a jednocześnie za mało chroni polskie zabytki przed wywozem za granicę. Sejm jednak i ten dokument skierował ponownie do komisji kultury. Obecnie opracowywane są poprawki projektu rządowego, uwzględniające niektóre artykuły z projektu poselskiego. Praca nad poprawkami miała zostać zakończona w ostatnich dniach czerwca. Potem miały rozpocząć się starania o przekazanie dokumentu pod obrady sejmu jeszcze obecnej kadencji. - Trudno będzie jednak przebić się z tym projektem, bo są siły, które za wszelką cenę starają się projekt przyblokować - twierdzi nasz informator. - To SLD chce, aby gotowy projekt został uchwalony przez posłów następnej kadencji, a cała chwała za to przypadła nowemu ministrowi kultury i dziedzictwa narodowego. Jednak bez względu na to, która formacja polityczna podpisze się pod ustawą, jedno jest pewne - będzie ona bardziej restrykcyjna dla poszukiwaczy, niż ta obowiązująca obecnie, ponieważ mogą wejść w życie przepisy zabraniające prowadzenia poszukiwań ze sprzętem elektronicznym oraz zakaz eksploracji podwodnej bez wymaganego zezwolenia.

Redakcja

Poniżej przedstawiamy wybrane artykuły obu projektów

Rządowy projekt ustawy o zabytkach

Art. 34

1. Organy ochrony zabytków w czasie uzgodnionym z właścicielem lub posiadaczem przedmiotu o przypuszczalnej wartości historycznej, artystycznej lub naukowej mogą prowadzić badania tego przedmiotu, w tym badania technologiczne, w miejscu, w którym przedmiot ten się znajduje, w celu stwierdzenia czy jest zabytkiem oraz ustalenia stanu jego zachowania i sporządzenia dokumentacji.

2. W przypadku odmowy udostępnienia przedmiotu, o którym mowa w ust. 1, wojewódzki konserwator zabytków może wydać decyzję nakazującą jego

udostępnienie na czas niezbędny do wykonania badań, jednak nie dłuższy niż 3 miesiące od dnia, w którym decyzja stała się ostateczna.

Art. 39

1. Osobom, które odkryły bądź przypadkowo znalazły zabytek archeologiczny przysługuje nagroda, jeżeli dopełniły one obowiązków określonych odpowiednio w art.37 ust. 1 lub w art.38 ust.1.

2. Przepisu ust. 1 nie stosuje się do osób zajmujących się zawodowo badaniami archeologicznymi lub zatrudnionych w grupach zorganizowanych w celu prowadzenia takich badań.

3. Warunki i tryb przyznawania nagród określi, w drodze rozporządzenia, minister właściwy do spraw kultury i ochrony dziedzictwa narodowego, uwzględniając rodzaje nagród, źródła ich finansowania i wysokość nagród finansowych.

Art. 41

1. Badania archeologiczne mogą być prowadzone po uzyskaniu pozwolenia wojewódzkiego konserwatora zabytków.

2. Pozwolenie na prowadzenie badań archeologicznych na polskich obszarach morskich wydaje dyrektor właściwego terytorialnie urzędu morskiego w uzgodnieniu z wojewódzkim konserwatorem zabytków właściwym dla miejsca siedziby urzędu morskiego.

Art. 44

Pozwolenia wojewódzkiego konserwatora zabytków wymaga także:

6. Poszukiwanie ukrytych lub porzuconych zabytków ruchomych, w tym zabytków archeologicznych, przy użyciu wszelkiego rodzaju urządzeń elektronicznych i technicznych oraz sprzętu do nurkowania.

Art. 131

1. Kto niszczy lub uszkadza zabytek podlega karze pozbawienia wolności od 3 miesięcy do lat 5.

2. Jeżeli sprawca czynu, określonego w ust. 1, działa nieumyślnie, podlega karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 2.

Poselski projekt ustawy o ochronie dziedzictwa narodowego

Art. 55

1. W razie uzasadnionej obawy zniszczenia, uszkodzenia lub wywiezienia zabytku bez zezwolenia za granicę, a także w razie niezapewnienia zabytkowi, pomimo wezwania ze strony służby konserwatorskiej należytych warunków konserwacji, na wniosek wojewódzkiego konserwatora zabytków, właściwy organ jednostki samorządu terytorialnego wydaje decyzję o tymczasowym zajęciu aż do chwili usunięcia zagrożenia.

Dokończenie na str. 53

Najwięcej obaw w środowisku eksploratorów wzbudza w rządowym projekcie artykuł, mówiący o tym, że pozwolenia wojewódzkiego konserwatora zabytków wymaga także poszukiwanie ukrytych lub porzuconych zabytków ruchomych, w tym zabytków archeologicznych, przy użyciu wszelkiego rodzaju urządzeń elektronicznych i technicznych oraz sprzętu do nurkowania. Dlatego zapytaliśmy rzecznika prokuratury okręgowej w Poznaniu Mirosława Adamskiego, czy to oznacza, że każdy, kto chodzi z wykrywaczem po lesie bez wymaganego zezwolenia staje się od razu przestępcą. Okazuje się, że nie.

- Czynności związane z postępowaniem karnym mogą być wykonywane tylko wówczas, jeżeli w ustawie znajdzie się zapis, że takie postępowanie zagrożone jest karą grzywny lub pozbawienia wolności. Jeżeli takiego zapisu nie ma to jest to tylko taki ładny zapis w ustawie - twierdzi rzecznik, przyznając, że nie jest tym wcale zaskoczony.

- Przecież ten, kto chodzi z wykrywaczem po lesie może twierdzić, że szuka w ten sposób grzybów.

- Interesowała nas również kwestia legitymowania w lesie poszukiwaczy.

- Prawo do tego ma wyłącznie policja i to tylko wówczas, gdy istnieje podejrzenie, że człowiek z detektorem jest poszukiwany listem gończym, lub funkcjonariusz byłby przekonany, że popełniane jest przestępstwo lub wykroczenie - wyjaśnił Mirosław Adamski.

Henryk Wendt
- Latebra - Fundacja na Rzecz Odzyskania Zaginionych Dziel Sztuki, Gdańsk

Należyte przestrzeganie dotychczas obowiązującego prawa spowodowałoby dostateczną ochronę istniejących dóbr kultury. Uważam, że w obydwu projektach nowelizujących starą ustawę o ochronie dóbr kultury są liczne niedociągnięcia. Tak naprawdę nie eliminuje się poszukiwań z wykrywaczem - przecież nikt nie może zabronić szukania w lesie zgubionych kluczy od domu. Każdorazowe pytanie konserwatora zabytków o zgodę na poszukiwania jest po prostu nierealne - jeżeli będę szukał na plaży, albo we własnym ogródku swojej własności, to konserwator też ma wydać pozwolenie? Ponadto jestem bardzo ciekaw, na jakiej podstawie takie pozwolenia będą wydawane, nie chciałbym, żeby było to zależne od dobrego humoru konserwatora. Jestem zwolennikiem karania świadomego dewastowania i rozkradania zabytków, ale chciałbym również, żeby osobom, które przyczynią się do ratowania zabytków np. znalezisk archeologicznych przyznawany był obligatoryjnie dyplom, a tego brakuje w projektach nowelizacyjnych.

Zbigniew Rekuć
- wiceprezes Oddziału Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Fortyfikacji, Warszawa

Wszystkie projekty, z którymi zdążyłem się zapoznać nie nadają się do wprowadzenia i przypuszczam, że nie zostaną zatwierdzone. Moim zdaniem, największym nieporozumieniem jest zrzucanie wszystkich decyzji na Wojewódzkich Konserwatorów Zabytków. To są urzędnicy, którzy mają pod swoim nadzorem ogromny obszar województwa po reformie administracyjnej i na głowie dużo więcej spraw niż wydawanie pozwoleń dla poszukiwaczy. Ponadto w świadomości pracowników urzędów konserwatorskich każdy poszukiwacz jest wrogiem i nie przypuszczam, żeby zwykli, nie zrzeszeni eksploratorzy mogli uzyskać jakąkolwiek zgodę na poszukiwania. Powinien zostać zawiązany odrębny zespół specjalistów, który byłby w stanie weryfikować informacje i udzielać pozwoleń. Wtedy istniałaby realna szansa, że wszyscy, którzy chcieliby działać legalnie, nie musieliby przełamywać wydumanych barier.



MAZURY INACZEJ

czyli

KRAINA TYSIĄCA JEZIOR I TYSIĄCA BUNKRÓW

Dwie armie rosyjskie pod dowództwem generałów Pawła von Rennenkampfa i Aleksandra Samsonowa wkroczyły 7 sierpnia 1914 roku do Prus Wschodnich, rozpoczynając na tym terenie I wojnę światową. Północne skrzydło armii Rennenkampfa przy bardzo słabym niemieckim oporze doszło pod Królewiec. Generał Samsonow, omijając twierdzę Boyen od południa podszedł pod Olsztynek, gdzie 26 sierpnia drogę zagroził mu Paul von Hindenburg ze 130-tysięczną armią. Rosjan było prawie dwa razy więcej, a jednak w ciągu trzech dni ponieśli straszną klęskę w tzw. drugiej bitwie pod Tannenbergiem (obecnie Stębark), zostawiając 30 tysięcy zabitych i prawie 100 tysięcy jeńców. Bitwa ta została okrzyknięta przez propagandę niemiecką wielkim odwetem za klęskę Krzyżaków pod Grunwaldem (w niemieckiej historiografii bitwa pod Grunwaldem znana jest jako bitwa pod Tannenbergiem). Trudno dziś stwierdzić, czemu Niemcy mieli brać rewanż na Rosjanach, a nie Polakach, można jedynie dociekać, że chodziło o zwycięstwo niemieckiego ducha i narodu nad słowiańskimi barbarzyńskimi hordami.

29 sierpnia generał Samsonow popełnia samobójstwo. Niemcy wypierają Rosjan daleko na wschód, zdobywając wiele sprzętu i broni. Nie znajdują tylko jednego: prawie stu kilogramów złotych monet przygotowanych na żołd dla armii. W ten sposób rodzi się legendarny

skarby generała Samsonowa

Nie tylko zaginiona pułkowa kasa ciągnie nas na Mazury. Wystarczy pomyśleć, że to już wakacje i od razu człowiek tęskni za jeziorami pełnymi żagli, ogniskiem na brzegu i tajemnicą, która w tym turystycznym sercu Polski jest przysłonięta przez pełne uroku leśne ostępy i zachody słońca nad Mamrami. Nie dajmy się jednak zwieść pozorom sielskiego krajobrazu, Mazury od wieków były miejscem bezwzględnej walki między narodami i religiami,

gdzie ofiarami padały nie pojedyncze osoby, lecz całe nacje. Wśród zielonych jezior i morenowych wzgórz nietrudno dziś znaleźć liczne relikty czasów wojen i tych z XX wieku, i tych wcześniejszych, z czasów, gdy ziemie te zamieszkiwało jedenaście pruskich plemion. Wiele tu krzyżackich zamków, pradawnych grodzisk, szaniec i wreszcie XIX oraz XX-wiecznych fortyfikacji.

Wróćmy jednak do skarbu Samsonowa. Nieszczęsny generał po przegranej bitwie odbiera sobie życie niedaleko Wielbarka, w miejscu zwanym Karolinka. Podczas naszej podróży spotkaliśmy poszukiwacza Janusza, który z wykrywaczem dokładnie przebadł obszar wokół ostatniej kwatery generała i znalazł pistolet produkcji rosyjskiej, porzucony w odległości około trzydziestu metrów od miejsca domniemanego samobójstwa. Czy należał on do samobójcy? Z pewnością nie, ale

to zawsze cenne znalezisko. Pistolet zostanie przekazany w najbliższym czasie muzeum, lecz zanim to nastąpi mamy nadzieję zaprezentować go na stronach "Odkrywcy".

Zwycięzca spod Tannenberga feldmarszałek Hindenburg spoczął niedaleko od swego pokonanego przeciwnika. W pobliżu Olsztynka, w 10 rocznicę bitwy rozpoczęto budowę wielkiego monumentu ku czci poległych. Denkmal Tannenberg był dziełem w stylu niemieckiego monumentalizmu. Otwarty we wrześniu 1927 roku, stał się symbolem niemieckiego ducha wojny. W siedem lat później został przekształcony w mauzoleum, gdzie pochowano Paula von Hindenburga. Jak pamiętamy feldmarszałek był głównym twórcą i wykonawcą polityki Niemiec w pierwszych trzech dekadach XX wieku. Od 1916 szef sztabu, a od 1925 prezydent republiki Nie-

miec, w 1933 roku mianował Adolfa Hitlera kanclerzem Rzeszy. Zmarł w 1934 roku w niedalekim Ogrodzieńcu (Neudeck). Nic dziwnego, że nazistowska propaganda uczyniła z niego bohatera odrodzonych, wielkich Niemiec. Każda z ośmiu 20-metrowych wież tego przypominającego krzyżacki zamek monumentu miała swoje określone przeznaczenie.

W wieży piątej spoczęło ciało feldmarszałka

Obecnie nie ma już śladu po pomniku, a granitowe płyty wykorzystano, o ironio, do budowy pomnika wdzięczności Armii Radzieckiej w Olsztynku.

Pozostawmy na razie okolicę wielkiej bitwy z jej skarbem i ruszajmy na północ. Naszą bazą wypadową staje się Twierdza Boyen w Giżycku. Temu ukończone-



Zdewastowane wnętrze piramidy w Rapie



Pałac Wilhelma II w Drogonach



Wiadukt, z którego odbywają się skoki na bungy

mu w swej zasadniczej części w 1855 roku obiektowi na prześmyku między jeziorami Niegocin i Kisajno, zawdzięczamy piękno wielu mazurskich zakątków. A stało się tak, gdyż w połowie XIX wieku istniały plany obniżenia lustra wody jezior o ponad 4 metry, wiele akwenów miało zniknąć, a niektóre, jak Śniardwy miałyby głębokość 1-1,5m. Taki zabieg miał na celu uzyskanie nowych powierzchni uprawnych. Na szczęście dla jezior w budżecie Prowincji nie było dostatecznej ilości pieniędzy na dwie inwestycje jednocześnie i wygrała opcja militarna - zbudowano Twierdzę Boyen. Odtąd forteca stała się decydującym ogniwem systemu obrony Prus Wschodnich przed najazdem ze Wschodu.

Zresztą opcja militarno-wojenna od tamtych czasów wielokrotnie wpływała na krajobraz tego regionu. Warto przypomnieć, że znajduje się tutaj ponad 1100 schronów, bunkrów i punktów dowodzenia podzielonych na 15 głównych linii umocnień. Część z nich miała znaczenie obronne, a inne pełniły funkcję punktów dowodzenia. Najbardziej znanym obiektem jest oczywiście "Wolfsschanze" w Gierłożu. Z tego miejsca Hitler przez prawie 800 dni prowadził wojnę i w tym miejscu dokonano zamachu na jego życie. Obecnie żelbetonowe, ciężkie bunkry klasy B są w stanie ruiny, wysadzone zostały jeszcze przez wycofującą się armię niemiecką. Jeśli jednak jesteśmy zainteresowani podziwianiem żelbetonowych ścian sześciometrowej grubości, proponuję wybrać się raczej do stanowiska dowodzenia Naczelnego Dowództwa Wojsk Lądowych w Mamerkach przy ujściu Kanału Mazurskiego do jeziora Mamry. Stoją tam dwa nie zniszczone bunkry i liczne obiekty towarzyszące, a na niedalekiej wyspie Upałty znajdowało się kasyno oficerskie, może więc warto ponurkować przy słupach spalonego mostu, który do niego prowadził?

Wydaje się, że

bunkry w Gierłożu zostały zniszczone

głównie ze względów propagandowych. Niemcy zmarnowali olbrzymie ilości materiałów wybuchowych, by zburzyć w zasadzie bezużyteczne obiekty, podczas gdy kilkanaście kilometrów dalej pozostały takie same nie naruszone. Ten brak logiki można wytłumaczyć tym, że nie do pomyslenia było, by "Iwan" zdobył nietkniętą kwaterę Wodza. Nie wiadomo natomiast, czy istniały jakiegokolwiek, poza płytko położonymi technicznymi kanałami, podziemia pod kwaterą. Z powojennych zeznań członków SS, którzy służyli w obiekcie wynika, że pod bunkrami były windy i maszynownie rozłożone na kilku piętrach. Ta sprawa wymaga wyjaśnienia i zapewne w przyszłości

zajmiemy się jej rozwikłaniem, podobnie jak sprawą obiektu w punkcie dowodzenia sztabu lotnictwa "Robinson" zlokalizowanego niedaleko Gołdapi. Tam, w lesie przy drodze do przejścia granicznego, nietrudno odnaleźć instalację określaną jako: "Hamownia silników rakietowych typu V". Naszym zdaniem obiekt jest faktycznie ciekawy, lecz absolutnie nie mógłby służyć domniemanemu celowi. Pikanterii sprawie dodaje także fakt, że został on wysadzony dopiero w latach 80. i to przy samej radzieckiej granicy, czyli za wiedzą i może aprobatą Wielkiego Brata. O kwaterach i stanowiskach dowodzenia w niedalkiej przyszłości będziemy pisali na łamach "Odkrywcy" teraz więc wróćmy do umocnień.

Wojtek Rużewicz, członek zarządu północnego oddziału Towarzystwa Przyjaciół Fortyfikacji, wybitny znawca mazurskich relikwów wojny stał się naszym nieocenionym przewodnikiem po ukochanym przez siebie świecie schronów, bunkrów, okopów i stanowisk obserwacyjnych. Z Twierdzy Boyen udajemy się do niewielkiego miasteczka Kruklanki, leżącego w paśmie Rejonu Umocnionego Giżycko. Staraniem władz, wokół miejscowości powstała unikatowa ścieżka spacerowa wiodąca obok ponad siedemdziesięciu obiektów obronnych zlokalizowanych wokół miasteczka. Dokładniejszych informacji możemy zasięgnąć w miejscowym punkcie informacji turystycznej. Podczas wędrówki naszą uwagę niewątpliwie przyciągną ruiny wysadzonego mostu na rzeczce Sapinie. Bylibyśmy jednak w błędzie sądząc, że jest to dzieło saperów wycofującej się armii. Zniszczenia dokonali w 1946 roku sami mieszkańcy Mazur, broniąc w ten sposób swych rodzinnych stron przed grabieżami Armii Czerwonej i unieszkodliwiając jeden z dwóch kolejowych szlaków, którymi dobra wywożono na wschód.

Mieszkańcy nie tylko tak się bronili, w Giżycku na cmentarzu spoczywa kilkuset czerwonoarmistów, którzy zostali zabici, gdy dokonywali gwałtów albo

zatruli się produktami miejscowej gorzelni

Oglądając umocnienia wokół Kruklanek zwróćmy także uwagę na charakterystyczny element licznych mazurskich umocnień, tzw. "Garnki Kocha", czyli betonowe stanowiska ogniowe, budowane poprzez wylewanie materiału bezpośrednio do wykopu z wewnętrznym szalunkiem. Miejscami możemy także wplątać się w oryginalny drut kolczasty, różniący się od obecnego bardzo gęstym rozmieszczeniem kolców.

Podążając dalej na północ, jeszcze przed Węgorzewem, po-



starajmy się zboczyć kilkaset metrów z trasy na Górę Myśliwską. Tam wśród kępy drzew znajdziemy nie tylko piękny widok na jezioro Świętajny, ale przede wszystkim jedną z wielu rozrzuconych wśród jezior i rzek pierwszowojennych nekropolii. W większości zadbane cmentarzyki połączyły na wieczność leżących nierzadko we wspólnych mogiłach żołnierzy niemieckich i rosyjskich. A czasem tak, jak na przesmyku między Niegocinem a Jagodnem, w jednym dole pochowano również Polaków i Mazurów. Ten zagubiony w lesie cmentarzyk odkryliśmy, korzystając z jednej z tras rowerowych wiodących przez Północne Mazury.

Rower to chyba najodpowiedniejszy środek lokomocji do poznawania mazurskich uroków. Bardzo liczne biwaki, campingi i przydrożne bary pozwalają na swobodne poruszanie się bez obawy o nocleg i posiłek. Głód zastał nas w Rydze, jednej z wielu zadbanych miejscowości dla "krawatów", czyli ważniaków ze stolicy. I tam

dokonaliśmy kulinarnego odkrycia

w jadłodajni u Pani Zofii, ale to zupełnie inna historia. Po-

wróćmy znów do naszej wyprawy wokół jeziora Mamry, jak już wspomniałem w Mamerkach, obok kwatery OKH wpada do jeziora nieukończony kanał, kolejna wielka propagandowa budowa Prus.

Budowę Kanału Mazurskiego rozpoczęto w 1911 roku, choć pierwsze plany powstały już w połowie XIX wieku. Ten 52-kilometrowy szlak wodny miał połączyć zespół wielkich jezior mazurskich z rzeką Pregołą. Planowano przewozić nim, za pomocą barek o wyporności 240 ton, drewno z Mazur, a w drodze powrotnej zabierać surowce z portu w Królewcu. Kilkakrotnie wznawiana i przerywana budowa została ostatecznie porzucona w 1940 roku, głównie z powodu braku jakiegokolwiek sensu ekonomicznego przedsięwzięcia. Wszelkie opowieści o tym, że kanał miał służyć do transportowania łodzi podwodnych należy traktować z dystansem, bo żaden ze znanych modeli U-boota po prostu nie zmieściłby się w basenach śluz. Na nieczynnych odcinkach kanału, wśród nasypów, jazów i wielkich nieukończonych betonowych śluz, można zamiast barek spotkać żeremia bobrów.

Uroczystości związane z pogrzebem Paula von Hindenburga 7 sierpnia 1934 roku. Z prawej: Tannenberg-Denkmal przed przebudową



W niewielkiej odległości od śluz Leśniewo Górne, Wojtek poprowadził nas na pole bitwy z czasów pierwszej wojny światowej. Kilka minut pracy wykrywacza dało efekt w postaci czubka pocisku artyleryjskiego, być może znaleźlibyśmy więcej, ale niestety deszcz i komary nie pozwoliły dokonać dzieła. Komary to zresztą zdaje się powszechna plaga Mazur. Są wszędzie i zupełnie nie znają się na działaniu środków typu Off...

No tak, ale Mazury to przecież nie tylko bunkry, schrony, militaria i cmentarze, to przede wszystkim piękna, jeszcze miejscami dzika przyroda, a także wielkie, piękne pałace, zamki i związane z nimi legendy i tajemnice. W odróżnieniu od Dolnego Śląska, mazurskie rezydencje i posiadłości nie zostały w zasadzie nigdy poddane szczegółowym badaniom i poszukiwaniom. Pozostają jakby w cie-

niu i zapomnieniu, a przecież to tutaj działał

gauleiter Koch, znający tajemnicę Bursztynowej Komnaty

i tysiące zrabowanych z Rosji dzieł sztuki. To tutaj żyło wiele znamienitych i bogatych rodów, w popłochu opuszczających swoje siedziby w 1914 i w 1944 roku. Na pewno zostawiali liczne depozyty i skrytki, ale w odróżnieniu od Dolnego Śląska nie odnaleziono żadnych list takich miejsc, ani nie starano się nawet zinwentaryzować domniemanych skarbów. Tak więc pamiętajmy, że pod względem skarbowym jest to teren dziewiczy, jakby omijany przez poszukiwaczy. A to błąd. Podczas naszej podróży rozmawialiśmy z osobami opowiadającymi o zatopionych skrzyniach, ukrytych w lasach ziemiankach, zamurowanych piwni-

cach dawnych rezydencji i jeżeli w co dziesiątej opowieści kryło się ziarno prawdy, to do odkrywania jest tu na prawdę wiele. Oczywiście nikogo nie namawiamy do rozkuwania ścian, spuszczenia jezior czy przekopywania nowych kanałów. Na początek poszukajmy faktów i dokumentów, pójdźmy śladem konkretnych historii i rozmawiajmy z mieszkańcami. Wiele z dawnych rezydencji nabiera ostatnio znów świetności. Tak się dzieje w Sorkwicach, Sztynorcie czy Drogoszach. Pałace są odnawiane i przekształcane w hotele lub ośrodki wypoczynkowe. Wszelkie renowacje odbywają się pod okiem konserwatora zabytków, a nowi właściciele zbierają dokumentację dotyczącą przeszłych czasów. Jeżeli ładnie poprosimy na pewno nie odmówią nam dostępu.

Niestety, wiele pięknych budowli zostało bezpowrotnie zniszczonych, lecz przecież gdzieś w zarośniętych fundamentach, zawalonych piwnicach czy nieczynnych studniach

może na nas czekać prawdziwy skarb

Pamiętajmy jednak, by za każdym razem szanować prawo i nie dewastować zabytkowych budowli.

Dawni mieszkańcy Mazur też wielokrotnie parali się poszukiwaniami, zwłaszcza w XIX wieku szczególnym zainteresowaniem niemieckiej arystokracji cieszyła się archeologia i to ta w wydaniu bliskowschodnim. Liczne podróżyowano do Egiptu, by podziwiać tam piramidy i grobowce faraonów, a legendy o mocy, która towarzyszyła tym budowlom i pozwalała na "życie po życiu", musiały oddziaływać na żadne wieczy umysły. Nie inaczej było z rodem Farenheidów, który za swe siedlisko wybrał Bejuny niedaleko obecnej wsi Rapa. Natchnieni myślą o nieśmiertelności swej zmarłej 3-letniej córki Ninette von Farentheid, postanowili zbudować rodzinny grobowiec wła-

śnie w kształcie piramidy. W 1812 roku grobowiec został ukończony, choć - co zastanawiające - przy budowie nie zachowano klasycznych egipskich proporcji. Wewnątrz składano kolejnych zmarłych członków rodziny i przyjaciół, a piramida spełniła w pewnym sensie swoją rolę mumifikując znajdujące się tam zwłoki. Lecz umarli nie zaznali spokoju, grób był wielokrotnie profanowany, trumny niszczone, a ciała pozbawione głów.

Z Rapy podążamy w stronę Gołdapi leżącej na skraju Puszczy Romnickiej. Wspominałem już o siedzibie dowództwa Luftwaffe "Robinson" i tajemniczej hamowni. Obecnie na terenie kwatery znajduje się sanatorium, którego stołówka jest urządzona w dawnym kasynie oficerskim. Podczas stanu wojennego internowano tam działaczki Solidarności. Samo miejsce wywołuje raczej przygnębiające wrażenie: schrony, gęszcz pokrzyw i droga przegrodzona granicznym szlabanem.

Okolice Gołdapi były świadkiem mało znanego epizodu z wojny polsko-niemieckiej 1939 roku. To tutaj prawie 30 kilometrów w głąb terytorium Trzeciej Rzeszy wdarły się jednostki 2. i 3. pułku ułanów z Suwalskiej Brygady Kawalerii. Polskie uderzenie ruszyło w nocy z 2 na 3 września z rejonu miejscowości Bakałarzewo. Niemcy nie spodziewali się polskiej akcji i dopiero po kilkunastu godzinach

zdołali wyprzeć naszych ułanów

Była to najdłuższa "okupacja" niemieckich terenów podczas kampanii wrześniowej. Jesienią 1940 roku Niemcy zaczęli umacniać rejon Bakałarzewa, czerpiąc doświadczenia z wrześniowych walk, miał służyć jako zabezpieczenie niedaleko przebiegającej granicy ze stalinowską Rosją. Obecnie na terenie umocnień tworzony jest skansen fortyfikacyjny.



Wysadzony przez mieszkańców na linii kolejowej Kurklanki- Olecko

Z Gołdapi biegła też zlikwidowana obecnie linia kolejowa do Żytkiejmy. To na niej zbudowane zostały słynne wiadukty w Stańczykach. Zgodnie z naszymi oczekiwaniami wiadukty godne są podziwu, smukłe, spinające ze sobą dwa wysokie nasypy. Na szczycie spotykamy śmiałków skaczących na bungu w 40-metrową przepaść. Miejsce jest piękne, widoki rozległe, a zgromadzeni turyści oczarowani i chyba tylko my zastanawiamy się nad sensownością budowy niezwykle kosztownych wiaduktów nad niewielkim strumieniem. Wystarczyłby niewielki przepust w nasypie, a tu taka budowla. Co najmniej dziwnym wydaje się także budowanie podwójnych mostów na jednotorowej linii kolejowej, przecież nie planowano dobudowy drugiej nitki? Odpowiedź zdaje się znów tkwić w militarno-propagandowym charakterze polityki, jaką Niemcy prowadzili w swojej najbar-

kiej na wschód wysuniętej prowincji. Dwa mosty znacznie trudniej było zbombardować czy wysadzić, a z doświadczeń Wielkiej Wojny wynikało, iż w następnym ewentualnym konflikcie szybki transport kolejowy wojska będzie miał kluczowe znaczenie, więc jeden wiadukt był zawsze rezerwowym. A czemu w ogóle powstały? Zapewne dlatego, iż Państwo Niemieckie pragnęło zaprezentować swe możliwości techniczne i produkcyjne, dać do zrozumienia swym oddalonym od Berlina obywatelom, iż o nich pamięta i inwestuje w ich wygodę i bezpieczeństwo. No cóż, osiemnaście lat później Niemcy odeszli, a wiadukty stoją do dziś.

Proteus
Zdjęcie: Proteus,
fotografie archiwalne
pochodzą z książki
Ryszarda Kuźniewskiego
„Olsztynek w fotografii”

Zamachy na Hitlera

Jak wiemy, najbardziej znany zamach na wodza Trzeciej Rzeszy został przeprowadzony 20 lipca 1944 roku w "Wilczym Szańcu" przez Clausa von Stauffenberga. Nie był to jednak pierwszy zamach na Hitlera, od 1933 roku podobnych prób podejmowano kilkadziesiąt. W związku z tym nasuwa się pytanie: dlaczego alianci nigdy nie dążyli do dokonania zamachu? Przecież dokładnie wiadano, gdzie znajdowała się kwatery i kiedy przebywał w niej Hitler. Nigdy w te miejsca nie zrzucono ani bomb, ani desantu. A „Wilczy Szaniec” nie był dobrze broniony. Do jego ochrony przeznaczono oddział SS w liczbie 2000 żołnierzy, który stacjonował prawie 30 kilometrów dalej i był oddzielony od kwatery jeziorem!!! Latem 1944 roku jedenastoosobowy oddział AK z grupy Pomorze dostał się w celach rozpoznawczych na odległość 10 km od Gierłży, co potwierdza, że nawet niewielki desant mógł zabić Hitlera! A jednak tak się nie stało.



Paul von Hindenburg i Adolf Hitler na uroczystościach w Tannenbergu w 1933 roku

Gazeta Rycerska

I/Styczeń 2002

Szlachetni Rycerze i Woje oraz wszyscy nasi cywilni Czytelnicy!

W grudniu 2001 roku, tuż przed świętami Bożego Narodzenia zamierzamy wydać nowe pismo, które całkowicie będzie poświęcone sprawom rycerstwa, kulturze średniowiecza, zwyczajom dawnych wojowników, życiu codziennemu na dworach i zamkach, a także współczesnym rycerzom, bractwom, rzemieślnikom, którzy pracują na ich zamówienie, grupom rekonstruującym dawne tańce, obrzędy i muzykę, turniejom, broni i festynom archeologicznym. Pierwszy tytuł, jaki nam się nasunął dla tego nowego pisma to oczywiście „Gazeta Rycerska”, ale przecież nie o samych rycerzach będziemy pisać. Dlatego prosimy Was o pomoc. Pomóżcie nam znaleźć odpowiedni tytuł. Dla osoby, której pomysł wygra, przygotowaliśmy niespodziankę. To hełm ufundowany przez Michała Kosewskiego, znanego płatnerza z Chotomowa. Michał Kosewski wykona dla zwycięzcy tzw. psi pysk, absolutny rarytas, który składa się z dwóch kawałków blachy. W czasach bitwy pod Grunwaldem na ten mogli sobie pozwolić tylko nieliczni.

Propozycje prosimy nadsyłać do 30 września na adres naszej redakcji lub pocztą elektroniczną:
rycerze@odkrywca-online.com

Poszukujemy również autorów oraz wszelkich osób, które chciałyby z nami w jakikolwiek sposób – oczywiście na rycerskich zasadach współpracować. Piszcie do nas również o tym, co – oprócz wyżej zaznaczonych tematów – powinno się jeszcze znaleźć w tym średniowiecznym periodyku.



przegląd 2001

- 13.07 – 14.07 „CYKLOSPORT-MASTERS”**
Ogólnopolski Górski Maraton Bystrzycki Cykloportu;
Informacja: Biuro Związku Gmin Śnieżnickich ul.
Rycerska 20, 57-500 Bystrzyca Kłodzka
- 14.07 FESTIWAL TECHNOLOGICZNO-TURYSTYCZNY
KU-NICE KONECKIE**
Końskie, Sielcia Wielka, teren Muzeum Zagłębia Sta-
ropolskiego; organizator: Starostwo Powiatowe w
Końskich, ul. Partyzantów 1, 26-200 Końskie
- 14.07 „ZŁOTO BAŁTYKU USTKA 2001”**
I Otwarte Mistrzostwa w Wyłukiwaniu Bursztynu;
organizator: Związek Stowarzyszeń Usteckich w Ust-
ce, informacji udziela: Centrum Kultury, Rekreacji i
Promocji Ustki, tel. (059) 814-55-86, tel/fax (059)
814-47-69; Centrum Informacji Turystycznej tel.
(059) 814-71-70, tel/fax (059) 814-99-26
- 14.07 - 21.07 MIĘDZYNARODOWY ZŁOT TURYSTÓW – KOLARZY**
Giżycko; organizator: Giżyckie Centrum Kultury
- 14.07 – 28.07 SPŁYW WAKACYJNY Rospuda – Netta – Biebrza**
Filipów – Osowiec turystyka kajakowa; organizator:
Wrocławski Klub Wodniaków „Wiadrus”, Biuro Pro-
gramowe: Rynek – Ratusz 11/12, 50-106 Wrocław
- 15.07 SUWAŃSKI FESTYN FOLKLORYSTYCZNY
„NA ZIEMI JAĆWINGÓW”**
Wiżajny – stadion; organizator: Starostwo Powiato-
we w Suwałkach, ul. Noniewicza, 16-400 Suwałki
- 20.07 – 22.07 WESTERN PIKNIK WOLIN PARK SUŁOMINO**
Sułomino; organizator: Północna Izba Gospodarcza,
ul. Wojska Polskiego 164, 71-335 Szczecin
- 20.07 – 22.07 V WIELKI TURNIEJ RYCERSKI
„GRYFA POMORSKIEGO”**
Bytów, zamek z XIV w.; organizator: Kaszubsko –
Pomorskie Bractwo Rycerzy Zamku Bytowskiego, ul.
Zamkowa 2, 77-100 Bytów
Szczegóły patrz reklama z tyłu kalendarza
- 21.07 TRAGARIA 2001**
II Mistrzostwa Tragarzy Lektyk, Karpacz; organizator:
Urząd Miasta Karpacza. W programie: wybory miss
pasażerek, wyścig o Wielką Wstęgę Włosów z Brody
Ducha Gór. Zapisy od godz. 12.00 www.karpacz.pl
- 21.07 – 22.07 „OBLĘŻENIE MALBORKA**
Malbork – zamek; organizator: Muzeum Zamkowe
ul. Starościńska 1, 82-200 Malbork
PATRON MEDIALNY - ODKRYWCA
- 21.07 – 22.07 DNI BIELSKA – BIAŁEJ W USTCE
„GRUPA FURMANA”**
organizator: Związek Stowarzyszeń Usteckich w Ust-
ce, informacji udziela: Centrum Kultury, Rekreacji i
Promocji Ustki, tel. (059) 814-55-86, tel/fax (059)
814-47-69; Centrum Informacji Turystycznej tel.
(059) 814-71-70, tel/fax (059) 814-99-26
- 21.07 – 29.07 OGÓLNOPOLSKI RAJD „SZLAKIEM SKALNYCH
GRZYBÓW” – turystyka górską**
Góry Stołowe, organizator: Komisja Turystyki Gór-
skiej, Koło PTTK Nr 1, Biuro Programowe Rynek
Ratusz 11/12, 50-106 Wrocław
- 22.07 OGÓLNOPOLSKI BIEG HOMOLAN**
Kudowa Zdrój;
informacje: Referat Kultury Urzędu Miasta
ul. Zdrojowa 44, 57-350 Kudowa Zdrój
- 27.07 – 28.07 WROCŁAWSKA GIEŁDA STAROCI**
Wrocław, ul. Gnieźnieńska 6/8;
organizator: Spółdzielnia Pracy Transportowców
- 28.07 TRZEBIESKIE NEPTUNALIA**
Trzebież - park miejski;
organizator: Miejski Ośrodek Kultury w Policach,
ul. Siedlecka 1a, 72-010 Police
- 28.07 KASZUBSKA SOBOTA**
Bytów, zamek z XIV w.;
organizator: Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie
Oddział w Bytowie,
ul. Zamkowa 2, 77-100 Bytów
- 29.07 – 31.07 BYTOWSKA WATRA**
Udorpie - scena nad jeziorem; organizator: Związek
Ukraińców w Polsce, Zarząd Koła w Bytowie, ul.
Wojska Polskiego 12, 77-100 Bytów
- 29.07 „CO MA PŁYWAĆ NIE UTONIE”
– VI MISTRZOSTWA POLSKI
W PŁYWANIU NA BYLE CZYM**
Augustów, błonia nad rzeką Nettą; organizator: Au-
gustowskie placówki kultury, Urząd Miejski w Augu-
stowie, Radio Białystok, Rynek Zygmunta Augusta 9,
16-300 Augustów
- 29.07 – 5.08 III MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL FOLKLORU I
SZTUKI JARMARCZNEJ**
Suwałki; organizator: Regionalny Ośrodek Kultury i
Sztuki, ul. Noniewicza 71, 16-400 Suwałki
- 2.08 III BIESIADA SWOŁOWSKA – KRACIASTA**
organizator: Związek Stowarzyszeń Usteckich
w Ustce,
informacji udziela: Centrum Kultury, Rekreacji i Pro-
mocji Ustki, tel. (059) 814-55-86, tel/fax (059) 814-
47-69; Centrum Informacji Turystycznej tel. (059)
814-71-70, tel/fax (059) 814-99-26
- 4.08 VII WIELKI OGÓLNOPOLSKI RAJD ROWEROWY
„SZLAKIEM ZWIŃĘTYCH TORÓW – USTKA 2001”**
organizator: Związek Stowarzyszeń Usteckich w Ust-
ce, informacji udziela: Centrum Kultury, Rekreacji i
Promocji Ustki, tel. (059) 814-55-86, tel/fax (059)
814-47-69; Centrum Informacji Turystycznej tel.
(059) 814-71-70, tel/fax (059) 814-99-26.
Nagroda główna - rejs dla rodziny Katemoranem
Ustka – Bornholm – Ustka

Zapraszamy pod Grunwald

Od 9 do 15 lipca będzie można zobaczyć: tańce, pokazy walk, rozwój obozu rycerskiego, powstawanie kuźni średniowiecznej, warzenie soli, a także skosztować stawy średniowiecznej.



13 lipca

Od rana pracuje karczma i miasteczko archeologów, a w nim: mennica, stroje dawne, haft średniowieczny, iluminacje średniowieczne, papier czerpany, biżuteria, kowal, tkactwo, snycerstwo, zielarstwo, rogownictwo, kaci, bursztyn, sól, garncarze.

12:00 otwarcie obozu i przywitanie grup oraz gości z zagranicy

15:00 Turniej plebejski.

19:00 przegląd kultury średniowiecznej: pokazy walk, tańców, popisy bardów i trubadurów oraz gwiazd wieczoru Shannon i Fiana

14 lipca - dzień bitwy

Od rana karczma i stoiska archeologów

12:00 wyjście rycerzy na pole bitwy

13:30-14:00 rozpoczęcie bitwy

17:00 Turniej sprawności rycerskiej

19:00 koncerty: Stara Lipa, White Garden, Carrantouhill

15 lipca

9:00 turniej łuczniczy

12:00 zakończenie części historycznej imprezy

Organizator: Gmina Grunwald, Stowarzyszenie "Bitwa pod Grunwaldem"

Sponsor: TPSA Publitel Olsztyn, Radio Plus

Na Zamku w Bytowie w dniach 20 - 22 lipca odbędzie się

U Wielki Turniej Rycerski "Gryfa Pomorskiego"

W turnieju uczestniczy ponad 100 rycerzy z całego kraju, którzy sprawdzą swoje umiejętności w strzelaniu z łuku i kuszy, turnieju walk pieszych i na machinach Pałkińskiego. Uczestniczyć będą w zabawach plebejskich z udziałem publiczności. W tym roku rycerstwo po raz pierwszy zaprezentuje inscenizację przedstawiającą zdobywanie grodu (zbudowanego obok zamku, specjalnie dla potrzeb spektaklu) przez wojska polskie. Turniej uświetnią również występy zespołów folkowych: "White Garden" i trupy teatralnej "Waganci" oraz gość ze Szkocji Andrew Nixon wraz z zespołem. Ponadto będzie można podziwiać przy pracy ludzi zajmujących się dawno zapomnianymi zawodami: garncarzy, kowali, mincerzy. Widzowie będą mieli możliwość wykonać się umiejętnością w strzelaniu z łuku, oraz zrobić sobie pamiątkowe zdjęcie z katem.

Program:

piątek - wieczór kabaretowy;

sobota - barwny korowód rycerstwa przemaszeruje ulicami miasta, turnieje i inscenizacja na Zamku, wieczorem wspólna biesiada

niedziela - msza św. na dziedzińcu zamkowym, a po niej zostaną rozegrane finały poszczególnych konkurencji, oraz wręczenie nagród zwycięzcom. Po godzinie 16.00 rozpocznie się zabawa, którą poprowadzi DJ Radia Plus i która potrwa do godz. 22.00

Organizator:

Stowarzyszenie Kaszubsko-Pomorskie Bractwo Rycerzy Zamku Bytowskiego,

Szczegółowych informacji udzielają:

Bytowski Ośrodek Informacji Turystycznej, tel. 059 822 55 97

Wielki Mistrz Daniel Stroj, tel. 0608 366 148



Inszenizacja „Palenie wioski”.



**wakacje
z przygodą**

OBOZY „3 ŚWIATY”
SKAŁA-WODA-LAS



**wakacje
z angielskim**

OBOZY JĘZYKOWE
BIESZCZADY I MAZURY



INTERNET
www.yes.pl
INTERNET

YES

Rzeszów, ul. Reformacka 8 tel. (17) 85-20-720, 85-36-816; e-mail: info@yes.pl

KONCESJA ORGANIZATORA TURYSTYKI NR REJ. 0176

BEZPŁATNA
0 800 54 64 59
INFOLINIA

"Ubóstwo umysłowe" i "wybitna inteligencja", "człowiek pospolity, gnuśny i tępego podejścia" i "jeden z najwybitniejszych monarchów europejskiego średniowiecza": niewielu władców wzbudzało tak różne opinie historyków, jak król Władysław II Jagiełło. Jaki naprawdę był zwycięzca spod Grunwaldu?

O panu, który w Srodzy unikał kobiet

Nie wiadomo dokładnie, kiedy się urodził, prawdopodobnie około roku 1350. Nosił litewskie imię Jogaila, spolszczone na Jagiełłę. Był najstarszym synem i następcą księcia litewskiego Olgierda, ostatniego pogańskiego władcy w Europie. Trochę może dziwić, że po raz pierwszy ożenił się dopiero w wieku około trzydziestu lat, czyli późno jak na tamte czasy.

Jego żoną została Jadwiga, król Polski (oficjalnie nosiła właśnie tytuł króla, a nie królowej). Niejako "przy okazji" tego małżeństwa przyjął chrzest i zmienił imię na Władysław. W roku 1385 został koronowany na króla Polski. Zmarł w roku 1434.

Dziewiętnastowieczni historycy wyrażali się o Jagiellie krytycznie. Uważali go za ograniczonego umysłowo prostaka. Była to "zasługa" Jana Długosza, który pod koniec XV wieku napisał "Roczniki czyli kroniki sławnego Królestwa Polskiego". Długosz nie lubił naszego bohatera i przypisywał mu wszelkie możliwe wady. Kronikarska uczciwość nie pozwalała mu jednak przemilczeć też opinii pozytywnych. W rezultacie popadał w sprzeczność ze sobą. Potrafił nazwać króla najpierw "człkiem płytkiego rozumu", a kilka zdań dalej "mężem wspaniałego umysłu". Pod wpływem badania innych źródeł współcześni uczeni poprawili opinię o królu Władysławie II. Mimo to "Roczniki" pozostają głównym źródłem wiedzy o Jagiellie i jego czasach.

Na temat życia seksualnego monarchy wiadomo bardzo niewiele. Dlatego zarzuty Długosza, że był on "do miłostek, nie tylko dozwolonych, ale i zakazanych pochopny" można włożyć między bajki.



Romansów głowy państwa nie da się utrzymać w tajemnicy

ani w średniowieczu, ani obecnie. Ludzie pamiętają o nich bardzo długo. Imiona kochanek Kazimierza Wielkiego kronikarz potrafił wymienić w sto lat po jego śmierci, ale o Jagiellie był w stanie napisać tylko wspomniany ogólny





nik. Z całą pewnością zdrady małżeńskie króla rozdmuchaliby nie tylko jego liczni wrogowie w kraju, ale przede wszystkim propaganda krzyżacka. A tymczasem - nic. Mało tego, Mikołaj Kozłowski wygłosił na soborze w Bazylei pośmiertną pochwałę króla. Między innymi podkreślił w niej, że "oprócz żony aktów cielesnych nie miewał", a w środę, kiedy Kościół czci sprzedaż Jezusa przez Judasza, w ogóle unikał towarzystwa kobiet. Historycy są zdania, że mowa Kozłowskiego nie jest tylko zbiorem zwyczajowych frazesów, ale ukazuje prawdziwe cechy Jagiełły. Król nie tylko był wiernym małżonkiem. Stanowczo wymagał też wierności od swoich czterech kolejnych żon. Zarzuty o cudzołóstwo były na królewskim dworze dość popularnym środkiem walki różnych osób i grup wpływów. Według Długosza zdradę zarzucono już jego pierwszej żonie Jadwidze. Prawdopodobnie był to element walki politycznej, bo oskarżycielem miał być niejaki Gniewosz z Dalewic, zwolennik konkurenta Jagiełły do polskiego tronu, Wilhelma Habsburga. Chciał w ten sposób zapewne poróżnić nie lubianego władcę z jego wpływową małżonką.

Dokończenie na str. 31

RANKING SZABEL

Szabla w dzisiejszych czasach bardzo ściśle kojarzy się z historią polskiej wojskowości. Na ich ostrzach roznieciona została potęga turecka pod Wiedniem w 1683 r., szablami wojska polskie broniły ustaleń konstytucji 3 maja i szablą Polacy próbowali stawić opór najeźdźcy hitlerowskiemu w 1939 r. Ale trzeba pamiętać, że nie jest ona wytworem polskich płatnerzy. Przywędrowała do Polski w XVI w. i jest wiele teorii dotyczących jej pojawienia się. Myślę, że najtrafniejszą jest ta, która głosi, że szabla przywędrowała do nas z Węgier. W średniowieczu ówczesne kraje europejskie były narażone na ataki plemion mongolskich i tureckich. W tamtych obszarach kulturowych pierwszoplanową bronią białą była szabla. Węgrzy, jako naród sąsiadujący z rosnącym w siłę imperium tureckim narażeni byli na nieustanne ataki. Taktyka wojsk średniowiecznych okazała się nieskuteczna w zetknięciu z szybkimi, lekkimi i zwrotnymi formacjami tureckimi. Dlatego Węgrzy postanowili stworzyć lekkie formacje, które mogłyby walczyć na podobnych zasadach, jak wojska tureckie. Formacje takie powstały i zaczęły odnosić sukcesy w walce z Turkami. Uzbrojone właśnie w szable spodobały się zapewne polskim taktykom, bo w XVI w. szabla zaczęła się pojawiać w polskich formacjach. Od tamtej pory stała się bronią, która na stałe wpisała się w wizerunek polskiego żołnierza. W zbrojowniach wielu magnatów znajdowało się czasami po kilkaset szabel, od bogato zdobionych dzieł sztuki, po zwykłe, proste wyroby. Średniozamożni mieli ich kilka, kilkanaście, a nawet najubożsi wojownicy posiadali ich po kilka sztuk. Współcześnie działa wielu rzemieślników kultywujących tradycję polskiego płatnerstwa. Wybrałem pięciu najbardziej reprezentatywnych i znanych i o ocenę ich wyrobów poprosiłem ludzi, którzy podtrzymują piękną tradycję polskiej szkoły walki szablą.



Producenci:	JACEK DĄBAL	RYSZARD KUŚ	HENRYK ZIOMEK	PIOTR CZECZOT	MAREK
Oceniają:	cena ok. 350 zł	cena ok. 130-140 zł	cena ok. 1300-1500 zł	cena ok. 1200-2800 zł	cena ustalana indywidualnie
 JAN ZIÓŁKOWSKI Rodowa Drużyna Rycerska Ziolkowskich herbu Korczak	PLUSY Nie używam wyrobów tego producenta, ale wiem, że są dobre dla początkujących. MINUSY Są źle wyważone, łamliwe. Producent używa złych materiałów.	PLUSY Jego szable są estetycznie wykonane i zgodne ze wzorami historycznymi. MINUSY Są łamliwe, wykonane ze słabej gatunkowo stali.	PLUSY Ten producent robi dobre szable i rapiery, używa dobrych materiałów. Jego wyroby są estetyczne, trwałe i zgodne z prawdą historyczną. MINUSY Nie znam.	Nie znam.	PLUSY Szable można zgąć w pałąk. Są sprężyste, elastyczne, dobrze wyważone. Producent robi także sprzęt na zamówienie. MINUSY Nie posiadają wad.
 ANDRZEJ MAJZNER Bractwo Rycerskie Ziemi Lubelskiej Lublin	PLUSY Trudne do zdobycia. Mieszczą się w granicach poprawności historycznej. MINUSY Są zbyt kruche, najprawdopodobniej szlifowane. Mają tandetne oprawy odlewane z mosiądzu.	PLUSY Są tanie, estetyczne, oparte na historycznych wzorach. Wszystkie elementy są dobrze spasowane. Szabla dobrze leży w ręce. MINUSY Pałuch szabli husarskiej jest umocowany za nisko, a to powoduje złe prowadzenie szabli. Wadą jest również to, że są szlifowane.	PLUSY Szabla warta tych pieniędzy. Jest zgodna ze wzorami historycznymi. Dobrze się nimi walczy. MINUSY Cena zbyt wysoka. Trudno zauważyć jakieś wady.	Nie znam.	PLUSY Szable są sprężyste, elastyczne, dobrze wyważone, trwałe oraz zgodne z prawdą historyczną. MINUSY Wadą jest wysoka cena, ale usprawiedliwiona jakością.
 TOMASZ SZAJEWSKI Liga Baronów Warszawa	PLUSY Dobre do nauki - trzeba je odchudzić i wyważyć, podłuźnić i poprzeczyć. MINUSY Są zbyt ciężkie. Szabla nie robiona na zamówienie nie pasuje do ręki. Mają złe rękojeści.	PLUSY Z powodu niehartowanych głowni oraz łamliwości te wyroby bardzo dobrze prezentują się wyłącznie jako dekoracja na ścianie. MINUSY Niestarannie zrobione.	PLUSY Rozsądna cena, wygląd historyczny. MINUSY Źle wyważony środek ciężkości.	PLUSY Doskonale wyważona, wierna historycznie. Produkcja indywidualna dopasowana do wymiarów ręki zamawiającego. MINUSY Wysoka cena, ale usprawiedliwiona jakością.	Nie będę się wypowiadał na temat tego producenta.
 KAROL BURY Kasztelan Chorągwi Rycerstwa Ziemi Sandomierskiej Sandomierz	PLUSY Estetycznie wykonane według wzorów historycznych. MINUSY Ciężkie na "piórze", trudne do szybkiej kontry. Niewygodne podczas walki.	Nie używam.	PLUSY Producent nieustannie się rozwija. Ma doskonałą opinię nawet u kawalerzystów walczących podczas II wojny światowej. Jego szabla jest znakomicie wyważona, prawie nie czuje się jej ciężaru. Można nią znakomicie manewrować. Bardzo dobra jest jakość materiałów i hartowanie. Zaletą jest estetyka wykonania oraz przyjmowanie zamówień indywidualnych. MINUSY Wysoka cena, ale jest usprawiedliwiona jakością.	Nie znam.	PLUSY Nie miałem okazji ich używać, jednak wiem, że są to szable niezwykle wysokiej jakości zgodne z wzorami historycznymi, z bardzo dobrych materiałów, trwałe i estetyczne. MINUSY Nie słyszałem nic o wadach.

Żeby broń była użyteczna w walce ważną sprawą jest, aby była wykonana na zamówienie szermierza i dostosowana do jego warunków fizycznych. Wielu producentów stosuje praktykę wytwarzania rękojeści do wymiarów dłoni walczącego. Ważną rzeczą jest też dostosowanie długości szabli do długości ręki wojownika.

Wydaje się, że ilu Polaków tyle opinii. Jak się okazuje dobór odpowiedniej broni jest indywidualną sprawą walczącego. W wyborze producenta ważne jest także to, gdzie mieszka. Szermierze z Warszawy zaopatrują się u producenta z okolic Warszawy, a z Sandomierza szukają wytwórców w swoich okolicach.

Przemysław Baneł

Dokończenie ze str. 29

Kasztelan wojnicki Jaśko z Tęczyna wytoczył Gniewoszowi proces w obronie czci królowej. Oszczerca nie mógł udowodnić prawdziwości swych słów.

Musiał więc publicznie wejść pod ławę i zaszczeakać

oraz przyznać, że rzucał kłamliwie obelgi na Jadwigę. Stąd wzięło się zresztą określenie "odszczeakać coś", czy publicznie odwołać swoje oskarżenia. Historyk B. Przybyszewski kwestionuje jednak prawdziwość tej historii. Polskie prawo nie przewidywało bowiem takiej kary, jaka miała spotkać Gniewosza, a on sam cieszył się później łaskami króla i awansował.

Druga pani Jagiełłowa, Anna Cylejska, została w roku 1408 oskarżona o zdradzenie męża aż z trzema panami: Jakubem z Kobylan, Mikołajem z Chrzastowa i Jędrzejem Tęczyńskim. I tym razem zarzuty się nie potwierdziły. Oszczerca, Klemens z Moskorzowa za karę stracił wszystkie zajmowane stanowiska, a być może i życie. Trzy lata później oskarżono z kolei arcybiskupa gnieźnieńskiego Mikołaja Kurowskiego, że wykorzystując nieobecność walczącego z Krzyżakami króla na dworze, usiłował zgwałcić królową. Duchowny miał stanąć za to przed sądem, ale w drodze na proces spadł z konia i zabił się. Tak to przynajmniej przedstawił Długosz, ale niektórzy historycy również kwestionują wiarygodność jego relacji. Uważają, że wszystkie te "anegdotki" (jak je nazywa Anna Klubówna) zmyślił sobie albo sam kronikarz, albo jego główny informator, biskup Zbigniew Oleśnicki - obaj tak samo

nie cierpieli króla Władysława

Kolejny raz zarzuty o niewierność wysunięto wobec czwartej królewskiej małżonki, Zofii Holszańskiej. W roku 1427 rozszła się plotka, że Jagiełło nie jest ojcem następców tronu.

Władysława (czyli przyszłego Władysława Warneńczyka) i Kazimierza (późniejszego Kazimierza IV Jagiellończyka). W ten sposób przeciwnicy króla chcieli uniemożliwić albo przynajmniej utrudnić przyszłe przejście władzy przez jego synów. Wbrew temu, co zwykle pisze się w podręcznikach, jagiellońska Polska była bowiem formalnie monarchią elekcyjną, a nie dziedziczną. Koronacja najstarszego syna poprzedniego władcy stanowiła tylko zwyczaj, a nie prawo. Za jego podtrzymywanie szlachta kazała sobie płacić kolejnymi przywilejami.

Dokończenie na str. 32

Miecze Norlandu

Podczas ostatniej potyczki stracili część ziem Karpatii, w tym zamek w Czorsztynie. Zwycięzcy przyłączyli je do ziem Palatynatu Krakowskiego. Wojownicy skandynawscy nie zamierzają jednak pogodzić się z tym i podczas następnej bitwy chcą odzyskać utracone terytoria.

Tak niezwykle przygodę może przeżyć ta grupa dzięki sygnowanemu Traktatowi o Granicach, który podpisało również kilka innych bractw. Na mocy owego dokumentu podzielili cały kraj na terytoria, które powiększają (bądź tracą) podczas wypowiedzianych kolejno wojen. "Miecze" są zafascynowani kulturą skandynawską z epoki wypraw, a zwłaszcza wojowniczymi wikingami. Mimo bardzo skąpych informacji, które zachowały się do dziś, próbują odtwarzać nie tylko stroje, oręż i sposoby walki, ale także całe ówczesne tło społeczne Skandynawii z czasów VIII-X w. Dlatego w grupie istnieje bardzo rygorystyczny podział. Na czele stoi jarl Hoggard Dręczyciel - w cywilu student, który dzierży władzę absolutną. Niżej w hierarchii są możni posiadacze ziem, czyli Boendr (tytuł zarezerwowany dla mężczyzn) i Panie. Potem są wolni karlowie i gospodynie, a najniżej stoją niewolnicy czyli trallar - ta funkcja jest zarezerwowana zwyczajowo dla członków grupy o najkrót-

szym stażu. Do potyczek o odzyskaną ziemię stają wszyscy uzbrojeni mężczyźni. Dziewczęta oprócz tradycyjnych zajęć kobiecych - gotowania, szycia i haftowania mogą wprawiać się w strzelaniu z łuku. Podczas bitew muszą jednak występować w męskim stroju. Potyczki odbywają się w ciekawych sceneriach nawet takich jak zamkowe mury czy improwizowane mosty. Drużyna Mieczów Norlandu istnieje od pięciu lat, zrzesza 20 osób, dla których podróże w odległe czasy średniowiecznej Skandynawii jest nie tylko zabawą, ale również poznawaniem zagadek historii.

Kontakt z bractwem:

internet: peace@ds14.agh.edu.pl

Konfraternia Akademii Smorgońskiej z Gdańska

Kultywują tradycje XIII-wiecznej kaszubszczyzny i Wielkiego Księstwa Litewskiego. Zdobywanie i pogłębianie wiedzy o tych regionach jest dla nich równie ważne, jak samo rzemiosło rycerskie. Specjalizują się przede wszystkim w strzelaniu z łuku i kuszy. Znakomitymi łucznikami są wszystkie panie, które panom złożyły do dyspozycji kusze.

Oczywiście Konfraternia ma w swojej zbrojowni również miecze, ale stanowią one wyłącznie uzupełnienie stroju rycerskiego. Nie walczy nimi, gdyż starszyzna bractwa uważa to za zbyt niebezpieczne. Konfraternia została założona w 1999 r., między innymi przez legendarnego kowala, nieżyjącego już Franciszka Zulewskiego. Obecnie zrzesza 18 osób, w tym 6 pań. Bractwu przewodzi Chorąży Chmieleński, Ciwun Konfraterni Mirosław Konarski-Mikołajewicz, w cywilu radca prawny. Nie dzieje on jednak władzy absolutnej, gdyż wszelkie ważne decyzje podejmowane są przez kapitułę Konfraterni. Zainteresowania historyczno-geograficzne sprawiły, że bractwo nawiąza-

ło kontakty z rycerstwem litewskim i białoruskim, uczestniczy w turniejach rycerskich w Nowogródku i jest członkiem Międzynarodowej Federacji Rycerskiej "Litvania et Ruthenia". Obecnie pracują nad przygotowaniem do Festiwalu Rycerskiego w Sopocie, który ma uświetnić stulecie miasta.

Kontakt z bractwem:

Fax 058 557 80 08

80-340 Gdańsk, ul. Gdyńska 7b/24

Fot. Ryszard Rutkiewicz



Dokończenie ze str. 31

Wątpliwe pochodzenie królewiczów mogło być wygodnym pretekstem do odsumienia ich od tronu i wybrania całkiem innego króla, od którego można by było wytargować więcej. Królowa

złożyła jednak uroczystą przysięgę niewinności

potwierdzoną przez siedem znakomitych dam (tzw. przysięga samoósm). Zgodnie z ówczesnym prawem to wystarczyło do uwolnienia od zarzutów. Zdaniem Długosza Władysław po śmierci królowej Jadwigi z żadną żoną nie żył w szczerej i prawdziwej miłości małżeńskiej.

Również to zdanie należy traktować wyłącznie jako przejaw niechęci. Przynajmniej z trzecią żoną, Elżbietą Granowską, król ożenił się z miłości. Elżbieta pochodziła ze zwykłego rodu szlacheckiego, była już ponad czterdziestoletnią wdową, matką pięciorga dzieci. Ten związek wzbudził ostry sprzeciw części możnowładców z otoczenia króla. Jeden

z nich, Stanisław Ciołek, napisał nawet bajkę, będącą zjadliwym atakiem na królewskie małżeństwo. Król zwierzał lew ożenił się w niej ze starą brzydką świnią, która rzuciła na niego czary i obiecała mu swoje skarby (Granowska była dość bogata). Łagodny z reguły Jagiełło tym razem nie wytrzymał i wyrzucił Ciołka ze wszystkich zajmowanych przez niego stanowisk. Musiało minąć sporo lat, zanim niefortunny "bajkopisarz" wrócił do łask. Wspomniana łagodność była cechą podkreślaną we wszystkich źródłach, także przez Długosza. Król uwolnił na przykład starostę wieluńskiego Stańczyka z Rudy, skazanego na ścięcie za nieposłuszeństwo królewskim rozkazom.

Ocalał też życie kucharce

która podczas oficjalnej wizyty króla w państwie krzyżackim w 1404 roku oblała go w Toruniu pomyjami. Wielki mistrz Ulrich von Jungingen skazał ją za to na utopienie, chociaż wielu uważało, że zrobiła to na polecenie Krzyżaków. Monarcha chrześcijański z zasady musiał być rex pacificus, "królem miłującym pokój", ale niekiedy wydaje się, że autorzy nieco przesadzają w opisach tej cechy. Według wspomnianego wcześniej Mikołaja Kozłowskiego przed każdą bitwą król wylewał łzy z żalu, że będzie musiał wylewać krew wrogów!

Z drugiej strony wiadomo, że król bez wahania kazał wieszać niekarnych żołnierzy, aby utrzymać dyscyplinę w armii. W trakcie wielkiej wojny z Krzyżakami w roku 1410 zmusił dwóch Tatarów, którzy zbezczęścili kościół, aby

sami się publicznie powiesili. Ogólnie Jagiełło w świetle źródeł współczesnych zbliża się do ideału władcy chrześcijańskiego. Krystyna Biedrowska-Ochmańska i Jerzy Ochmański podliczyli jego najczęściej wymieniane cechy. W tym "rankingu" na pierwszym miejscu znalazła się pobożność (7 razy), a za nią sprawiedliwość (6 razy), mądrość i trzeźwość (po 5 razy), obrona uciśnionych, umiowanie pokoju, szczodrość i zachowywanie postów (po 4 razy), a wreszcie dawanie jałmużny (3 razy) i poparcie dla nauki (2 razy). Z rzadka tylko pojawiają się (pomijając niektóre wyraźne tendencyjne opinie Długosza) zarzuty o zabobonność i uciskanie dóbr kościelnych. Oba zresztą uzasadnione. Król miał zwyczaj wyrywania sobie włosów z brody, wplatania ich między palce i obmywania wtedy rąk. Przed wyjściem z domu trzy razy obracał się wkoło i rzucał na ziemię złamaną na trzy części słomkę. Nie mówił przy tym nikomu, dlaczego to robi. Były to chyba jedyne pozostałości w zachowaniu monarchy z czasów jego młodości jako poganina. Oskarżenia o uciskanie Kościoła pochodziły stąd, że król dużo podróżował wraz z dworem po kraju. W czasie takich podróży zatrzymywał się również w zamożnych dobrach klasztorów i biskupów,

które "objadał" następnie z zapasów

Był to powszechnie przyjęty wówczas zwyczaj, ale zainteresowanym, co właściwie rozumiał, się on nie podobał.

Nie wiadomo, na ile wymienione wcześniej cechy króla wypływały z jego prawdziwego charakteru, a na ile były wynikiem narzuconego "image'u" władcy chrześcijańskiego. Model takiego władcy Jagiełło musiał gorliwie realizować, aby odeprzeć zarzuty licznych wrogów, przede wszystkim Krzyżaków. Były to oskarżenia, że ochrzcił się tylko na niby, a w głębi ducha pozostał poganinem, którego trzeba zwalczać wszelkimi możliwymi środkami. Patrząc na jego osiągnięcia nie można jednak zaprzeczyć, że był to człowiek wybitny: zwycięski wódz, zdolny polityk, dbający o rozwój nauki i kultury. Nawet niechętny mu Jan Długosz musiał przyznać, że "serca był prostego, lecz wspaniałego", a jego urokowi osobistemu "trudno się było oprzeć".

Adam Krawiec

Jacek Szymański z warszawskiego Bractwa Miecza i Kuszy tradycyjnie już wciela się w rolę króla Jagiełły podczas rekonstrukcji bitwy pod Grunwaldem
Z archiwum Błażeja Pilatowskiego



Rzymskie prawo XII tablic zabraniało składania do grobów złotych wyrobów. Zezwalało na to jedynie w wypadku protez dentystycznych

Lekarze z przeszłości

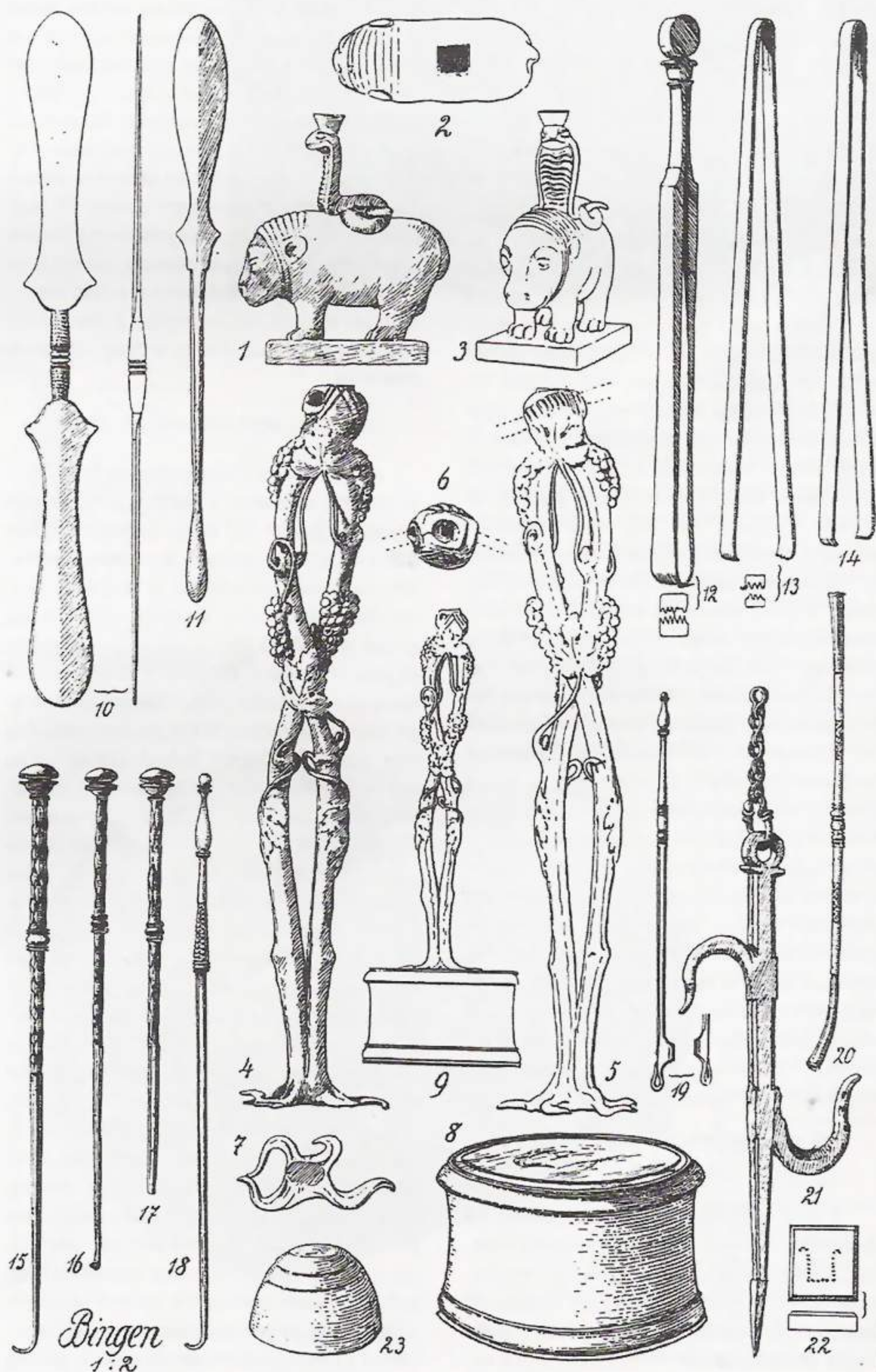
Ludzie współcześni myślą na ogół o swych starożytnych przodkach jak o istotach, które dopiero co "zeszły z drzewa". Łagodniej traktujemy starożytnych Greków i Rzymian, jeśli jednak chodzi o współczesnych im "barbarzyńców", czyli właściwie całą resztę Europejczyków, jesteśmy jednoznacznie negatywni w ocenach. Odmawia się im właściwie jakiejkolwiek wiedzy i uważa za prymitywnych okrutników, niszczycieli wszelkiej kultury i cywilizacji lub w najlepszym razie łupieżców i morderców.

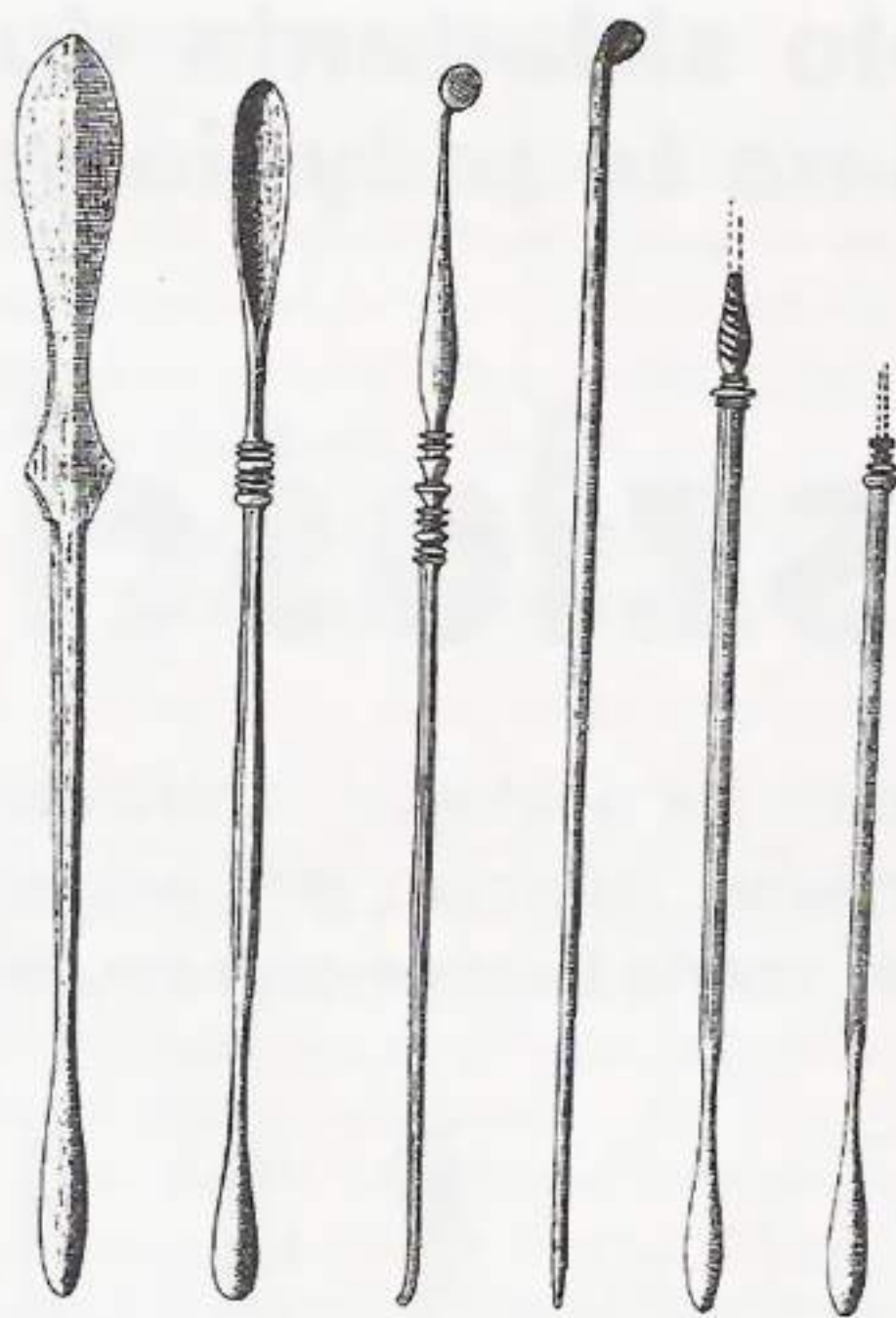
W pamięci mamy właściwie tylko to, że parokrotnie splądrowali Rzym i przyczynili się do upadku Cesarstwa. Zapominamy o tym, że aby skutecznie walczyć z Imperium Romanum trzeba było mu dorównać przynajmniej na niwie militarnej, jeśli nie organizacyjnej i politycznej. Negatywna ocena starożytnych dotyczy także ich wiedzy medycznej. W potocznym myśleniu przypisujemy im raczej gusła, czary czy wyłącznie ziołarstwo, niż jakiejkolwiek działania przypominające klasyczną, europejską medycynę współczesną. Sprawa ta tymczasem przedstawia się bardziej różnorodnie. Oczywiście podstawowe leki wytwarzano z surowców naturalnych, przede wszystkim były to zioła czy maści na bazie łoju zwierzęcego, np. bobra (w Europie północnej i środkowej) lub oliwy (w krajach śródziemnomorskich). Niebagatelną rolę w Grecji i Rzymie odgrywało także wino. Nota bene pierwsze klasyfikacje win wg jakości i cech takich jak bukiet, barwa itp. ułożone zostały właśnie przez starożytnych lekarzy. Bardzo często

działaniom uzdrowicieli towarzyszyły zabiegi magiczne

sięgające do sfery życia ludzkiego, której nie zbada szkiełko i oko. Mało kto jednak

Zestaw rzymskich narzędzi chirurgicznych z Bingen w Niemczech (wg E. Künzl, Medizinische Instrumente aus Sepulkralfunden der Römischen Kaiserzeit, "Bonner Jahrbücher", t. 182, 1982, s. 1-131)





Przybory laryngologiczne z Pompejów (wg E. Künzla)

wie, że w starożytności dokonywano wielu zabiegów chirurgicznych, nieraz bardzo skomplikowanych i dotyczących bardzo wrażliwych części ciała. Świadczą o tym głównie rzymskie i greckie źródła pisane, ale nie tylko. Okazuje się bowiem, iż z obszaru naszego kontynentu znamy sporą liczbę znalezisk instrumentów medycznych, wykonanych przede wszystkim z brązu, służących niechybnie właśnie do przeprowadzania takichże operacji. Zabytki takie znane są przede wszystkim z terenów Italii i prowincji rzymskich, dużej liczby dostarczyły badania archeologiczne w Pompejach, a konkretnie z tamtejszego domu zwanego "Willą chirurga". Należy podkreślić, że wybór brązu jako surowca do ich wytworzenia nie był przypadkowy. Żelazo uważano za nieczyste (dosłownie i w przenośni). Ówczesne trudności w zabezpieczeniu żelaza przed korozją mogą uzasadniać takie podejście. Miedzi natomiast, wchodzącej przecież w skład brązu, przypisywano właściwości antyseptyczne. Narzędzia medyczne były już wówczas bardzo różnorodne. Najczęściej spotykane są tzw. zgłębniki łyżeczkowe, używane nadal w medycynie. Pod tą magiczną nazwą kryje się przedmiot z wydłużonym mocno uchwytem, zakończony małą łyżeczką, stosowany przede wszystkim w badaniach i zabiegach laryngologicznych, np.

do wyjmowania woskowiny z ucha

Wśród wydobytych z ziemi zabytków stosunkowo często występują również szpatułki, wyglądające jak "laurowato" wydłużone łyżeczki pomocne np. przy badaniach jamy ustnej i gardła. Znane są także przyrządy do badania odbytu czy kobiecych na-

rzędów rodnych oraz kleszcze porodowe. Często bardzo spotykane są też skalpele i lancety, niewiele lub wcale nie różniące się od stosowanych we współczesnej medycynie. Skalpelem towarzyszą często komplety haków i haczyków używane podczas operowania organów wewnętrznych do rozchylania i przytrzymywania rozciętych płatów skóry. Instrumenty medyczne przechowywano na ogół w specjalnych drewnianych szkatułkach czy skrzyneczkach, często ozdobnie okuwanych brązem, będących starożytnym odpowiednikiem dzisiejszych podręcznych kuferków lekarskich. Były one użyteczne tym bardziej, iż wielu lekarzy było tzw. circulatores, czyli właściwie domokrażcami.

Dzięki wykopaliskom na terenie miast rzymskich oraz na towarzyszących im cmentarzach, szczególnie z zachodnich prowincji Cesarstwa, znamy także przybory dentystyczne, jak szczypczyki, haczyki do sprawdzania stanu uzębienia oraz charakterystyczne zwierciadła do obserwacji trudno dostępnych części jamy ustnej. Wiemy, że dentyści rzymscy, których nie wyróżniał żadnym specjalnym mianem, potrafili leczyć próchnicę, zębodołowe wycieki ropne, a nawet trudnili się protetyką. Z rzymskich cmentarzysk badanych wykopaliskowo znane są

mostki wykonane ze złota

znajdowane w szczękach zmarłych. Była to zresztą sytuacja wyjątkowa, ponieważ rzymskie prawo XII tablic zabraniało składania do grobów złotych wyrobów. Zezwalało na to jedynie właśnie w wypadku protez dentystycznych. Osobną, dość liczną grupę wśród lekarzy stanowili natomiast okuliści - ocularii. Potrafili z powodzeniem usuwać wytrzeszcz oczu i kataraktę. Zabiegu usuwania zaćmy dokonywano specjalną igłą, prawdopodobnie jednak skutek takiej operacji był jedynie tymczasowy, tj. choroba powracała, tym razem nieodwracalnie. Okuliści produkowali leki, zwłaszcza tabletki i pręciki na bazie mirry i szafranu, które sprzedawali w szklanych buteleczkach opatrzywanym etykietką opisującą sposób użycia i dawkowanie oraz znaczonym specjalną pieczęcią signa oculariorum, potwierdzającą ich autentyczność. Można zastanawiać się nad "repertuarem" przeprowadzanych w starożytności operacji chirurgicznych oraz oczywiście nad ich skutecznością. Często stosowano, w rozmaitych schorzeniach, szklane bańki i pijawki. Umiejętnie składano złamane kończyny. Ówczesny chirurg, czyli medicus vulnerum (lekarz ran) z całą pewnością wykonywał skuteczne amputacje (znamy specjalistyczne narzędzia), co tylko pozornie wydaje się nie być skomplikowane. Na pewno usuwano wrzody, czyszczono z powodzeniem rany i dbano, w mia-

re możliwości, o zapewnienie higieny operowanego pacjenta, choć właściwie anestezji i aseptyki w obecnym znaczeniu nie było. W celu znieczulenia

stosowano usypiające czy halucynogenne zioła

które były doskonale znane nie tylko Grekom i Rzymianom, lecz także Celtom i Germanom. Zaskakującym może się wydać fakt, że przeprowadzano trepanacje czaszki. Świadczą o tym nie tylko opisy operacji, lecz także zachowane do dziś starożytne przybory, przy pomocy których takich zabiegów dokonywano. Służył to tego przede wszystkim specjalny wałek z jednej strony ząbkowany, przez co odpowiednio poruszany przy pomocy łuku działał jak piła do wycinania kawałka czaszki. Nie jest do końca pewne, w jakim dokładnie celu dokonywano trepanacji. Wydaje się, że starożytni dążyli w ten sposób do usunięcia krwioaków, czy obrzęków, powstałych np. w wyniku mechanicznych urazów, które często przydarzały się choćby żołnierzom. W wyniku trepanacji zmniejszano ciśnienie wewnątrzczaszkowe, co przynosiło operowanemu przynajmniej tymczasową ulgę. Znane są jednak także przykłady całkowitego wyleczenia, o czym świadczą ślady zasklepienia się czaszki chorego po włożeniu na miejsce uprzednio wyjętego jej fragmentu. Rzecz ciekawa, rzymskie narzędzia lekarskie, w tym także wyspecjalizowane przybory chirurgiczne, znajdowane są przez archeologów na terenach zamieszkałych przez plemiona "barbarzyńskie" zwłaszcza Germanów. Ważne jest przy tym, że najprawdopodobniej pełniły tę samą funkcję, co po drugiej stronie limesu, a zatem były używane w praktyce medycznej. Być może przedmioty te były własnością lekarzy przybyłych z terenów Imperium Romanum.

Niestety, nie dysponujemy dla tych terenów żadnymi właściwie przekazami piśmieniowymi dotyczącymi tej materii. Niezwykle ciekawym źródłem informacji o stanie zdrowia plemion barbarzyńskich są jednak tzw. znaleziska bagienne odkrywane przede wszystkim na obszarze Jutlandii, północnych Niemiec, Holandii oraz Wysp Brytyjskich. W owych znaleziskach bagiennych dość często natrafia się na zwłoki ludzkie, rewelacyjnie dobrze zachowane ze względu na

konserwujące właściwości torfowisk i bagien

Ludzie ci z reguły nie umarli śmiercią naturalną, lecz w bagnie znaleźli się dzięki swoim współplemięcom, którzy z rozmysłem ich tam wrzucili. Wiemy (m.in. dzięki sagom skandynawskim), że postępowano w ten sposób z tchórzami (czyli zapewne z mężczyznami, którzy uciekli z pola walki), różnej maści przestępcami; czasem też pewne

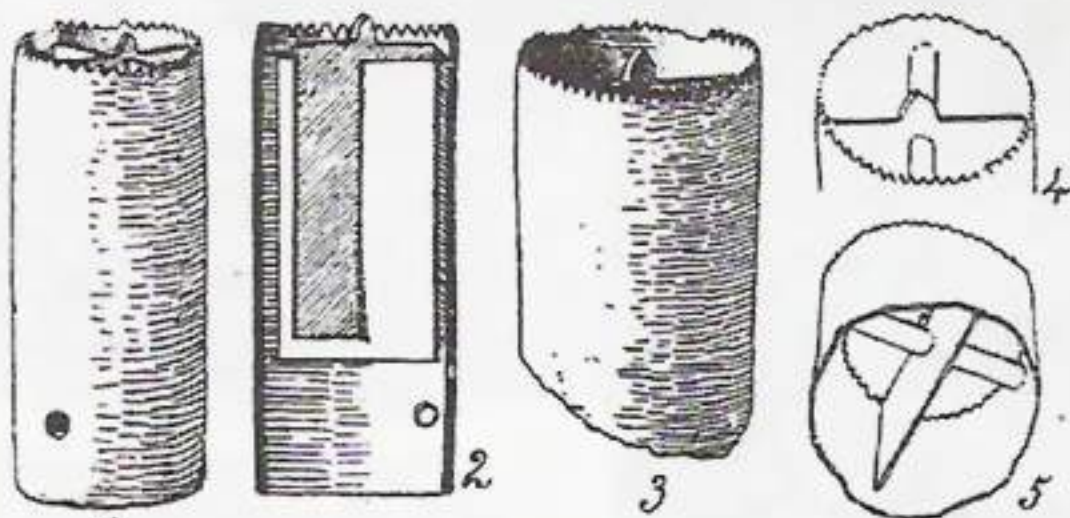
osoby były poświęcane w ofierze bóstwom. Niektórzy z tych nieszczęśników zostali wcześniej uduszeni, jak np. mężczyzna znaleziony w Tollund w Danii, żyjący w ostatnich stuleciach przed Chrystusem. Czasem umierali oni gwałtowną śmiercią w wyniku zadanych ran, jak kobieta z Huldremose w Danii, której ramię zostało odcięte, a stopa niemal przecięta krótko przed śmiercią lub mężczyzna z Porsmose, ugodzony strzałami z łuku w nos i mostek. Dla nas jednak bardziej interesujący jest jeden ze szkieletów odnalezionych w Dojringer. Czaszka zmarłego nosi bowiem wyraźne ślady trepanacji. Człowiek ten za życia otrzymał silny cios w głowę, zadany toporem lub jakimś podobnym narzędziem. Ów uraz właśnie był zapewne powodem przeprowadzenia zabiegu, przy czym na czaszce widoczne są ślady gojenia i zasklepiania się otworu. Widać jednak także drugi otwór, powstały podczas powtórnej operacji, której pacjent tym razem nie przeżył.

Na ziemiach dzisiejszej Polski brak niestety tak czytelnych przykładów skutecznego działania starożytnej medycyny. Prawdopodobnie liczny materiał dostarczy badane wciąż przez prof. Andrzeja Kokow-

Zdjęcie rentgenowskie stopy kobiety z Huldremose (wg W. van der Sanden, *Through nature to eternity. The bog bodies of northwest Europe*, Amsterdam 1996)



Findort: Bingen a.Rh.
Museum: Bingen
(*Germania* 9, 1925 S. 152 ff.)

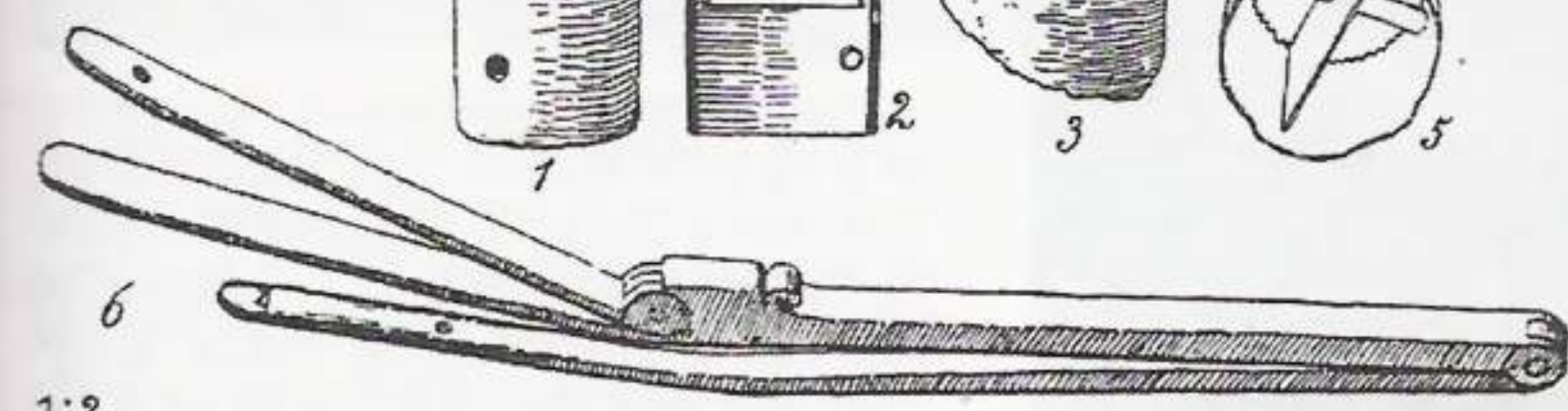


Rzymskie narzędzia do trepanacji czaszki z Bingen w Niemczech (wg E. Künzla)

skiego ogromne, szkieletowe cmentarzysko gockie w Masłomęczu niedaleko Hrubieszowa. Na razie jednak, póki nie zostanie ono w całości opracowane, jesteśmy skazani na szczątkowe informacje z innych stanowisk archeologicznych. Np. na cmentarzysku z okresu rzymskiego w Luboszytach, w woj. lubuskim założonym zapewne przez germańskich Burgundów, odkryto grób dorosłej kobiety, której kość promieniowa nosiła ślady pourazowego zrośnięcia złamania łokcia. Zarówno znaleziska instrumentów medycznych, jak i wspomniane szczątki ludzkie są dowodem na to, że medycyna starożytnej Europy osiągnęła znaczny mimo wszystko

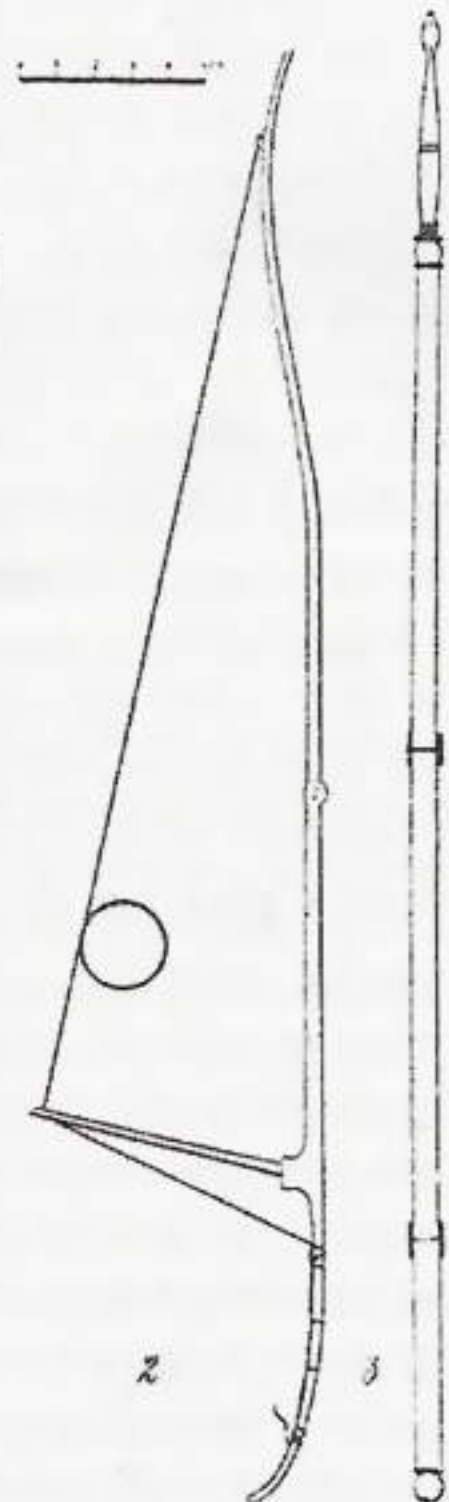
stopień rozwoju, przy czym z jej zdobyczy korzystali nie tylko Grecy i Rzymianie, ale również "barbarzyńscy" Germanie. Nie wiemy, jakie były proporcje pomiędzy zastosowaniem medycyny a magii uzdrowicielskiej, czy zabiegów dotyczących sfery ducha, ale czy my sami, ludzie współcześni, w razie poważnych chorób zawsze liczymy tylko na rękę chirurga i tabletki?

Artur Błażejowski
Małgorzata Wojak



1:2

1. Bingen a. Rhein.
2. H. Klotz in J. J. J. J.
3. Original in Brit. Museum
in London
(*Journal of the Royal Society of Medicine* 1925, 18, 152 ff.)



Czaszka ze śladami trepanacji z Dojringer (wg W. van der Sande)

Skoki na bungy, rzucanie się w nurt górskich wodospadów, spływ rwącymi potokami na pontonie, loty parolotnią - to wszystko wymyślono tylko po to, aby odebrać się od prozy codziennego życia

Męskie zabawy

czyli wszystko o sportach ekstremalnych



Pomysłowość ludzka nie zna granic. W poszukiwaniu nowych przygód i doznań amatorzy silnych wrażeń przekraczają kolejne granice i bariery. Złaknieni silnej dawki emocji, potrafią szukać rozwiązań, które jeszcze kilka lub kilkanaście lat temu byłyby postrzegane jako czyste szaleństwo. Wielu, na miarę własnych potrzeb i możliwości poszukuje czegoś szczególnego, co pozwoli zakosztować jedyne w swoim rodzaju połączenia strachu i odwagi.

Człowiek człowiekowi nierówny, dlatego jednym ogromnych emocji dostarczy wspinaczka skałkowa z solidną asekuracją, skok na spadochronie lub zjazd na linie - innym adrenalinę podniesie wspinaczka bez zabezpieczeń po skalnych ścianach lub wieżowcach albo skok ze spadochronem z dźwigu. Tak zwane sporty ekstremalne najczęściej wiążą się z dużym ryzykiem, ale kontrolowane mogą stać się źródłem niezapomnianej przygody, dzięki której świat jest postrzegany w zupełnie nowy sposób. Każdy, kto jest spragniony mocnych wrażeń, ma wybór ogromny. Może spróbować swoich sił w powietrzu, wodzie i na lądzie. Wszystko zależy od sprawności fizycznej, zdrowia, fantazji i co istotne - możliwości finansowych.

Sporty można podzielić na klasyczne, takie jak szybownictwo, spadochroniarstwo, nurkowanie czy alpinizm, które dostarczając dużych emocji już dawno przestały być określane mianem skrajnych. Można skorzystać także z takich propozycji jak skoki na bungy czy zorbing, które pomimo rosnącej popularności szufladkuje się w kategorii szalonych wyczynów nie mających nic wspólnego ze sportem. Od niepamiętnych czasów człowiekowi marzyło się latanie. Pierwszą powietrzną ekstremą był pomysł Dedala, który zmontował skrzydła z ptasich piór i szybował w powietrzu razem z synem Ikarrem. Podbój przestworzy zawsze wiązał się z ryzykiem, że coś może nie zagrać i sztuka latania przerodzi się w szkołę spadania. Dopiero w roku 1785 niejaki pan Blanchard wpadł na diaboliczny pomysł i z kosza balonu znajdującego się na wysokości 500 m

wyrzucił psa na spadochronie

własnej konstrukcji. Jeszcze w tym samym roku, w trakcie kolejnej psiej próby Blanchard sam został zmuszony do przetestowania swojego wynalazku z powodu awarii balonu. Wyskoczył i został pierwszym człowiekiem uratowanym przez spadochron. Tak zaczęła się kariera wynalazku, który ratował ludzi z opresji, pozwalał na desant wojsk, sportowe współzawodnictwo i świat-

Od niepamiętnych czasów ludzie marzyli o lataniu. Z biegiem lat doszła jeszcze tęsknota za skokami ze spadochronem



na zabawę. Dość szybko troska o to, żeby bezpiecznie wylądować przerodziła się w zmartwienie, żeby wylądować tam gdzie się chciało, później skoki wzbogaciły o akrobacje powietrzne. Najpierw skoczkowie wykonywali przeróżne figury indywidualnie, później parami, czwórkami, ósemkami. Zaczęli dokumentować swoje popisy, dlatego w spadochrony wpięli także kamerzystów. Ktoś wpadł na pomysł, żeby wyskoczyć z deską surfingową i zamiast na falach surfować w chmurach, inny skoczek ze skłonnościami do wspinaczki, zamiast po zdobyciu wysokiej górskiej ściany zejść normalną drogą.

skoczył w przepaść ze spadochronem

naturalnie. Możliwości i uduśnian jest wiele i zapewne jeszcze nie jeden szalony pomysł będzie realizowany. Ze spadochroniarstwa wyewoluował inny powietrzny sport - paralotniarstwo. Zaczęło się od wojska, które wykorzystało fakt, że spadochron, którego czasa ma kształt skrzydła jest dużo bardziej sterowny niż zwykły, z czasem okrągły. Stwarzało to możliwość desantowania żołnierzy w większej odległości od celu, którzy szybując na "skrzydłach" lecieli, wykorzystując prądy powietrzne. Z czasem pomysł zaadoptowali cywile, którzy

wykorzystali elementy spadochroniarstwa oraz lotniarstwa i zmodyfikowane spadochrony można było oglądać na górskich stokach, z których startowano, pokonując niewielkie odległości. Ulepszeniom paralotni nie było końca, a cel pozostawał zawsze ten sam: polecieć jak najdalej i szczęśliwie wylądować. Obecne paralotnie niewiele już mają wspólnego z pocziwym spadochronem, ale dzięki ulepszeniom konstrukcyjnym można szybować na nich naprawdę daleko. Światowy rekord przelotu paralotnią wynosi przeszło 300 km, a w Polsce najdalej poszybowano w 1997 r. na odległość 90 km.

Drugim z żywiołów, który fascynuje ludzi równie długo jak powietrze jest woda. Na początku próbowano popłynąć daleko i tak, aby przy okazji się nie zamoczyć. Nie zawsze udawało się wyjść z podróży suchą nogą, ten i ów nauczył się pływać, inny szedł na dno. Pierwszym, o którym wiadomo, że świadomie zaczął penetrować wodne głębi, był niejaki Scullis.

Wydobywał zatopione skarby

na zlecenie perskiego króla Xerksesa. Kolejni zapaleńcy starali się wynaleźć sprzęt umożliwiający jak najdłuższe przebywanie w wodzie. Wynalazki bywały przedziwne i różne były efekty ich stosowania. Niewątpliwym

przełomem były butle napełnione sprężonym powietrzem, które pozwalały na swobodną penetrację głębin. Oczywiście nie wszystkich zadowala nurkowanie w ciepłych morzach i jeziorach, dla jednych wyzwaniem będzie nurkowanie pod lodem, dla innych osiągnięcie ogromnych głębokości na bezdechu. Przeciętny człowiek, wstrzymując oddech może wytrzymać około 1,5-2,5 minuty. Bywają jednak wyjątki, do których należy Umberto Pelizzari, który w 1990 r. pobił światowy rekord, wytrzymując bez oddychania 6 minut i 3 sekundy. Swoje niezwykle zdolności wykorzystał 13-krotnie bijąc kolejne rekordy głębokości w nurkowaniu na bezdechu. W kategorii „no limits”, czyli bez ograniczeń, osiągnął na bezdechu głębokość 131 m. Tak głęboko pod wodę nie zszedł jeszcze żaden człowiek.

Wprawdzie Umberto jest tylko jeden, ale nurków spragnionych mocnych wrażeń zdecydowanie więcej. Nie trzeba szukać daleko; Polak Krzysztof Starnawski w 2000 r. pobił o 50 m swój własny rekord głębokości w nurkowaniu jaskiniowym, osiągając w jaskini Hranicka Plepast głębokość 181 m. Nurkowanie we wszystkich obiektach podziemnych jest wyzwaniem niebezpiecznym, gdyż za najmniejszy błąd można zapłacić cenę najwyższą, dlatego dużo większą popularnością od nurkowania cieszy się eksploracja

jaskiń nazywana powszechnie speleologią. Wyposażeni w karbidowe lampy grotolazi

zaczynają przygodę z podziemnym światem

od penetracji dostępnych partii jaskiń, jednak bardzo szybko zwiedzanie zostaje zastąpione eksploracją, czyli odkrywaniem niedostępnych rejonów. Co jakiś czas okazuje się, że jaskinia, która pozornie nie miała przed speleologami żadnych tajemnic została wyeksplorowana, co zwiększyło jej długość i głębokość. Ale z podziemi wróćmy na powierzchnię wody. Można tradycyjnie pożeglować niewielką łajbą po Mazurach, lub wywrotną Omegą po Zatoce Gdańskiej, a jeśli tak małe przygody nie satysfakcjonują, zawsze pozostaje samotny rejs dookoła świata. Co jednak zrobić, gdy nie wystarczą żagle i jachty, a na wielką wodę ciągnie niespokojnego ducha? Należy przerobić odrobinę gumowy ponton i jak Arek Pawełek popłynąć nim przez Atlantyk, lub niczym Aleksander Doba wsiąść do kajaka i w 101 dni przepłynąć z Polic 5300 km, by wylądować w Narviku. Jeżeli nie można pozwolić sobie na trzymiesięczny urlop, a spływy kajakowe leniwymi rzekami już dawno nas nie bawią, można oddać się przygodzie zwanej "White Water", czyli z polską Białą wodą. Kajakarstwo górskie, o którym mowa, niewiele ma wspólnego z dyscypliną olimpijską polegającą na pływaniu kajakiem między tyczkami. W kajakach przygodowych cała zabawa polega na spływaniu góorskimi rzekami, których

woda przypomina war w kipiącym garze

Jest tu również miejsce na akrobacje, takie jak "eskimoska" polegająca na przewróceniu kajaka do góry dnem i samodzielnym przywróceniu mu właściwej pozycji bez wysiadania. Jeszcze bardziej malownicze jest "rodeo", które wprawemu kajakarzowi pozwala w miejscach tak zwanych odwodów kręcić szaleńcze młynki w pionie lub poziomie. Dla osób zupełnie nieprzygotowanych, ale marzących o takiej przygodzie jest coś, co daje przedsmak kajakarstwa górskiego. Mowa o raftingu, czyli spływie góorską rzeką, w którym kajak zostaje zastąpiony kiluosobowym pontonem, na którym nawet amatorzy są bezpieczni, chociaż nie zawsze bezpiecznie się czują. Stosunkowo niedawno powstał canyoning ściśle związany z góorskimi rzekami. Zabawa polega na wędrowce łożyskiem kanionu i wykorzystywaniu ścinającej z nóg wody jako środka transportu. Największą frajdą jest spadanie z masą wody góskiego wodospadu i nurkowanie w kipieli rwącej wody. Oczywiście stosuje się asekurację, a wodospady muszą zostać wcześniej sprawdzone. Jeżeli doszliśmy w rejony góskich rzek nie sposób pominąć samych gór, wszak to teren, gdzie niektórzy udowadniają, że można zapomnieć o grawitacji. Wspinaczkę można podzielić na wiele odmian. Najczęściej zaczyna się od skałek, gdzie pokonując

drogi o różnej skali trudności zdobywa się doświadczenie i wędruje w góry wyższe, albo szlifuje się formę wynajdując drogi co raz trudniejsze i startuje w zawodach na sztucznych ściankach wspinaczkowych. Jednak zostawmy panel na rzecz przyrody. Po skałkach przechodzi czas na Tatry, Alpy, Kaukaz i góry najwyższe. Można zdobywać ośmiotysięczniki, można kompletować koronę ziemi, czyli najwyższe szczyty wszystkich kontynentów, lub wytaczać nowe drogi w ścianach górskich olbrzymów. Dla showmenów istnieje wspinaczka w terenie zurbanizowanym, gdzie celem jest ściana wieżowca. Najsłynniejszym człowiekiem-muchą jest Alain Robert, który bez jakichkolwiek zabezpieczeń

zdobył najwyższe budynki świata

a swego czasu gościł również w Polsce, szturmując z powodzeniem budynek warszawskiego hotelu Marriot. Często popisy Francuza kończą się aresztowaniem przez miejscowych policjantów, ale to ryzyko jest niczym w porównaniu ze wspinaczką, w której za mały błąd trzeba zapłacić życiem. Nie każdy amator mocnych wrażeń chce poświęcać ogrom czasu na niezbędne szkolenia i treningi. Wówczas może chwilę grozy przeżyć, skacząc na bungy - specjalnej linie, która zatrzymuje go na kilka metrów nad ziemią. Innym sposobem jest lot w zorbie - nowozelandzkim wynalazku, który dopiero w zeszłym roku przywędrował do Polski. Jedyny krajowy tor do zorbingu znajduje się w Bieszczadach, w miejscowości Czarna. Zabawa polega na szaleńczym staczaniu się ze wzgórza w specjalnej przezroczystej kuli. Pewnie niejednen zastanawia się, co takiego tkwi w człowieku, że ciągnie go do ryzyka, chociaż instynkt samozachowawczy czasami aż wrzeszczy w niebogłosy. Trudno powiedzieć, czy jest to ucieczka przed codziennością, czy chęć sprawdzenia samego siebie. Nie ma sensu silić się na filozoficzne rozważania - zostawmy to naukowcom. Podwyższony poziom adrenaliny niesie ze sobą zbawienne skutki i jest także wykorzystywany w swoistej profilaktyce. Najlepszym przykładem jest Centrum Przygody "Traczer", które w Sopocie prowadzi przygodową terapię dla młodzieży z tak zwanych trudnych rodzin, podatnej na uzależnienia. Tam trenerzy udowadniają, że zjazdy i skoki na linach lub ekwilibrystyczne popisy na rowerach mogą dać odłot większy niż alkohol czy narkotyki.

- Jest ryzyko - jest zabawa - zwykły mawiać jeden z miłośników sportów ekstremalnych. Ponieważ sposobów na podniesienie adrenaliny jest wiele, w następnych numerach Odkrywcy będziemy prezentować kolejne, a część z nich sprawdzimy dla Was na własnej skórze.

Kmicic

Fot.: Piotr i Karina Sikora,
Paweł Łokaj

Japoń

Toyota Land-Cruiser to legendarny zacyjnego. Historia tego samochodu 30. Toyota podjęła udane mi wszystkimi kołami jezdny bardzo udaną serię o oznacz pierwowzorem wszystkich mo

Wprost z tego modelu wywodzą się serie J 2, J 3, J 4 i tak dalej. Samochód z oznaczeniem BJ 40 wyszedł niestety z produkcji w japońskich zakładach, lecz jego nienaganą konstrukcję przejęły fabryki w Brazylii. Jest to klasyczny pojazd terenowy napędzany różnymi silnikami benzynowymi i dieslami - wszystkimi o dużych mocach, co sprawiło w połączeniu z prostą konstrukcją całego auta, że pojazdy te można spotkać na całym świecie i właściwie wszystkie w niezłej formie. Wiele armii świata jest wyposażonych właśnie w te modele. Model BJ jest bardzo poszukiwanym pojazdem i świetnym materiałem do wybudowania auta wyprawowego jak i do sportów terenowych.

Nie ma on sobie równego przeciwnika

w bardzo trudnych warunkach terenowych.

Trudno mi tutaj opisywać wszystkie modele Toyoty Land-Cruiser, ponieważ do tego roku naliczyłem ich aż 78 wersji. Oczywiście wiele z nich z zewnątrz niczym się nie różni, lecz występują pod innym oznaczeniem z powodu różnych silników, różnego sposobu przeniesienia napędu oraz różnego typu zawieszenia. Skupimy się zatem na modelach znanych i dostępnych w naszym kraju. Najpopularniejsze u nas modele to pojazdy z lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Przeważającym modelem w Polsce jest auto z tak zwanej siódmej serii o małym rozstawie osi, zawieszone na sprężynach lub resorach w zależności od roku produkcji. Podstawowym silnikiem jest dieslowska jednostka o pojemności 2,4 litra, czasem nawet z turbosprężarką. W latach dziewięćdziesiątych ten dość słaby silnik zamieniono w krótkich modelach na trzylitrowego turbodiesla, który zdecydowanie poprawił dynamikę tych pojazdów. Ten pojazd mimo niewielkiego wnętrza to konstrukcja niezwykle udana, dająca dobry komfort podróży oraz świetne warunki terenowe. Wadą pozostaje natomiast ciasne wnętrze, mało miejsca na bagaż i trudny dostęp do tylnych siedzeń. Problemy te rozwiązują inne modele toyoty.

Równolegle z krótkimi modelami były zawsze w produkcji modele czterodrzwiowe

ska legenda

...pońskiego przemysłu motory-
...du liczy ponad 60 lat. Już w la-
...y z samochodami napędzany-
...w roku 1942 wyprodukowano
...AK10. Samochód ten stał się
...Land-Cruiser.

o znacznie większym rozstawie osi - co nie wpływa zbyt korzystnie na poruszanie się w terenie, lecz bardzo poprawia komfort podróżowania. Obszerność wnętrza w modelach serii 6 i 8 jest wręcz porażająca. W przestrzeni bagażowej bez składania tylnych siedzeń można włożyć europaletę pełną cegieł. Oczywiście waży ona trochę więcej niż ładowność przewidziana przez producenta.

Taki ładunek waży koło tony i sam przewiozłem w modelu HJ61 taki ciężar bez żadnej szkody dla pojazdu. Od paru lat jestem właścicielem takiego samochodu i muszę przyznać że

podróżowanie w bardzo ciężkim terenie

takim "autobusem" daje maksymalną ilość wrażeń, jakie człowiek może przeżyć w ubraniu.

W dużych modelach Toyota montowała silniki na ogół turbodiesle o pojemności 4 lub 4,2 litra i mocach w zależności od wydania od 136 do 180 KM. Zapewnia to tym pojazdom mającym maksymalny ciężar dopuszczalny około trzech ton i możliwość ciągnięcia przyczepy o ciężarze maksymalnym około czterech ton bardzo dobre własności trakcyjne. Na tle konkurencji obraz Toyoty Land-Cruiser w dużej wersji przedstawia się imponująco. Niestety nie za darmo. Ceny dużych modeli, zwłaszcza nowszych roczni-



ków (ostatnie 10 lat) są nieprzyzwoicie wysokie. I tu ciekawostka. Ceny tych aut mniej zależą od wieku, a decydującą rolę o cenie jest stan pojazdu.

Duże modele HDJ80 - 90 i 100 to bardziej luksusowe limuzyny wyposażone w komfortowe wnętrza niż prawdziwe samochody terenowe. Duża ilość plastikowych elementów zewnętrznych nieco ogranicza ich zdolności terenowe, lecz nadrabiają to wysmienienie mocą silnika.

Większość modeli terenowej toyoty wyposażona jest w dołączany napęd kół przednich oraz mosty napędowe o podwyższonym stopniu tarcia, co powoduje, że koła prawe i lewe w ciężkim terenie

ciągną auto we właściwym kierunku

Oczywiście większość modeli można wyposażać dodatkowo w elektryczną, mechaniczną lub hydrauliczną wciągarkę. W wielu modelach jest możliwość założenia z przodu wirnikowego pługu śnieżnego, jak również wielu innych urządzeń zewnętrznych.

Ogromna popularność terenowych modeli toyoty na całym świecie sprawiła, że i w Polsce jest to samochód cieszący się dużym uznaniem - a i salony Toyoty oferują najnowsze modele

Land-Cruisera niestety w cenach zbliżonych do astronomicznych. Jest również bardzo śmieszny model toyoty o oznaczeniu RAV-4 -

mały samochodzik udający auto terenowe, ale nie radzę nikomu zapuszczać się nim w cięższy teren. RAV-4 nieźle daje sobie radę na ośnieżonych drogach, polnych duktach, lecz prawdziwy teren może okazać się dla niego zabójczy.

Moim skromnym zdaniem każdy model Toyoty Land-Cruiser jest świetną propozycją dla ludzi lubiących przygodę, kontakt z terenem - nawet bardzo ciężkim, poszukiwaczy skarbów i wszystkich tych którzy chcą mieć pojazd o małej awaryjności, pewny w terenie i o przyzwoitych kosztach utrzymania.

Mówiąc o przyzwoitych kosztach utrzymania mam na myśli niezbyt wysokie zużycie paliwa przez silniki dieslowskie, dobrą dostępność części obsługowych takich jak filtry, klocki, paski, łożyska itp. oraz dużą ilość części zamiennych z tak zwanej drugiej ręki.

Podsumowując Toyota Land-Cruiser to pojazd niezależnie od modelu naprawdę porządny i mimo dużej masowej produkcji jakość tych samochodów jest bardzo wysoka, a awaryjność bardzo niska. Większość uszkodzeń spowodowanych jest przez niewłaściwą eksploatację (brak systematycznych przeglądów) oraz niewłaściwie przeprowadzane naprawy. Przy przestrzeganiu podstawowych zasad zdrowego rozsądku toyota może służyć przez bardzo wiele lat.

Tekst i zdjęcia Jacek Blum



**SPRZEDAM
TOYOTĘ
LAND CRUISER**
1989 r., 5600 ccm, cena 30.000 zł
tel. 071/362-80-32

Badania terenowe ekipy ODKRYWCY

Wyspa bez tajemnic, góra pełna zagadek

Ekipa Odkrywcy dostaje od Was coraz więcej sygnałów na temat miejsc i obiektów związanych z tajemnicami historii. Serdecznie za nie dziękujemy. Wiele z tych informacji wymaga bardzo gruntownego i mozolnego sprawdzenia, dlatego musicie uzbroić się w cierpliwość.

Nawet najlepiej przygotowane poszukiwania w większości przypadków nie przynoszą natychmiastowych efektów i trzeba do tych samych miejsc wracać przez wiele miesięcy, a nawet lat. Niektórych miejsc nigdy nie będzie można zbadać do końca. Dlatego możecie być pewni, że nasz zespół będzie sprawdzał gruntownie wszelkie informacje, choć czasem może to potrwać.

Na początku czerwca szukaliśmy w dwóch miejscach: w Bornym Suliniu i w Masywie Śnieżnika na Dolnym Śląsku.

Podwodny las

Ta historia od dawna nas pociągała (dokładnie opisaliśmy ją w czerwcowym numerze ODKRYWCY). Pytanie, czy brakujący fragment wyspy na jeziorze Pile kryje jakieś wojenne pozostałości czy może brzeg został celowo odstrzelony, a wystające z dna drzewa przykrywają betonowe konstrukcje towarzyszyły nam w drodze do Szczecinka.

Dzięki wielkiej życzliwości burmistrza Bornego pana Józefa Tomczaka, szefa Straży Miejskiej pana Dariusza Tederko i szefa Zespołu Historycznego Zbigniewa Różyckiego zostaliśmy bardzo dokładnie oprowadzeni i "wtajemniczeni" w zagadki obiektów znajdujących się na terenie Bornego i sąsiedniego poligonu. Siłosy atomowe, wielokondygnacyjne schrony, głębokie, sięgające poniżej dna jeziora suche studnie, liczne poligonowe magazyny i miejsca gdzie wyrzucano "niepotrzebny sprzęt" to nie wszystko. Jest jeszcze jedna zagadka: po co Rosjanie w końcówce swego "panowania" zwozili setki ton cementu nic nie budując?

Najpierw jednak czekał na nas podwodny las. Po zbadaniu akwenu wokół wyspy za pomocą echosondy Tadek i Sławek z Ekipy Odkrywcy rozpoczęli nurkowanie do zapadniętej części wyspy. Pod wodą faktycznie są drzewa, ale większość z nich leży, a nie stoi. To, co wydawało się betonem przy bliższym sprawdzeniu okazało się pokładami kredy jeziornej, w które bez problemu można było włożyć pręt. Badanie podwodnym detektorem metalu i magnetometrem nie potwierdziły występowania konstrukcji metalowych.

Wieczorem w większym gronie omówiliśmy te fakty i musieliśmy przyznać, że pod wyspą nie ma tajnej bazy miniaturowych łodzi podwodnych ani nieznanych fragmentów Wału Pomorskiego. No cóż, jedna z tajemnic Bor-

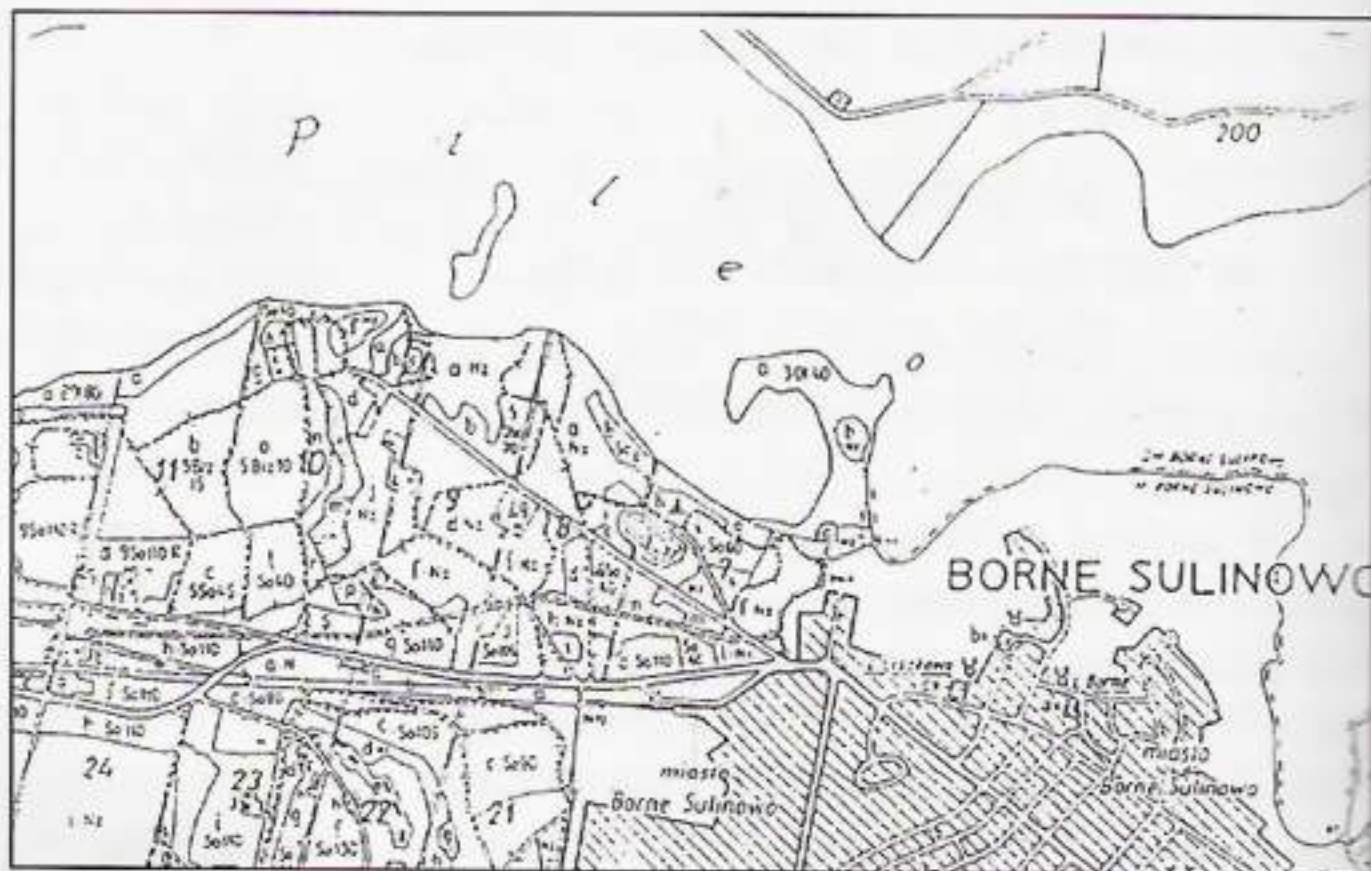
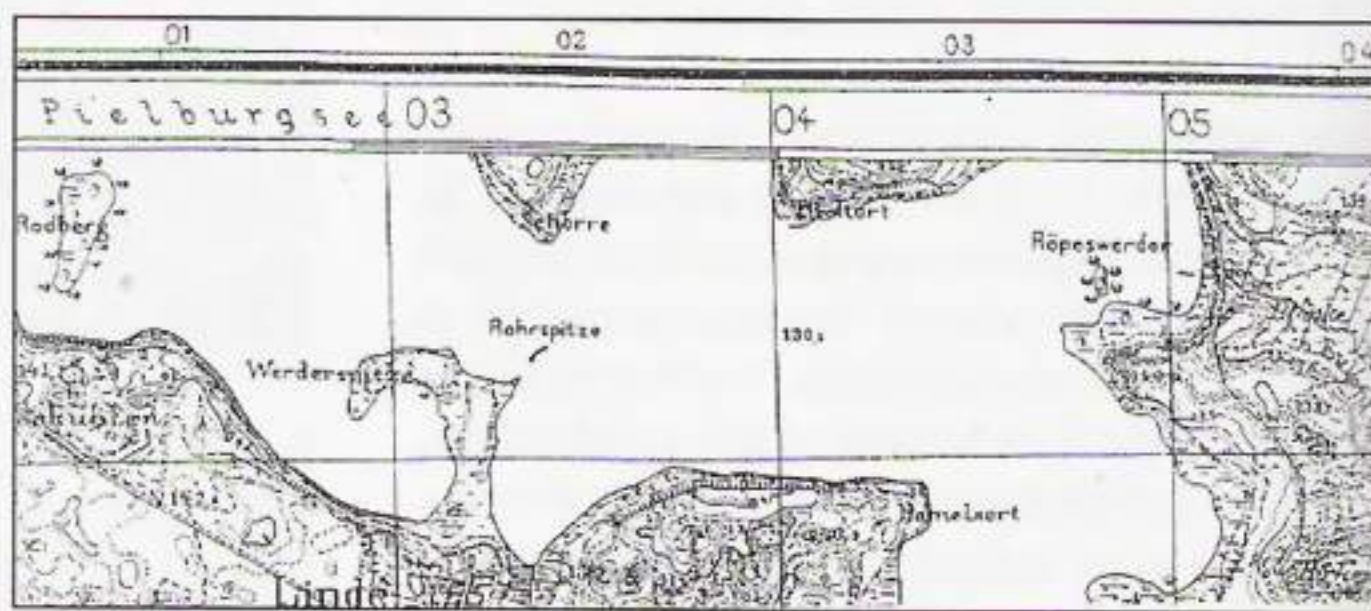
nego okazała się naturalnym obsunięciem płaszcza roślinnego złożonego z korzeni i poszycia. Podkład kredy podzielał jak ślizgawka, która przy jakimś bodźcu pozwoliła kawałkowi wyspy zsunąć się do podwodnego dołka.

Jak to bywa podczas poszukiwań, rozwiązanie jednej zagadki i towarzyszące temu rozmowy spowodowały powstanie szeregu następnych pytań. Choćby takie: czy słynna baza minilodzi podwodnych istnieje, ale w innym miejscu jeziora... Jakże mogłoby być inaczej, skoro Borne jest jednym z mniej znanych i zbadanych terenów w Polsce. Wiadomo, że w podobnych miastach przy poligonach niemieckich istniały rozległe podziemia, zresztą takie obiekty powinny występować w Bornem ze względu na umocnienia Wału Pomorskiego. Są przypuszczenia, gdzie mogą się znajdować wejścia i weryfikacja tych hipotez będzie prawdopodobnie naszym następnym zadaniem w Bornem Sulinowie. Zresztą i bez tego Borne jest miejscem, do którego chce się wracać (tekst sponsorowany).

Mamy nadzieję, że podczas następnej akcji spotkamy tam licznych poszukiwaczy i fascynatów przygody.

Tajemnice Śnieżnika

Podążając śladami listu otrzymanego od Czytelnika "Eksploratora" i "Odkrywcy" podążyliśmy do Kotliny Kłodzkiej. Tym razem mieliśmy poszukiwać rozbitego samolotu na zboczach Śnieżnika i przysypanego śmieciami niemieckiego czołgu. Nasi Czytelnicy Remigiusz i Jerzy zaprowadzili nas na zbocze, na którym podczas zalesiania w latach 60. odnajdowano fragmenty poszycia samolotu. Dzisiaj na zboczu rozpościera się gęsty las, a przy dużym nachyleniu szczególnie ciężko pracować tam z wykrywaczem. Kilka godzin zajęło nam przeszukiwanie gąszczu. Podrapani, zmęczeni i trochę zawiedzeni brakiem rezultatów musieliśmy pozostawić górę w spokoju. Jeśli jednak ktoś z



Was zna jakieś dokładniejsze historie na temat tej katastrofy, prosimy o kontakt z redakcją lub przesłanie listu elektronicznego: poszukiwania@odkrywca-online.com

Więcej szczęścia mieliśmy z niemieckim czołgiem. Kilkanaście kilometrów od Śnieżnika rozmawialiśmy z naocznymi świadkami, którzy opisywali jak to zaraz po wojnie w rozpadlinie przy drodze utknął niemiecki czołg. Ze względu na ukształtowanie terenu nie udało go wyciągnąć w całości i pociąć na złom. Pozbawiony wieżyczki i wyposażenia korpus służył przez pewien czas miejscowym dzieciom do zabawy, a następnie zaczęto sypać wokół śmieci i gruz. Obecnie maszyna spoczywa pod kilkumetrową warstwą wszelkiego rodzaju odpadków i... no właśnie to, co zastaliśmy na miejscu śmietniska najbardziej nas zasmuciło. Na wierzchu postawiono garaże. Na szczęście obszar dawnego śmietniska jest sporo większy niż powierzchnia zabudowy, więc istnieje szansa, iż podczas następnej wyprawy uda się nam przynajmniej dokładnie określić miejsce spoczynania wraku.

Redakcja

Jezioro Stolsko przez 57 lat skrywało tajemnicę zaginionego bombowca



Zatopiona forteca

O godzinie 9.32 bombowiec pilotowany przez porucznika Roberta O'Bannona został trafiony w lewe skrzydło, tuż za wewnętrznym silnikiem oraz w statecznik poziomy. Ostatni raz samolot był widziany na wysokości 15 000 stóp. Załozdę udało się wyskoczyć na spadochronach, ale jeden z lotników został trafiony serią z pokładu niemieckiego myśliwca

Niecałe 22 kilometry na północny zachód od Szczecina, na skraju Puszczy Wkrzańskiej leży niewielkie, otoczone lasami jezioro. Stolsko, bo o nim mowa kryje w sobie niesamowitą historię. Mieszkańcy położonej nad brzegiem jeziora wioski, wiosną 1944 r. byli świadkami katastrofy amerykańskiego bombowca, który rozbił się o powierzchnię wody.

Według relacji naocznych świadków nastąpiło to w końcu maja 1944 roku. W tym samym czasie bombardowana była niemiecka wytwórnia paliwa syntetycznego Hydrierwerke Pölitz, znajdująca się nie więcej niż 20 kilometrów od jeziora. Nic więc dziwnego, że jeszcze podczas wojny powstała hipoteza, że samolot zatopiony w Stolsku wcześniej atakował właśnie Police. Do końca lat 80. maszyna spokojnie leżała na dnie jeziora, dopiero na przełomie lipca i sierpnia 1989 roku uczestnicy V Międzynarodowej Ekspedycji Płetwonurków zorganizowanej pod patronatem Głównej Kwatery ZHP dokonali jego penetracji. Wyciągnięte wówczas z wody szczątki samolotu i wyposażenia przekazane zostały Muzeum Oręża Polskiego w Kołobrzegu. W zbiorach muzeum znajduje się obecnie fragment poszarpanej, srebrnej blachy z pięciopięcienną białą gwiazdą na niebieskim tle, kilka zniszczonych części

samolotu, odcinek metalowej taśmy z 14 nabojami, stalowy hełm, kamizelka kuloodporna oraz jeden skórzany but.

W 1995 roku ekipa gdańskiego klubu płetwonurków "Rekin" pod kierownictwem Jerzego Janczukowicza dokonała kolejnej eksploracji wraku. Wydobyto dalsze szczątki rozbitego samolotu, w tym fragment skrzydła. Początkowo wiele wskazywało na to, że katastrofa mogła nastąpić 29 maja 1944 roku, co zgadzało się z relacjami świadków. W tym dniu prawie 1000 ciężkich bombowców 8. Armii Powietrznej Stanów Zjednoczonych wysłanych zostało nad kilkanaście różnych celów w Niemczech i w okupowanej Europie.

224 samoloty z 2. oraz 3. Dywizji zaatakowały zakłady chemiczne w Policach, a 9 samolotów wyrzutnie V-3 w Międzyzdrojach. Były to jednak liberatory, a na dnie jeziora Stolsko

znaleziono szczątki latającej fortecy. W tym samym dniu bombowce Boeing B-17 G "Flying Fortress" z 1. Dywizji atakowały wytwórnię lotnicze Focke-Wulfa.

Grupa 91 fortec zrzuciła bomby nad Krzesinami

pod Poznaniem, 58 innych zbombardowało sam Poznań, 52 poleciały nad Żary, 48 do Cottbus, a 19 nad Piłę. Po wykonaniu zadania samoloty 1. Dywizji obierały kurs nie bezpośrednio na zachód, lecz na północ. Wydaje się, iż większość przekroczyła brzeg Bałtyku między Szczecinem, a Kołobrzegiem, aby stamtąd skierować się w stronę swoich brytyjskich baz. Pomimo osłony

Fragment mapy z zaznaczoną trasą lotu na Berlin 21 czerwca 1944 roku - via Paul Andrews



mustangów bombowce atakowane były przez myśliwce Luftwaffe nad Wielkopolską i Pomorzem. 29 maja 1944 roku 8. Armia Powietrzna utraciła nad Europą kilkanaście samolotów. Najcięższe straty poniosła 305. Grupa Bombowa. Trzy fortece tej jednostki nie powróciły z nalotu na Cottbus. Dwie z nich zestrzelone zostały w okolicach Międzyrzecza i Przytocznej w dawnym województwie gorzowskim. Niestety, miejsca upadku trzeciej fortecy nie udało się do tej pory precyzyjnie określić. Według amerykańskich dokumentów Boeing B-17 G, noszący numer 42-38176 i oznaczony literami KY-W, spadł w okolicy Ransow w Niemczech, a załogi 305. Grupy Bombowej widziały 10 spadochronów ponad wodą. Pewne źródła podają, iż z tej dziesiątki

ocalał jedynie nawigator,
który potem trafił do niewoli

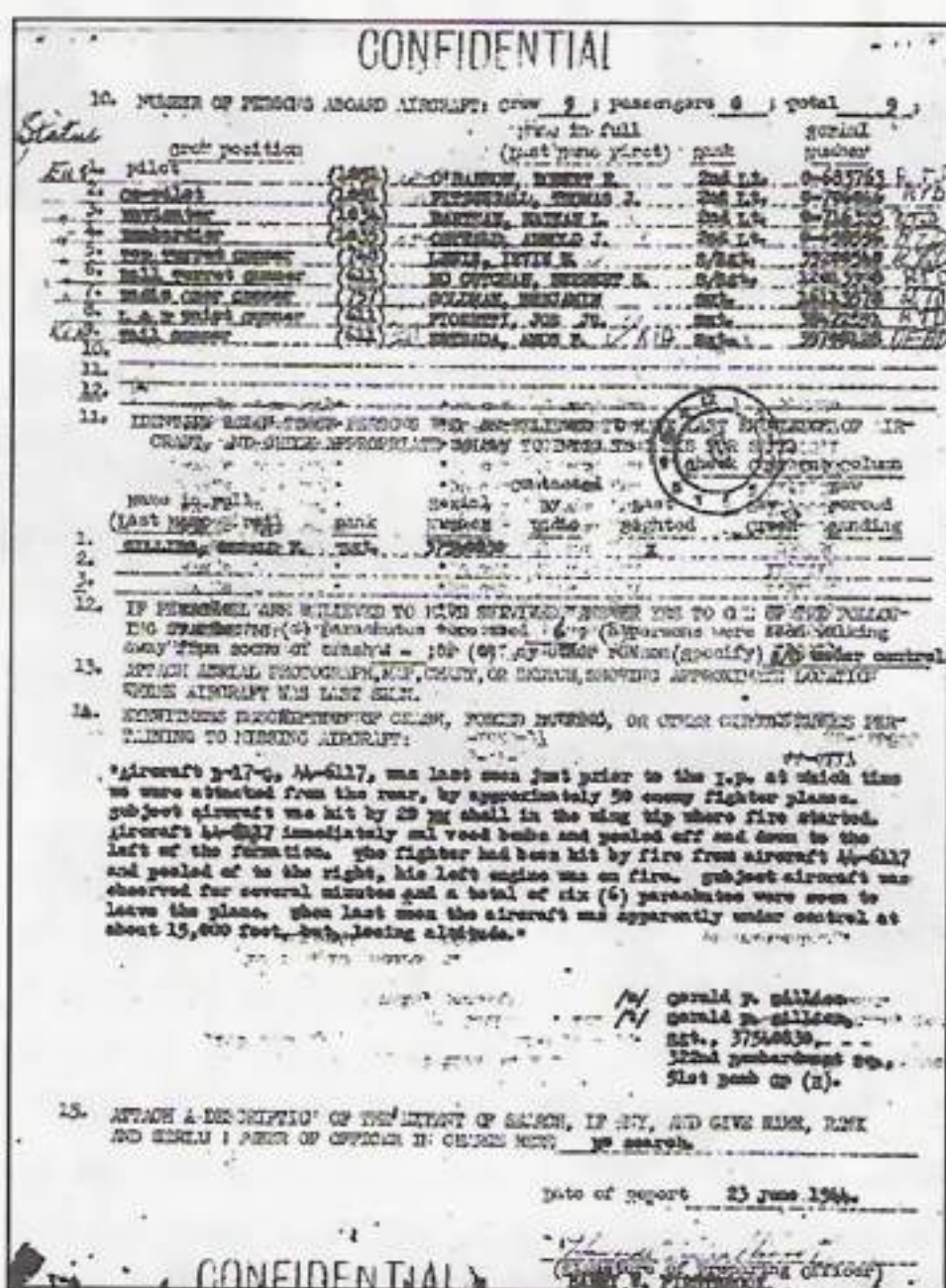
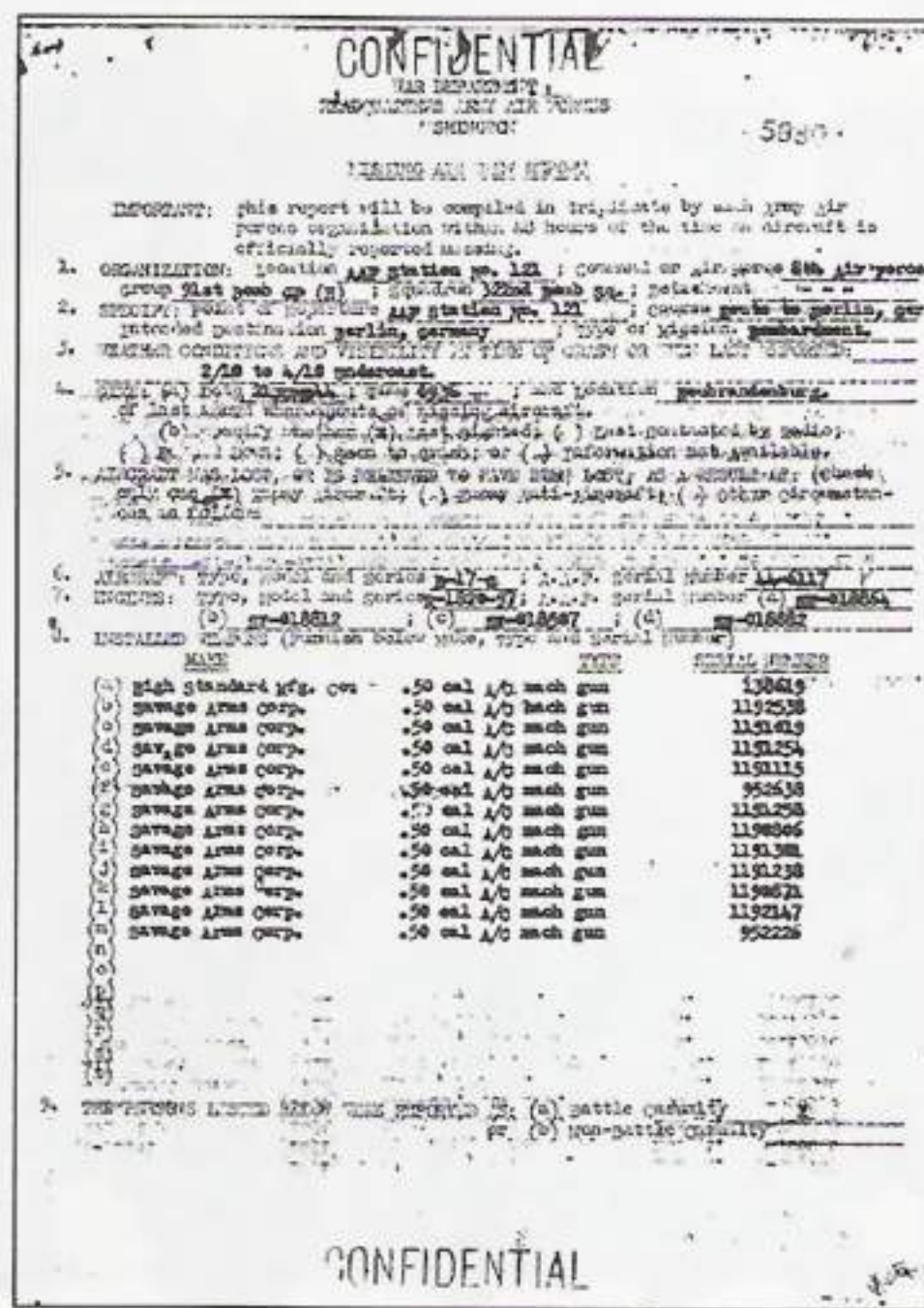
Według innych dokumentów ocalało ponoć dwóch.

Do lotu na Cottbus na pokładzie fortecy numer 42-38176 wystartowali tego dnia: 1st Lt. Edward P. Kass - pilot, 2nd Lt. Frank A. Gioffe - drugi pilot, 2nd Lt. Robert J. Kieran - nawigator, Sgt Warren M. Nutter - bombardier, T/Sgt Robert E. Rahn - radiooperator, T/Sgt Henry A. Rublewsky - górny strzelec, S/Sgt Edward Towle - dolny strzelec, S/Sgt Claudet Blanton - prawy strzelec, S/Sgt Willie V. Franklin - lewy strzelec i S/Sgt Foster E. Heath - strzelec ogonowy. Konia z rzędem temu, komu uda się znaleźć na mapie Ransow. Takiej miejscowości nie ma nawet w niemieckim atlasie z okresu wojny. Jest za to rzeka Randow, która przepływa zaledwie 11 kilometrów na zachód od znajdującego się na granicy polsko-niemieckiej jeziora Stolsko. Można by przyjąć, że to właśnie samolot numer 42-38176 spadł do jeziora Stolsko. Jednak wtedy do rozwiązania pozostaje jeszcze jeden trudny do przemilczenia problem. Otóż z numeru seryjnego można odczytać nie tylko wersję samolotu, która w tym przypadku oznaczona była B-17G-30-DL, ale również dowiedzieć się, czy fabrycznie nowa

**forteca nosiła standardowy
dwubarwny kamuflaż**

Olive Drab/Neutral Gray, czy też pozostawiona była w naturalnej barwie blachy duralowej. Omawiany samolot należał, jak się okazało, do ostatniej wersji pokrywanej kamuflażem, która produkowana była w zakładach Douglasa w Long Beach w Kalifornii. Duży fragment lewego skrzydła fortocy wydobyty przez płetwonurków "Rekina" z widniejącym na nim znakiem USAAF, pokryty był typowym kamuflażem, co sugerowałoby, iż może pochodzić z samolotu Edwarda P. Kassa. Jednak zachowany fragment poszycia kadłuba z widniejącą na nim amerykańską gwiazdą, znajdujący się w zbiorach kołobrzeskiego muzeum nie był pokryty farbą. Czy to możliwe, aby farba kamuflażu uległa całkowitemu zniszczeniu, a znakomicie zachowała się również malowana amerykańska gwiazda? Trudno w to uwie-

rzyć, tym bardziej, że w całości ocalał kamouflaż na skrzydle wydobytym przez ekipę Jerzego Janczukowicza. Oczywiście zdarzały się przypadki naprawiania uszkodzonych samolotów przy użyciu części pochodzących z innych, niezdolnych do lotu maszyn. W taki sposób powstawały hybrydy, któ-



*Kopia raportu o zaginięciu załogi
MACR(Missing Aircraft Crew Report) - via Paul
Andrews*

rych poszycie składało się zarówno z blach srebrnych, jak i pokrytych kamuflażem. Czy forteca ze Stolska była jedną z takich hybryd? Wiadomo, że samolot o numerze kończącym się na 176 został lekko uszkodzony 25 lutego 1944 roku. Czy jednak nieznaczne uszkodzenia mogły być powodem wymiany całej sekcji kadłuba znajdującej się pomiędzy płatem a stanowiskiem bocznego strzelca? Fragment srebrnej blachy z Muzeum w Kołobrzegu znajdował się najprawdopodobniej właśnie tam.

Być może

**zagadka fortecy ze Stolska
pozostałaby nie wyjaśniona**

gdyby nie kolejna wyprawa Jerzego Jan-
czukowicza i ekipy gdańskiego "Rekina".
Tym razem oprócz dalszych szczątków sa-
molotu odnaleziono tabliczkę znamionową
jednego z silników forticy z wybitym nu-
merem seryjnym. Tabliczka ta i wybity na
niej numer okazały się kluczem do ostatecz-
nego wyjaśnienia tajemnicy spoczywające-
go w jeziorze Stolsko samolotu. Zawarte na
niej dane trafiły do członków polskiej organi-
zacji Aircraft M.I.A. Project. Niestety, żaden
z posiadanych przez A.M.I.A.P. dokumentów
dotyczących zaginionych załóg nie zawierał
widocznego na tabliczce numeru SW-018882,
będącego numerem seryjnym silnika. Z pomo-
cą przyszedł Paul Andrews z USA, który jest
autorem kilku znaczących publikacji na temat
8. Armii Powietrznej USA. To on mozolnie
przejrzał dziesiątki raportów o zestrzelonych
załogach, aby natrafić na dokument dotyczą-
cy latającej forticy z 91. Grupy Bombowej
oznaczonej numerem 44-6117, która nie po-
wróciła z nalotu na Berlin 21 czerwca 1944
roku. Był to raport o zaginięciu załogi tzw.
MACR (Missing Air Crew Report) noszący
numer 5980, z którego wynikało, iż utracona
forteca należała do 322. Dywizjonu, 91. Gru-
py Bombowej, 8. Armii Powietrznej USA.
Według danych zawartych w raporcie forma-
cja bombowców B-17 należących do 91. Gru-
py Bombowej została

zaatakowana przez ponad 50 niemieckich myśliwców

na chwilę przed osiągnięciem tak zwanego IP (Initial Point). O godzinie 9.32 bombowiec o numerze taktycznym 44-6117 pilotowany przez porucznika Roberta O'Bannona został trafiony w lewe skrzydło, tuż za wewnętrznym silnikiem oraz w statecznik poziomy. Skrzydło stanęło w płomieniach, załoga pozbyła się bomb i uszkodzony bombowiec opuścił formację. Na krótko przed wyjściem z szyku zdążył jeszcze trafić swojego przeciwnika. Dwusilnikowy myśliwiec (prawdopodobnie Messerschmitt Me 410 z ZG 26) trafiony w lewy silnik, płonąc wycofał się z walki. Zaobserwowano sześć spadochronów, a tracąca wysokość forteca widziana była na wysokości 15.000 stóp po raz ostatni. W skład załogi porucznika Roberta O'Bannona wchodził: 2nd Lt. Robert E. O'Bannon - dowódca, 2nd Lt. Thomas J. Fitzgerald - drugi pilot, 2nd Lt. Nathan L. Bartman - nawigator, 2nd Lt. Arnold J. Ostwald - bombardier, S/Sgt. Irvin E. Lewis - górny strzelec, Sgt. Benjamin Goldman - radiooperator, S/Sgt. Herbert S. McCutchan - dolny strzelec, Sgt. Jose Fioretti - boczny strzelec, Sgt. Amos F. Estrada - tylny strzelec. Wszyscy członkowie załogi wyskoczyli na spadochronach przed godziną 10.08, zanim samolot wpadł do jeziora Stolsko.

Niestety, Amos F. Estrada

tylno strzelec nie przeżył skoku

Według relacji załóg innych bombowców został ostrzelany w powietrzu, podczas lotu



Operacja wydobywania skrzydła forticy zakończyła się sukcesem

na spadochronie przez niemiecki myśliwiec. Reszta załogi trafiła do niemieckiej niewoli. Forteca B-17D-40-DL o numerze 44-6117 była nowym, całkowicie srebrnym samolotem. Do 91. Grupy Bombowej trafiła w końcu maja 1944 roku. Przed feralnym dniem 21 czerwca, jak ustalił brytyjski badacz Ray Bowden zdążyła wykonać tylko cztery loty bojowe. 15 czerwca do Bordeaux-Merignac, trzy dni później do Hamburga, 19 czerwca ponownie do Bordeaux-Merignac i następnego dnia znów do Hamburga. Podczas jednej z tych misji została uszkodzona do tego stopnia, że trzeba było wymienić koniec lewego płata i zastąpić go innym. Pobrano go z jednej ze starszych fort, która pokryta była standardowym kamuflażem Olive Drab/Neutral Gray. Celem kolejnej misji miał być Berlin. Spośród wielu dokumentów i raportów na uwagę zasługuje pewien protokół, w którym jeden z członków załogi fort, Benjamin Goldman - radiooperator opisuje okoliczności ewakuacji z uszkodzonego samolotu oraz śmierci tylnego strzelca Amosa F. Estrady.

"Gdy Fioretti - pisze Ben Goldman - nie mógł uporać się z otwarciem drzwi przy swoim stanowisku, przeszedł na tył samolotu, w kierunku stanowiska tylnego strzelca. Jego właz był otwarty, a strzelca Amosa Estrady już tam nie było, pozostał po nim tylko jeden but zaklinowany w obramowanie włazu." Była to ostatnia rzecz zapamiętana przez Fiorettiego przed opuszczeniem

samolotu. Pozostawiony przez Amosa but jest prawdopodobnie tym wydobytym z wraku w 1989 roku, a obecnie wyeksponowanym w kołobrzesckim muzeum. Podczas pobytu w obozie jenieckim Ben Goldman spotkał członka załogi jednego z bombowców biorących udział w tej misji, zestrzelonego w następnym locie bojowym, który twierdził, iż widział jak opadający na spadochronie Amos Estrada został ostrzelany przez załogę tego samego myśliwca, który w chwilę wcześniej stracił jego samolot.

Amos Estrada był w czerwcu 1944 roku jedynym członkiem załogi B-17 44-6117, który miał żonę i dziecko.

Tak kończy się historia stolskiej fort, która znalazła swój epilog dopiero po 57 latach. Historia ta jest równocześnie częścią bitwy o niemiecki przemysł, która pochłonęła życie dziesiątek tysięcy lotników walczących podczas II wojny światowej.

*Piotr Kałuża, Michał Mucha
Fot. Archiwum autorów
i Jerzego Jańczukowicza*

*Fragment forticy eksponowany
w Muzeum Oręża Polskiego*

Szczególne podziękowania należą się osobom, które przyczyniły się do rozwiązania Tajemnicy Jeziora Stolsko i powstania tego artykułu:

- Jerzemu Jańczukowiczowi wraz z członkami klubu "Rekin" - nieustrudzonym tropicielom podwodnych tajemnic
- Paulowi Andrewsowi - amerykańskiemu badaczowi historii lotnictwa
- Rayowi Bowdenowi - brytyjskiemu badaczowi historii lotnictwa
- Benjaminowi Goldmanowi, uczestnikowi wydarzeń 21 czerwca 1944 roku
- oraz Muzeum Oręża Polskiego w Kołobrzegu

Kontakt z Aircraft M.I.A Project :
www.samoloty.ip.pl/amiap/



Kiedy na jednej z wypraw Piotr N. ze stoickim spokojem zaczął rozbierać granat do garłacza, na towarzyszy poszukiwań padł blady strach. W kilkanaście sekund teren opustoszał, a ryzykant został sam ze "śmiercią" w dłoniach

Granat agitacyjny

Rozbrajanie, opukiwanie, rzucanie czy chociażby branie do rąk wszelkich granatów, pocisków lub min niesie za sobą sporą dozę niebezpieczeństwa. Pomimo upływu kilkudziesięciu lat od zakończenia działań wojennych, wszystkie skorodowane niewypały i niewybuchy kryją w swoim wnętrzu materiał wybuchowy, a częstokroć są uzbrojone w zapalniki. Nawet posiadając elementarne wiadomości na temat ich budowy, faktyczna ocena stanu i możliwości aktywacji jest niezwykle trudna.

Nie mając stuprocentowej pewności lepiej nie podejmować decyzji, która może swój epilog znaleźć w rubryce nekrologów. Jeżeli ktoś, tak jak Piotr N. rozbiera "zardzewiałą śmierć" najlepiej szybko zmienić miejsce pobytu, chyba że tak jak w tym przypadku zadziała zasada wyjątku i niewypał okaże się niemieckim, karabinowym granatem agitacyjnym. Jest to granat do garłacza karabinu Mauser wz. 98k., którego zadaniem nie było rażenie żywej siły nieprzyjaciela lub niszczenia celów opancerzonych, ale rozrzucanie ulotek.

Funkcjonujący do dziś termin "propaganda goebbelsowska" nie jest dziełem przypadku. W doktrynie wojennej hitlerowskich Niemiec szeroko pojęta propaganda była stosowana od pierwszych do ostatnich dni władzy Adolfa Hitlera. Jednym z jej elementów były próby przekonania żołnierzy nieprzyjaciela, że przejście na stro-

faust 60. Do strzelania z granatników raketowych i pancernic używano pocisków o działaniu kumulacyjnym napędzanych za pomocą ładunku raketowego i miotającego. Natomiast do niemieckich granatników karabinowych i przeciwpancernych używano pięciu rodzajów granatów. Były to:

- duży karabinowy granat przeciwpancerny wz. 43 Gr.G.Pz.gr. do granatników p.panc wz. GzB - 39 i granatnika karabinowego
- duży karabinowy granat p.panc Gr.G.Pz.gr.
- mały karabinowy granat p.panc G.Pz.gr.
- karabinowy granat odłamkowy G.S.Pz.gr.
- karabinowy granat agitacyjny.

Dla poszukiwaczy niezwykle istotne są dwa ostatnie rodzaje granatów, a szczególnie charakterystyczne różnice w wyglądzie zewnętrznym. Istotą poszukiwań militariów jest duża i stale pogłębianą wiedza na temat uzbrojenia, budowy broni, elementów wyposażenia i oporządzenia. Częstokroć znalezione fragmenty przedmiotów tylko dzięki znajomości tematu mogą zostać zidentyfikowane przez znalazcę. Nie wiedząc, co się znajduje najlepiej nie fatygować się do lasu z wykrywaczem, wszak to próżny trud.

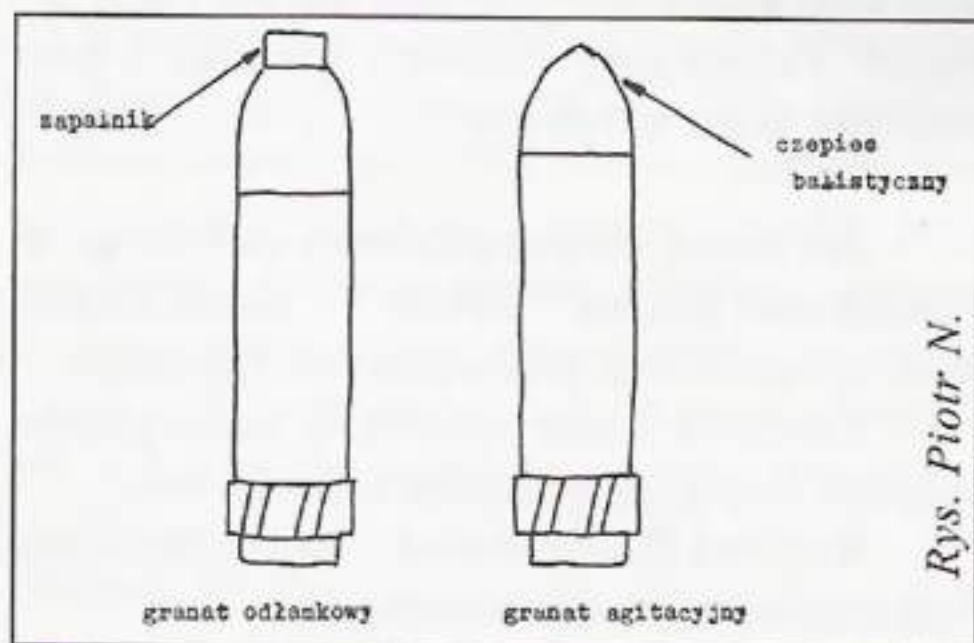
Karabinowy granat odłamkowy i agitacyjny to nic innego jak popularnie nazywany przez poszukiwaczy granat do garłacza. Często można go znaleźć w miejscach wojennych pobojo-wisk, ale zostaje zazwyczaj ignorowany lub po prostu wyrzucany. A szkoda, bo różnica pomiędzy granatem agitacyjnym a odłamkowym może być niezauważalna dla laika, ale nie dla doświadczonego detektorysty. Oczywiście absolutnie nie namawiamy nikogo do zbierania i rozbierania tego typu granatów. Jest to bardzo niebezpieczne, zwłaszcza gdy znalezisko zostanie błędnie zidentyfikowane, nie mówiąc już o ewentualnych konsekwencjach prawnych takich działań. Chcemy wyłącznie przybliżyć temat dotyczący jednej widocznej na pierwszy rzut oka różnicy dzielącej obydwie granaty. Jest to szczegół, który decyduje o bezpieczeństwie znalazcy, chociaż różnic w budowie wewnętrznej jest dużo więcej, ale sam przekrój możemy sobie darować, ponieważ jego znajomość nie ma wpływu na rozpoznanie granatu agitacyjnego.

Dla potencjalnego znalazcy istotny jest wygląd samego korpusu. Granat agitacyjny nie ma w czołowej części widocznego zapalnika uderzeniowego w przeciwieństwie do granatu odłamkowego, który taki zapalnik (bardzo czuły!!!) posiada. Granat agitacyjny nie posiada ładunku wybuchowego, ale jedynie ładunek miotający ulotki. Jednak mając nawet najmniejsze wątpliwości dotyczące tożsamości granatu należy pozostawić go w spokoju. Jeżeli istnieje stuprocentowa pewność, że znaleziony granat

to granat agitacyjny, można go ostrożnie rozmontować i wydobyć z niego ulotki. Aby to uczynić, należy delikatnie zdjąć z jego korpusu czołowy czepiec balistyczny, a następnie z wnętrza granatu wyjąć zwinięty w ciasny rulon plik ulotek. Jeden granat może zawierać do 60 sztuk ulotek. Jeżeli dopisze szczęście może się zdarzyć, że w jednym cylindrze będą nawet trzy rodzaje druków. Po wyjęciu mogą być zawilgocone i w polowych warunkach nie jest wskazane ich rozwijanie. Najlepiej cały rulon zapakować w foliowy worek, co uchroni papier przed zbyt szybkim wyschnięciem, a co za tym idzie przed zniszczeniem. Dopiero w domu można poddać rulon wstępnemu suszeniu w temperaturze pokojowej i rozdzielić go na mniejsze pliki zawierające po kilka, kilkanaście sztuk. Mniejsze zwoje należy delikatnie rozprostować i nie rozdzielać włożyć pomiędzy kartki grubej książki. Po około 10 godzinach ulotki powinny być całkowicie suche i dopiero wtedy można wyodrębnić pojedyncze egzemplarze. Przedstawiona na wstępie operacja rozbierania garłacza zaowocowała znalezieniem kilkudziesięciu ulotek agitacyjnych różnego typu, przeznaczonych ongiś dla żołnierzy Armii Czerwonej. I w zasadzie nie byłoby w tym nic szczególnego, gdyby nie fakt, że spośród kilku uczestników wyprawy tylko jeden wiedział dokładnie, co znalazł...

India & Kmicie

Niemieckie ulotki propagandowe nadgryzione zębem czasu, ale nadal czytelne



niemiecką jest jedyną słuszną decyzją. W tym celu stosowano mnogość argumentów i metod; do jednej z nich należały ulotki agitacyjne, określane często mianem "paszportów dla zdrajców", które upoważniały do bezpiecznego przekroczenia niemieckiej linii frontu. Niestety, nie wiadomo, jakie wymierne korzyści przyniósł Niemcom ten rodzaj propagandy.

W czasie II wojny światowej, w wyniku powszechnego stosowania na polu walki ciężkiego, opancerzonego sprzętu bojowego armia niemiecka starała się dostosować uzbrojenie piechoty do sposobu skutecznego zwalczania przeciwnika. Do szerokiej gamy broni przeciwpancernej należała jednostrzałowa rusznica przeciwpancerna PzB 38 i 39, do której używano specjalnie wzmocnionych naboju kalibru 7,92 mm. Jednak zdecydowanie lepsze były granatniki różnych typów; począwszy od najprostszych - karabinowych, składających się z nasadki z komorą na granat dokręcaną do lufy karabinu, poprzez GzB - 39, czy też bardziej skomplikowane granatniki raketowe Offenrohr i Panzerschreck oraz bezodrzutowe pancernice Panzerfaust klein Panzer-

Tradycja nadawania imion własnych pojazdom samochodowym, czołgom czy samolotom jest równie stara i znana jak historia dwóch ostatnich konfliktów XX wieku

Chrzcziny shermanna



W tym miejscu mógł widnieć napis na czołgu Pułku Pancernego "Skorpionów"

Pokolenia powojenne wychowywane na dziełach Janusza Przymanowskiego kojarzą imię "Rudy" z czołgiem T-34 nr 102 z Brygady Pancerniej im. Bohaterów Westerplatte. W okresie II wojny światowej szczególnie w jednostkach Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie powszechną się stała idea chrzczenia pojazdów pancernych.

Tradycja ta w 1 Dywizji Pancerniej im. Gen. Stanisława Maczka nie była tak popularna jak w innych jednostkach, choć również tam zwyczaj ten kultywowano. Odwrotnie natomiast wyglądała sytuacja w 2 Brygadzie, a niebawem 2 Warszawskiej Dywizji Pancerniej walczącej we Włoszech w składzie II Korpusu Polskiego gen. Władysława Andersa oraz w 14 Wielkopolskiej Brygadzie Pancerniej tworzonej w Afryce Północnej. Wielokrotnie oko fotografów wojskowych wyłapywało na burtach czołgów np. M4 A4 75 mm Sherman nazwy własne, jak np. "Krechowiak", "Rajd", "Tapir" itp. Przez długi czas grono historyków amatorów ustalało dzięki uprzejmości byłych żołnierzy 4 Pułku Pancernego "Skorpionów" - który obok 1 Pułku Pancernego im. Ułanów Krechowieckich oraz 6 Pułku Pancernego "Dzieci Lwowa" tworzył 2 Dywizję Pancerną w 1944/45r. znaną z walk na ziemi włoskiej np. ze szturmu tzw. "Gardzieli" pod Monte Cassino, czy też

wslawioną szturmem w Piedimonte

nazwy własne polskich shermannów z tegoż 4 Pułku Pancernego. Do dziś udało się odtworzyć sporą liczbę nazw własnych czołgów 1, 2 i 3 Szwadronu. Moją uwagę zwróciły shermanny 3 Szwadronu Pancernego z tegoż pułku. Nazwy własne czołgów z 3 szwadronu zaczynały się na literę "S" i poczułem miłe zaskoczenie, gdy napotykałem dwie swojsko brzmiące: "SAN" i "SANOK", bo właśnie mieszkam w pobliżu obu miejscowości. Nie dysponując fotografiami tych shermannów z okresu walk włoskich z lat 1944-1945, wraz z Jackiem Wasilewskim i Adrianem Adamiakiem wykonaliśmy komputerową obróbkę graficzną w oparciu o fotografię innego czołgu z 3 Szwadronu 4 Pułku "Skorpionów". Po prześledzeniu wielu fotografii czołgów "Skorpionów" ustaliliśmy, że nazwy własne w 3 Szwadronie umiesz-

czony były na boku pancerza, tak więc oznaczenie "SAN" i "SANOK" prezentowane tu jako wynik obróbki komputerowej jest bardzo bliski prawdy, aczkolwiek imiona własne mogły być też nanoszone w ciemnym kolorze. Nadmienić także należy, że jeśli liczba imion własnych

przekraczała liczbę czołgów w szwadronie

to należy uznać, że załoga nadawała nową nazwę maszynie otrzymywanej w miejsce zniszczonego pojazdu. Brak jest jednak innych danych: kiedy nazwy "SAN" i "SANOK" wymalowano na czołgach - w 1944 r. w okresie walk o "Gardziel" na Monte Cassino, czy też w 1945 r. w okresie walk o Bolonię? Kto tworzył załogi obu czołgów i czy obie maszyny uległy zniszczeniu, czy też dotrwały do końca kampanii włoskiej? Jeśli ktoś z Państwa czytających te słowa jest w posiadaniu informacji mogących uzupełnić ten tekst to bardzo prosiłbym o kontakt.

W 4 Pułku Pancernym "Skorpionów" służył w 1944r. ppor. Leopold Żołnierczyk - sanoczanin z krwi i kości, były członek Przysposobienia Wojskowego i harcerz drużyny im. Stanisława Żółkowskiego. Pierwotnie zakładałem, że może istnieć związek pomiędzy nazwą "SANOK" na pancerzu czołgu z 3 Szwadronu a osobą ppor. L. Żołnierczyka służącego w "Skorpionach". Jednakże Melchior Wańkowicz w swym opracowaniu "Bitwa o Monte Cassino", opisując majowe walki w 1944r. o "Gardziel" postać ppor. Żołnierczyka umiejscawia w 2 Szwadronie Pancernym, gdzie wg zdania kpt. broni pancerniej Jerzego Matykiewicza mieszkał w Iwoniczu Zdroju

nazwy własne czołgów zaczynały się na literę "P"

jak np. "Perkun" czy "Pantera".

"...Szwadron Drelicharza się cofa, ścigany już tylko ogniem dział. Ppor. Żołnierczyk, z którym wczoraj rozmawiałem w czasie nawały na Żbiku, otwiera kłapę i wysuwa głowę w hełmie, w którym pamiętam było już wgłębienie od odłamka. Tym razem odłamek jest silniejszy niż hełm; trafiony w głowę ppor. Żołnierczyk kona na miejscu, tam, na Drodze Saperów, do której szedł przez Kampanię Wrześniową, granicę węgierską i Szkocję. Jego radiooperator melduje: "Baca Olga 2 - zabity". Tak oto ostatnie chwile pancerniaka z Sanoka opisywał Melchior Wańkowicz. Obecne czasy, zerwanie z bezsensownymi niejednokrotnie przepisami służbowymi w armii pokazują powrót do tradycji - np. w lotnictwie - malowania na samolotach i śmigłowcach nazw własnych - w Gdyni - Babich Dołach w lecie 1998 r. najnowszy śmigłowiec W-3 RM nazwano "KAŚKA". Ciekawe, czy tradycja ta powróci też do sił pancernych Wojska Polskiego? A oto wynik ustaleń dokonanych przez poznanego przeze mnie wspomnianego kpt. broni pancerniej Jerzego Matykiewicza z 4 Pułku Pancernego "Skorpionów" - nazwy własne shermannów z tegoż pułku pancernego:

Szwadron Dowodzenia

Monte Cassino, Mass Albaneta, Gdynia, Gdańsk, Gustaw;

1 Szwadron

Tajfun, Tapir, Tygrys, Tara, Tur, Terror, Tyran, Tobruk, Taranto, Tuchola, Toruń, Tomahawk;

2 Szwadron - Poganin

Pigmej, Paź, Pudel, Piorun, Perkun, Pegaz, Pięść, Pazur, Paluszek, Puma, Pantera, Pirat, Parad, Przebój, Poleszuk, Pogoń, Płomień, Portos, Puchar, Powab, Pif, Paf, Puchacz;

3 Szwadron - San

Sintra, Smyk, Sztorm, Sum, Sajdak, Styr, Sułtan, Sanok, Salamandra, Słoń, Smok, Saracen, Sarmata, Satyr, Szatan, Stryj, Sęp, Szach.

Andrzej Olejko

Oficerowie Wehrmachtu, wyruszający na wojnę z Polską otrzymywali broszury, w których polskiego żołnierza opisywano jako "dzielnego, kochającego ojczyznę i potrafiącego bić się w najcięższych warunkach"

Skarby dowódcy

Przedmioty stanowiące wyposażenie oficerów są z oczywistych względów znacznie rzadsze od elementów wyposażenia prostych żołnierzy, dlatego też wzbudzają większe zainteresowanie wśród zbieraczy militariów. Na oficerski sprzęt składa się wiele przedmiotów o specjalistycznym przeznaczeniu, jak mapniki, kompasy lub lornetki, których posiadanie dodatkowo odróżniało dowódców od reszty wojska. Rzeczy te były często wykonywane z lepszych jakościowo materiałów, co również czyni je bardziej atrakcyjnymi dla kolekcjonerów.



Fot. 1 Wyposażenie oficera polskiego



Fot. 2 Niezbędnik oficera niemieckiego



Fot. 3 Sprzęt oficera radzieckiego

W kolejnym odcinku naszego cyklu przedstawiamy najbardziej charakterystyczne przedmioty używane przez oficerów polskich, radzieckich i niemieckich. Na fotografii nr 1 widać sprzęt produkcji polskiej. W skład wyposażenia polskiego oficera przed 1939 rokiem wchodziła torba polowa typu A lub B. W jej wnętrzu niezależnie od wersji przenoszono mapy, blok meldunkowy, dziennik działań, linijki, kalkę, szkło powiększające, papier, ołówki, gumkę do wycierania, zapalniczkę i ostrzałkę do ołówków. Oficerowie posiadali też busole wz. 32, wzorowane na busolach austro-węgierskich. Resztę ekwipunku polskiego oficera stanowiła lornetka w futerale, latarka polowa, zegarek i gwizdek alarmowy. Zdjęcie przedstawia także inne przedmioty używane przez dowódców w polu. Widać na nim torbę brezentową na mapy i dokumenty, zapinaną na skórzany pasek, a nad nią mały mapnik z przezroczystą ścianą, przez którą można czytać mapę bez konieczności wyciągania jej z mapnika. Poniżej torby

uwagę zwraca oficerski pas wz. 36

z klamrą z białego metalu. Pochodzi on z firmy Najdrowski z Bydgoszczy. Na torbie położono nieśmiertelnik wybity na nazwisko por. Witolda Kinowskiego oraz reklamową kartkę pocztową, adresowaną "Do wielmożnych Panów Oficerów i Podoficerów", w której właściciel zakładu mięsnego, Jan Goleniowski z Bronowic Małych zachęca do kupowa-

nia jego wyrobów. Na zdjęciu widać też mapę sztabową w skali 1:300 000, arkusz Kielce, wydaną przez Wojskowy Instytut Geograficzny w 1928 roku. Na mapie spoczywa kilka zdjęć z manewrów w 1938 oraz latarka służbowa z wytwórni "Granat", którą dokładniej opisywaliśmy w jednym z poprzednich odcinków. Na fotografii pokazano też polową rogatywkę wz. 36, która nie różniła się niczym od polówek noszonych przez szeregowców. Na rogatywkę

naszyty jest regulaminowy orzeł

sukienny. Pod czapką widać jeden z wielu mapników, kupowanych prywatnie przez polskich oficerów. Leży na nim oficerska książeczka wojskowa. Na zdjęciu nr 2 prezentujemy wyposażenie używane przez młodszych oficerów i podoficerów Wehrmachtu. W prawym górnym rogu widać torbę oficerską wz. 35, wykonaną z czarnej, granulowanej skóry. Jest to jedna z trzech spotykanych wersji. Na torbie leży nieśmiertelnik oficera ze sztabu 215 pułku piechoty, wykopany w ubiegłym roku w okolicach Narwy, a obok lornetka o powiększeniu 6x30 z firmy Germania. Lornetka pochodzi z prywatnego zakupu, gdyż niemieccy dowódcy często sami kupowali elementy swojego wyposażenia. Poniżej lornetki zwraca uwagę broszura z 1938, poświęcona polskiej armii. Zeszyt nosi pieczętki "Tylko do użytku służbowego" i m.in.

zawiera dane o polskim sprzęcie bojowym

i organizacji polskich jednostek. Jeden z ustępów poświęcono charakterystyce polskiego żołnierza, który określony został mianem "dzielnego, kochającego ojczyznę i potrafiącego bić się w najcięższych warunkach". Broszura ta znalazła się w torbach oficerskich wielu dowódców pododdziałów Wehrmachtu wyruszającego na wojnę z Polską. W prawym górnym rogu widać telefon polowy wz. 34 w bakelitowej obudowie. Sprzęt ten sta-

nowił podstawowy środek łączności w niemieckiej piechocie. Poniżej aparatu widoczny jest bakelitowy pojemnik na lornetkę oraz połowę latarkę z wytwórni Pertrix. Nieco niżej umieszczono lornetkę z okresu pierwszej wojny światowej, która z powodzeniem mogła być wykorzystywana w walkach z lat 1939-45. U dołu widać też

blaszane pudełko z okularami służbowymi

(Dienst-Brille), które wydawano żołnierzom mającym kłopoty ze wzrokiem, m.in. urzędnikom wojskowym w randze oficerów. Pod okularami wyeksponowano słowniki niemiecko-francuski oraz niemiecko-rosyjski. Drukowano je specjalnie dla żołnierzy, zwłaszcza dla oficerów tak, aby mogli porozumieć się z miejscową ludnością krajów okupowanych lub walczących z III Rzeszą. Z lewej strony, u dołu zaprezentowaliśmy mapę okolic Żmigrodu na Podkarpaciu, gdzie rozegrał się jeden z najkrwawszych epizodów bitwy o Przełęcz Dukielską pod koniec 1944. Mapa mogła należeć do dowódcy niewielkiego oddziału, jak pluton lub kompania, gdyż wydana jest w skali 1: 25 000 i obejmuje stosunkowo niewielki teren. W sztabach pułków lub dywizji używano map o większej skali, obejmujących znacznie większy teren, na którym prowadzone były działania. Na mapie położone są dwa kompasy marszowe, z lewej niemiecki w bakelitowej obudowie oraz fiński, w obudowie ze stali.

Na zdjęciu nr 3 widać sprzęt "towarzysza dowódcy", czyli oficera Armii Czerwonej. Z lewej strony pokazaliśmy kaburę, w której

przenoszono pistolet sygnałowy oraz zapasowe race

Nad kaburą widać czapkę oficerską. W czasie wojny oficerskie nakrycia głowy wyglądały jeszcze normalnie, dopiero później zwiększano ich średnicę do karykaturalnych rozmiarów. Na zdjęciu widać też radziecką mapę z 1941 roku, przedstawiającą okolice Magnuszewa, gdzie w 1944 roku toczyły się ciężkie walki, oraz dwie pary okularów przeciwpółowych, których używali m.in. dowódcy czołgów. Obok okularów u dołu pokazano regulamin Armii Czerwonej w szarej okładce oraz zdjęcie radzieckiego oficera, wykonane przez fotografa frontowej gazety "Sztandar Stalina". Po prawej stronie widać też brezentowo-skórzany futerał na lornetkę służbową. Jest to wersja oszczędnościowa z okresu wojny. Obok niej leży mapnik z lat 30, a nieco wyżej lornetka o powiększeniu 6x30. W prawym górnym rogu widać też legitymację oficera Smierszu, czyli kontrwywiadu wojskowego oraz słownik polsko-niemiecki wydany w 1945 roku dla Ludowego Wojska Polskiego. Znajdują się w nim gotowe zwroty w języku niemieckim, przydatne podczas przesłuchań jeńców.

Tekst i zdjęcia: Tomasz Bienek

Prezentujemy ostatni już odcinek poświęcony zapalnikom do min niemieckich, przypominając jednocześnie, że rozbrajanie niebezpiecznych pamiątek z czasów II wojny światowej warto zostawić wykwalifikowanemu saperowi

Zapalniki do min niemieckich cz. 6



1. Zapalnik czasowy, mechaniczny o działaniu zegarowym typu J-Feder-540

Używany do wykonywania min niespodzianek i sabotażu. W zależności od zastosowanej wkładki opóźniającej mógł opóźnić eksplozję od 15 minut do 24 godzin (obwódka czarna), lub od 1 do 21 dni (obwódka czerwona). Był wykonany z bakelitu i aluminium. Podczas zakładania należało najpierw wkręcić śrubę zabezpieczającą iglicę, następnie odkręcić górną pokrywę zapalnika i założyć wkładkę opóźniającą, a potem zakręcić pokrywę i pierścieniem regulującym nastawić zapalnik na określony czas działania. Po założeniu spłonki detonującej i wkręceniu zapalnika, do ładunku należało wykręcić śrubę zabezpieczającą iglicę. Po upływie określonego czasu zegar zwalniał zaczep iglicy i następowało zapalenie spłonki detonującej. Wysokość zapalnika 193 mm, średnica 84 mm.



2. Zapalnik czasowy chemiczno-mechaniczny typu C. M. Z. 41 (Chemisch-Mechanischer Zeitzünder 41)

Był również używany do wykonywania min niespodzianek i sabotażu. Wewnątrz bakelitowej obudowy znajdowała się ampulka z kwasem oraz mechanizm igliczny. Podczas nakręcania górnej części obudowy następowało rozbicie ampulki i wylanie kwasu, który powoli przeżerał osadę napiętej iglicy. Czas potrzebny do jej zwolnienia zależał od temperatury otoczenia i wahał się od około 24 godzin (przy temperaturze +20°C), do nawet 6 miesięcy (przy temperaturze -35°C). Wysokość zapalnika: 140 mm, średnica 30 mm.



3. Zapalnik czasowy, zegarowo-elektryczny 21-dniowy typu Elektrischer Langzeitzünder, Uhrwerk 21 Tage

Podobnie jak poprzednie używany do min niespodzianek i sabotażu. Mechanizm zegarowy pozwalał na opóźnienie działania do 21 dni. Po upływie planowanego terminu następowało zetknięcie styków i pobudzenie spłonki elektrycznej prądem z baterii znajdującej się wewnątrz zapalnika, pod mechanizmem zegarowym. Obudowa wykonana z bakelitu. Wysokość zapalnika 92 mm, średnica 31 mm.



4. Zapalnik elektryczny do zdalnego odpalania ładunków typu Glühzünder 28

Wykorzystywany do detonowania ładunków (niszczenia wybuchowego), ręcznego uruchamiania pól minowych, min niespodzianek i innych. Zadziałanie następowało po pobudzeniu prądem elektrycznym z baterii lub zapalarki saperskiej. Oprócz odmiany podstawowej natychmiastowego działania ze spłonką detonującą nr 8 były również zapalniki z opóźniaczem (o czasach opóźnienia: 2, 4, 6, 8 lub 10 sekund) oraz zapalniki z samym zapłonem prochowym do odpalania świec dymnych i innych materiałów pirotechnicznych. Mechanizm zegarowy pozwalał na opóźnienie działania do 21 dni. Po upływie wyznaczonego terminu następowało zetknięcie styków i pobudzenie spłonki elektrycznej prądem z baterii znajdującej się wewnątrz zapalnika, pod mechanizmem zegarowym. Obudowa zapalnika wykonana we wcześniejszych modelach z mosiądzu, później z bakelitu lub cynku. Wysokość zapalnika 35-65 mm, średnica 10-18 mm.



5. Zapalnik tarciový do zdalnego odpalania ładunków typu ZD. SCHN. ANZ. 29 (Zündschnuranzünder 29)

Jeden z najpopularniejszych i najczęściej spotykanych zapalników niemieckich, służący do ręcznego zapalania lontów, ładunków materiału wybuchowego i materiałów pirotechnicznych. Zapalnik działał po szarpnięciu kółka zawleczonego, co powodowało przemieszczenie drutu tarciového w masie zapłonowej i zapłon. Korpus wykonano z mosiądzu. Pod koniec wojny pojawiło się kilka odmian tego zapalnika wykonanych z cynku, bakelitu i innych materiałów. Zasada działania tych zapalników była taka sama jak pierwowzoru. Wysokość zapalnika 40 mm, średnica 17 mm.



6. Zapalnik tarciový do zdalnego odpalania ładunków typu Zündschnuranzünder 39

Była to odmiana zapalnika do granatów jajowych (Brennzünder für Eichhandgranate 39). Zadziałanie następowało poprzez odkręcenie główki zapalnika, która poprzez odcinek sznurka połączona była z drutem tarciovým. Potem zapalnik działał tak, jak wz. 29. Ponieważ zapłon w tych zapalnikach następował bez opóźnienia - dla odróżnienia od zapalników do granatów górną część główki malowano w kolorze szarym (zapalniki do granatów miały główkę niebieską). Zdarzało się, że przed opuszczeniem pozycji zagrożonych żołnierze niemieccy pozostawiali granaty jajowe z wkręconymi zapalnikami natychmiastowymi - saperskimi starego wzoru. Efektu użycia takiego granatu można się domyślać. Później wprowadzono nowy wzór, w którym zastosowano odwrotny gwint uniemożliwiający wkręcenie zapalnika w skorupę granatu (oznaczenie Zündschnuranzünder 39 n. A., główka malowana na oliwkowo). Korpus wykonywany był ze stali. Pod koniec wojny produkowano zapalnik o wysokości 40 mm średnicy 21 mm.

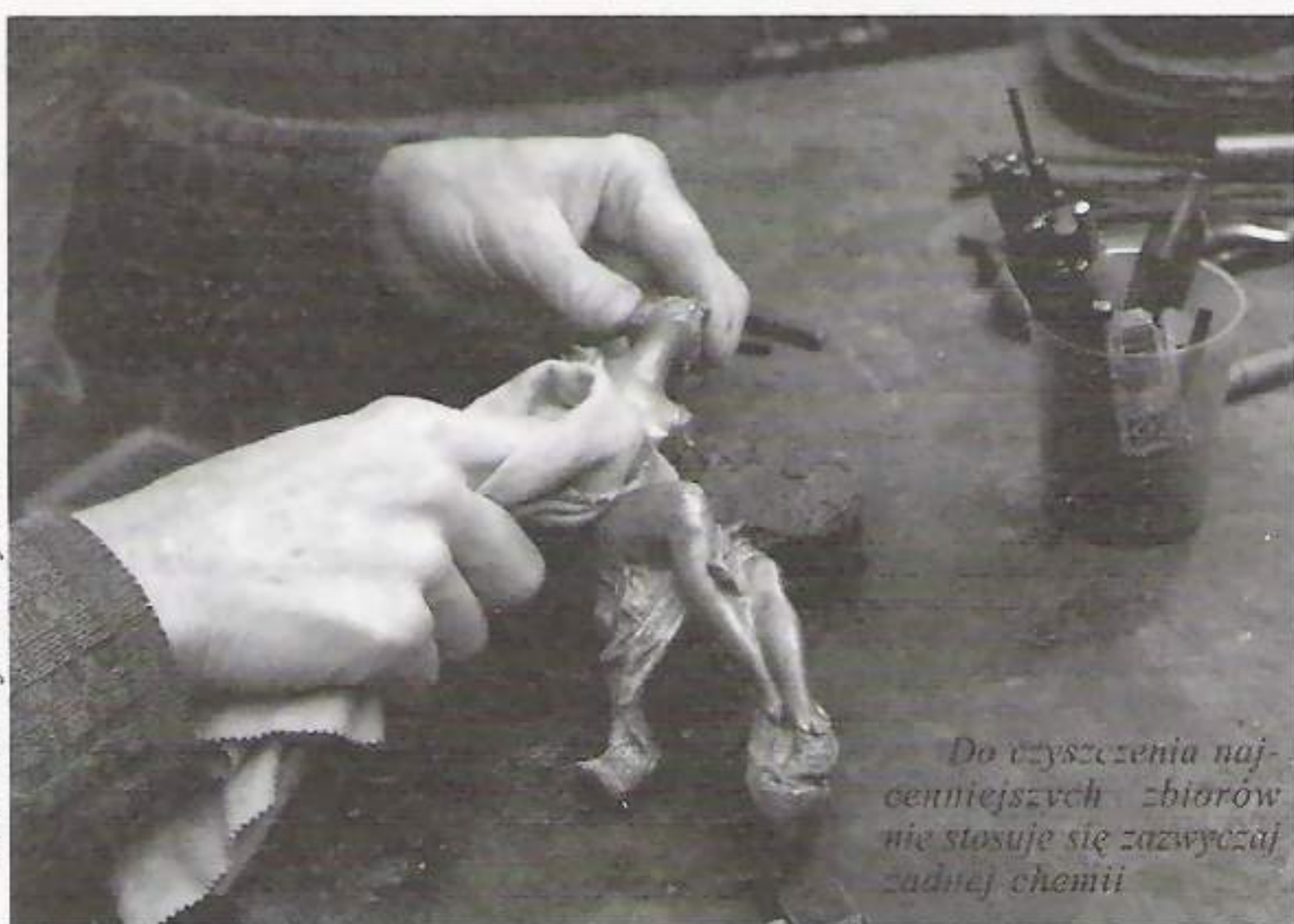


7. Zapalnik tarciový do zdalnego odpalania ładunków typu Sprengkapselzünder 28

Był to fabryczny zestaw składający się z zapalnika Zündschnuranzünder 29, rurki zaciskowej do połączenia lontu, odcinka lontu o długości 1 lub 2 metrów, osady łączącej lont ze spłonką detonującą i spłonki nr 8. Jeżeli w zestawie zastosowano zapalnik tarciový typu Zündschnuranzünder 39, to w zależności od długości lontu zestaw taki nazywano Sprengkapselzünder 100 (1 metr lontu) lub Sprengkapselzünder 150 (1,50 metra lontu).

To był już ostatni odcinek poświęcony zapalnikom. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że nie wyzerpałem listy wszystkich używanych przez armię niemiecką podczas II wojny światowej. Wiadomo, że używano zapalników zdobycznych, prowizorycznych (wykonywanych w pododdziałach saperskich), jak również zapalników produkowanych w krótkich seriach prototypowych, do których brakuje dokumentacji. Jeżeli dotrę do jakichś nowych informacji, postaram się zaprezentować je przy najbliższej okazji. A tymczasem w następnym numerze zajmiemy się minami.

Grzegorz Franczyk



Fot. Maciej Kulczyński

Każdy kolekcjoner dobrze wie, jak ważnym i skomplikowanym zagadnieniem jest konserwacja zbiorów. W dostępnej literaturze możemy znaleźć trochę teorii o restauracji antyków albo szczegółowych informacji o ultradźwiękach, elektrodach oraz o cudownych środkach, których skład chemiczny zawiera pół tablicy Mendelejewa. Cóż w takim razie powinien zrobić konserwator amator? Po pierwsze - ograniczyć do minimum zastosowanie wszelkiej chemii

ZRÓB TO SAM

czyli jak konserwować sprzęt domowymi sposobami

Najróżniejsze roztwory odpowiednio użyte mogą oszczędzić nam wiele czasu i pracy. Jednak najmniejszy błąd spowodowany brakiem czujności i praktyki może spowodować nieodwracalne straty. Poza tym należy pamiętać, że czyszczenie chemiczne nigdy nie zastąpi czyszczenia mechanicznego. Co najwyżej może je w znacznym stopniu wspomagać.

Chyba wystarczy tych ostrzeżeń. Moim zamiarem nie jest zniechęcanie osób nieznających tajników konserwacji. Wręcz przeciwnie. Chciałbym ułatwić im życie, podając kilka praktycznych wskazówek i przepisów. Zaczniemy od czyszczenia rdzy z przedmiotów stalowych. Doskonale wyniki uzyskamy, stosując 10% kwas octowy. Możemy go kupić w każdym sklepie spożywczym. Czyszczenie odbywa się przez zanurzenie przedmiotu w kwasie. Po upływie około 24 godzin przedmiot należy oczyścić szczotką drucianą pod bieżącą wodą. Czynność powtarzamy, aż rdza całkowicie zniknie. Zabieg nie powinien trwać dłużej niż 3 dni. Do słabszego, powierzchniowego nalotu rdzy ocet należy rozcieńczyć pół na pół z wodą. W ten sposób oczyszczona

powierzchnia uzyska metaliczny połysk

Innym środkiem, który możemy zastosować jest 10% roztwór wodorotlenku sodu. Dostaniemy go w każdym sklepie chemicznym, gdy zapytamy o sodę kaustyczną lub o "Kreta". Technika czyszczenia jest taka sama, jak przy zastosowaniu octu. Do roztworu sody musimy dodać kawałki blachy cynkowej (nieocynowanej). Cynk uzyskamy np. z baterii R 20. W jej wnętrzu znajdziemy cynkowy pojemnik z umieszczonym rdzeniem grafitowym. Pojemniczek należy dokładnie umyć i pociąć na kawałki, a następnie wrzucić do 1 litra roztworu sody. Przy zastosowaniu tej metody czyszczony

przedmiot uzyska czarny, matowy kolor. Duże przedmioty, z których nie chce nam się zdejmować rdzy, bo zamierzamy je pomalować, możemy potraktować kwasem fosforowym. Oferuje go każdy sklep chemiczny pod nazwą "Fosol". Po usunięciu z grubsza luźnej rdzy, przedmiot należy pokryć kwasem, oczywiście przy użyciu pędzla. Rdza zostanie przetworzona na nieszkodliwe związki fosforu widoczne w postaci białego nalotu. Teoretycznie powierzchnia tak przygotowana nadaje się do malowania. Polecam tę metodę jako tymczasowy środek zabezpieczający przed dalszą korozją. Należy pamiętać, że wydobyte z ziemi, wody bądź torfu

znalezisko zacznie wkrótce się rozpadać

jeśli nie zostanie odpowiednio zabezpieczone. Dotyczy to nie tylko metalu, ale również kości, skóry, drewna i gumy. Jeśli nie mamy czasu na przeprowadzenie natychmiastowej, gruntownej konserwacji, to naszą zdobycz należy umieścić w tym samym środowisku, w którym została znaleziona. Jeśli jest to niemożliwe, wówczas możemy zastosować wspomniany kwas fosforowy (oczywiście tylko do przedmiotów stalowych). Do czyszczenia mosiądzu, miedzi lub srebra powszechnie stosuje się 5 lub 10% roztwór amoniaku. Do usunięcia grubszej, luszczącej się warstwy tlenków należy roztwór podgrzać do temp. ok. 100°C i rozprzodzać miękką szczoteczką (np. do zębów). Aby usunąć ciemne

plamy ze sreber i uzyskać idealny połysk, przedmioty należy dobrze umyć spirytusem lub denaturatem tak, aby nalot zniknął całkowicie. W przypadku trudności polecam dobrze zmieloną kredę, którą można kupić w sklepie dla plastyków. Kreda zwilżona spirytusem usunie resztę nalotu. Szmatką należy wykonywać ruchy owalne, zawsze w tym samym kierunku. Dopiero potem

srebra polerujemy czystą szmatką nasączoną terpentyną

balsamiczną (jest dostępna w każdym sklepie chemicznym) i przecieramy zieloną pastą polerską. Pamiętajmy, aby polerować w tym samym kierunku, w którym czyściliśmy przedmiot szmatką. Dzięki temu nie powstaną nam żadne smugi, a powierzchnia metalu osiągnie idealny połysk. Na koniec przedmiot przemycamy spirytusem, a następnie polerujemy czystą szmatką. Chyba nie muszę przypominać, że podczas pracy z chemią należy używać okularów ochronnych oraz rękawic, pomieszczenie powinno być dobrze wentylowane. Wszystkie przedmioty czyszczone chemicznie należy bardzo dobrze wypłukać w wodzie z dodatkiem sody oczyszczonej (nie kaustycznej!), a następnie pokryć benzyną ekstrakcyjną, w której wcześniej należy rozpuścić zeszkrobane wiórki z kawałka świecy. Po odparowaniu benzyny wosk dobrze zabezpieczy przedmiot przed korozją. Niektóre osoby, aby rozkręcić urządzenia mechaniczne, stosują wypalanie w żarze. Nie jest to dobry

sposób, gdyż elementy stalowe, a przede wszystkim

sprężyny ulegną rozhartowaniu

Wówczas podstawą jest przywrócenie sprężynom właściwych cech mechanicznych. Nie jest to zadanie łatwe, ale wykonalne. O tym, czy przedmiot został rozhartowany, możemy przekonać się po jasnoczerwonym zabarwieniu rdzy. Taką sprężynę należy odrdzewić, następnie rozgrzać do czerwoności w płomieniu palnika lub w piecu, a następnie zahartować, zanurzając ją w wodzie. Dopiero wówczas przedmiot należy wyczyścić do białego metalu. Należy to wykonać ostrożnie, gdyż na tym etapie sprężyna jest krucha. Nie wolno jej zginać, bo pęknie. Ostatnią operacją, jaką musimy wykonać, jest tzw. odpuszczanie. Zabieg ten jest trudny, gdyż sprężynę musimy teraz równomiernie rozgrzać tak, aby cała pokryła się równomiernym fioletowym nalotem i natychmiast schłodzić ją w wodzie. Dopiero po tych wszystkich operacjach można ją zamontować na swoje miejsce. Czasami jesteśmy zmuszeni do zrobienia brakujący element stalowy np. ukreconą śrubę. Problemem jest jej postarzenie, aby nie odróżniała się od części oryginalnych. Ciekawy efekt wżerów i ciemnego nalotu uzyskamy, umieszczając element w drobnoziarnistej mieszaninie złożonej z równych ilości saletry potasowej (dostępnej w sklepie chemicznym), węgla drzewnego (takiego do grilla) i siarki (zapraszam do sklepu ogrodniczego).

Wszystko to należy podpalić

zachowując konieczną ostrożność. Powstały po spaleniu nagar zawiera siarczek potasu, który wytworzy nam odpowiednie wżery. Przedmiot pokryty nagarem należy umieścić na dworze w wilgotnym miejscu i... czekać. Pewnych rzeczy nie da się uzyskać od razu. Po tygodniu możemy sprawdzić rezultaty naszych zabiegów. Do czyszczenia najcenniejszych zbiorów w zasadzie nie stosuje się żadnej chemii. Możemy jedynie użyć detergentu, terpentyny, benzyny ekstrakcyjnej lub nafty. Rdzę rozmiękczoną tymi rozpuszczalnikami zdejmujemy przy pomocy skrobaków z twardego drewna, kości lub z plastiku. Zasada jest taka, iż narzędzie nie może być twardsze od metalu, z którego wykonany jest element czyszczony. Jednocześnie skrobak musi być twardszy od rdzy, którą zmierzamy usunąć. Jeśli uda nam się spełnić powyższe warunki, to możemy mieć pewność, że powierzchnię metalu wyczyszczymy dokładnie nie niszcząc jej. W ostateczności możemy użyć igieł i skalpeli oraz waty stalowej, dostępnej w sklepach gospodarstwa domowego. Posługiwanie się tymi narzędziami wymaga jednak precyzji i wprawnej ręki. Do czyszczenia inkrustacji (grawerowanych rowków, w które nabito złote bądź srebrne druciki) w żadnym wypadku nie wolno użyć środka chemicznego. Rdza znajdująca się w rowku, gdy zostanie spulchniona, może nam wypchnąć drucik na zewnątrz. W ten sposób można zniszczyć gorzej zachowane fragmenty inkrustacji, toteż zalecam bardzo, ale to bardzo delikatne czyszczenie mechaniczne przeprowadzone pod szkłem powiększającym. Powierzchnia wyczyszczona pod lupą, mając wygląd przyzwoity, będzie wyglądała idealnie, jeśli popatrzymy na nią okiem nieuzbrojonym. Niektóre metody mogą się wydawać co najmniej dziwnie, jednak efekty bywają czasami zaskakujące. Zachęcam wszystkich do eksperymentowania z kwasem z kiszzonej kapusty oraz ogórków.

Remigiusz Pacer

Szanowna Redakcjo

W nawiązaniu do artykułu zamieszczonego w nr 5 Odkrywcy "Dzwon z Krążownika" chciałem zawiadomić zarówno redakcję, jak i czytelników, że Warszawa, też ma swój dzwon związany z okresem II wojny światowej i marynarką niemiecką. Od wielu lat przy wejściu do Muzeum Techniki, która ma swoją siedzibę w Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie, stoi dzwon, na którym widnieje data 1940 oraz napis "If Weule Bockenem Am Harz". Zaintrygowało mnie to odkrycie, jednak żaden z pracowników muzeum nie potrafił mi podać żadnej o dzwonie informacji - nikt nie wiedział skąd się tutaj wziął i do czego służył. Dopiero dyrektor muzeum pan Jerzy Jasiuk podał mi o dzwonie kilka ciekawych wiadomości. Dzwon bowiem należy do dzwonów sygnalizacyjnych, sygnalizacji morskiej, które były umieszczane przez Niemców podczas II wojny światowej przy latarniach morskich, by podczas złej pogody np. mgły, wskazywać swoim dźwiękiem płynącym statkom i okrętom drogę do portu oraz zapowiadać z określonego kierunku niebezpieczeństwo. Dzwon pochodzi z zespołu portowego Szczecin - Świnoujście i został darowany do muzeum przez szczecińsko-świnoujskie porty ponad 25 lat temu.

Zamieszczam zdjęcie dzwonu, gdyż może zainteresuje ono czytelników, szczególnie tych lubiących marynistykę i okres II wojny światowej.

Paweł Jarecki



Artykuł pana Macieja Turnowieckiego pt. "Cienie Führera" zamieszczony w marcowym numerze "Odkrywcy" zmusza mnie do sprostowania popełnionych przez Autora znaczących błędów i nieścisłości.

Po pierwsze: w artykule błędnie cytuję się nazwisko i tytuł szlachecki właściciela pałacu w Kamieńcu (daw. Finckenstein). Autor używa określenia "baron Donna von Finckenstein". Otóż nazwisko pisze się z Dohna, a była to rodzina od pokoleń hrabiowska (nie baronowska!); w roku 1900 gałąź tego rodu została wyniesiona do godności książęcej. Ten właśnie ród, poprzez koligacje z rodziną von Finckenstein, wszedł w posiadanie kamienieckiego pałacu.

Po drugie: opis pałacu mija się całkowicie z prawdą. Autor podaje, że miał "4 skrzydła", faktycznie zaś składał się z korpusu głównego i 2 skrzydeł bocznych. Ilość podanych drzwi i okien jest wręcz zabawna. Otóż wg Autora artykułu - drzwi miało być 12, okien zaś 365! Taka ilość drzwi byłaby wielce niewystarczająca w tak dużym pałacu; natomiast 365 okien wystarczyłaby na spory wieżowiec! Jedna kondygnacja pałacu posiadała około 40 okien.

Po trzecie: parę słów na temat psich grobów. Istnieją przekazy, iż jeszcze jakiś czas po wojnie istniały czerwone kamienie (osobiście ich nie szukałem, bywając w Kamieńcu) upamiętniające ulubione psy. Na kamieniach były napisy: "Pilot 1928-1934" oraz „Favorit 1935-1942”. Geschenk von Führer und Reichskanzler Adolf Hitler"; były to wspiane przegowane dogi niemieckie.

Po czwarte: w omawianym artykule nieprawidłowo podano pisownię nazwiska służącej - "Erna Rats", wówczas, gdy pisze się ono Raths. Wspomnienia tej osoby nie mogą odzwierciedlać wydarzeń wielkiej polityki np. w sprawie rzekomej przyjaźni ówczesnego właściciela Kamieńca z Hitlerem; przyjmował on go raczej z obowiązku niż z przyjaźni, a powszechnie wiadomo, że Hitler nie cierpiał arystokracji. Istnieją wspomnienia księcia Alexandra zu Dohna, których fragmenty cytuję poniżej. ...w 1933 r., gdy Hitler wraz z H. Heidrichem, H. Himmlerem oraz jego adiutantem Karolem Wolffem odwiedził między innymi Kamieniec - Aleksander zu Dohna został namówiony, aby towarzyszył Hi-



tlarowi w drodze powrotnej z lotniska w Królewie koło Malborka do Berlina, jakże nawet nie doszło do dwustronnej rozmowy, gdyż Hitler zajęty był czytaniem książki! Inny fragment wspomnień jest zdecydowanie dramatyczny: "... stałem się mimowolnym świadkiem i uczestnikiem wydarzeń związanych z zamachem na Hitlera. 20 lipca 1944 r. byłem przesłuchiwany przez Gestapo w Słobitach, a mój wuj Henryk zu Dohna został stracony za udział w spisku".

Sprawa piąta: na temat rzekomych wizyt Józefa Piłsudskiego - a zwłaszcza spotkań z Hitlerem - w Kamieńcu, nie są znane żadne fakty historyczne. Natomiast dokładnie wiadomo, iż Piłsudski nigdy nie polował, zaś w 1934 roku był bardzo schorowany i nie opuszczał swojej rezydencji.

Po szóste: jak twierdzi Autor artykułu - pan Peter von Downar rozmawiał "z jednym z PRZODKÓW byłego właściciela pałacu". No, a jak on to zrobił? Chyba na seansie spirytystycznym, bo na żywo mógł rozmawiać jedynie z którymś z POTOMKÓW!

Po siódme: "zatopione skarby" pozostawiam bez komentarza! Pragnę jedynie dodać, że wszystkie najcenniejsze przedmioty, w tym archiwa rodzinne Dohnów znajdowały się w Pałacach w Słobitach (Schlobitten) oraz w Gładyszach (Schlodien). W roku 1944, widząc nadchodzące zagrożenie - książę Aleksander zu Dohna niewielką część rodzinnych zbiorów ewakuował pociągiem na zachód. Następny wysłany transport kolejowy dojechał szczęśliwie do Berlina, gdzie stojąc na bocznicie kolejowej został zbombardowany.

Te zaś "skarby", które nie zostały zrabowane przez wojska niemieckie (tak!) i rosyjskie - bezpowrotnie zginęły w płomieniach. Warto też wspomnieć, że za przesuwającym się frontem rosyjskim szły spec - oddziały do "zabezpieczenia" dzieł sztuki i zabytków kultury. Takie "zabezpieczenie" dotknęło większość pałaców i dworów w Prusach Wschodnich. Po przeszło 50 latach od tragicznych wojennych wydarzeń tu i ówdzie pojawiają się pojedyncze ocalałe "skarby" z dohnowskich zbiorów.

Przykładem może być gdańska wystawa "Aurea Porta" (1997 r.), na której znalazłem znane mi z przedwojennych zdjęć inwentaryzacyjnych XVII-wieczne srebra gdańskie wykonane przez mistrza Schlaubitza, a pochodzące z dohnowskich zbiorów, obecnie znajdujące się w muzeum w Charlottenburgu - o czym informowała muzealna etykieta. Nawiasem mówiąc - książka, z której między innymi korzystałem pisząc ten artykuł opatrzona jest ekslibrisem biblioteki pałacu Finckenstein.

Każdy zamek i pałac ma swoje "duchy" i "skarby", jednakże nie mogą one być jedynym przedmiotem zainteresowania badacza historii. I w tym miejscu właśnie chciałbym przytoczyć kilka istotnych faktów historycznych dotyczących pałacu w Kamieńcu (Finckenstein). Został on zbudowany w latach 1717-1720 w stylu późnobarokowym dla generała majora hrabiego Alberta Konrada Finck von Finckenstein, jako budynek jednopiętrowy posiadający korpus główny i dwa skrzydła boczne. Budowla ta posiadała ponad 40 pomieszczeń. Elewacja frontowa ozdobiona była dużym tympanonem składającym się z 4-połowego herbu właścicieli w otoczeniu panoplii. Do dziś zachował się on wśród ruin w stanie prawie nie naruszonym. Swym kunsztem wykonania do dziś przyciąga wytrawne oko znawcy militariów.

Jednym z ważniejszych wydarzeń związanych z tym pałacem był pobyt Cesarza Napoleona I. W artykule "Cienie Führera" autor ograniczył się zaledwie do krótkiej informacji na ten temat. Pominęto całkowicie sprawę ważną dla nas, Polaków. Otóż tu, w Kamieńcu, rodziła się myśl o przyszłej niepodległej Polsce. To tu właśnie, zaraz po przyjeździe Cesarza, przybył twórca naszego hymnu narodowego, ówczesny delegat tymczasowej Komisji Rządowej, - Józef Wybicki, który przebywał w Kamieńcu aż 12 dni. Pod koniec swojego pobytu Napoleon ponownie przyjął polską delegację ze Stanisławem Kostką Potockim na czele. Z tego właśnie pa-

łacu Cesarz prowadził ofensywę w Prusach Wschodnich. Tu również przyjmował poselstwa obce, między innymi persko-tureckie. Warto nadmienić, że to właśnie tu został powołany słynny polski Pułk Lekkokonny.

Na marginesie: oczywiście w czasopiśmie poświęconym "skarbowi i przygodzie" powinny się ukazywać artykuły romantyczne, pobudzające wyobraźnię młodych ludzi, jednakże muszą one reprezentować poziom odpowiedni dla Instytutu Badań Historycznych i Krajoznawczych.

Inastępna uwaga: osobiście mnie to zbytnio nie przeszkadza, ale odnoszę wrażenie, iż w Waszym Czasopiśmie zbyt dużo uwagi i miejsca poświęca się historii III Rzeszy. Dla przykładu: w numerze 3/27 z 2001r. można naliczyć kilkanaście stron na ten temat. A jest przecież tyle tajemnic także innej, może bliższej nam historii - które czekają na odkrycie. Chyba warto zainteresować nimi młodych ludzi.

Bractwo z Gdańskiej "Katowni"
- Ziemowit Mazur

LITERATURA

Hannibal zu Dohna Napoleon im Frühjahr 1807, Leipzig, Georg Wigand, 1907; Alexander Fürst zu Dohna - Schlobitten Erinnerungen eines alten Ostpreussen Berlin 1991 r.; Edwin Rozenkranz Pomorskie Itineraria cesarza Napoleona I w: "Jantarowe Szlaki" Nr 3(193) z 1984 r.

W obronie poszukiwaczy

Do napisania tego listu skłoniła mnie wrzawa, jaka wybuchła po prezentacji wystawy zorganizowanej przez Generalnego Konserwatora Zabytków i pewną część środowiska archeologów. Wystawa ta była prezentowana najpierw w Senacie, a później w Ratuszu m. st. Warszawy, gdzie ją obejrzałem. Oczywiście intencją organizatorów owej wystawy jest dążenie do zaostrożenia przepisów dotyczących posługiwania się wykrywaczami metali, a może nawet wprowadzenia całkowitego zakazu. Wystawa miała w moim pojęciu służyć wyrobieniu w społeczeństwie odpowiedniego klimatu dla nowej bardziej restrykcyjnej ustawy o ochronie dóbr kultury, poprzez pokazanie kilku zdjęć obrazujących zniszczenia dokonane na stanowiskach archeologicznych przez rzekomych "poszukiwaczy skarbów" Pragnę w dalszej części tego listu przedstawić swoje poglądy na ten temat. W dzisiejszym, coraz bardziej odartym z wszelkiego romantyzmu świecie, można zaobserwować u ludzi chęć przeżycia jakiejś niecodziennej przygody, która pozwoli zapomnieć o codziennych kłopotach, odreagować stresy. Dla jednych taką przygodą będzie sport, dla innych

wędkarstwo, czy myśliwstwo, a dla niektórych "poszukiwanie skarbów". Psychologowie wiedzą, że ludzie pozbawieni jakichkolwiek tego typu zainteresowań są bardziej podatni na wpadnięcie w alkoholizm czy narkomanię... Mnie samego poszukiwanie z detektorem metalu "wzięło" od trzech lat. Zaczęło się banalnie, z uwagi na wskazania zdrowotne mojej żony, urlop spędzamy nad morzem. Żona się opalała, wdychała dobroczynny jod, a ja trochę popływałem, a resztę czasu prawdę powiedziawszy, nudziłem się. Pewnego dnia, wcześniej rano zauważyłem ludzi z detektorami, którzy szukali na plaży. Podszedłem do nich, porozmawiałem i postanowiłem, że w przyszłym roku przyjadę nad morze z własnym detektorem. Z kupnem aparatu nie miałem kłopotu, bez problemu trafiłem w Warszawie do sklepu na ulicy Coraziego. Wyniki mam raczej mierne; uzbiera się czasem na dwa, trzy piwa. Moim najcenniejszym znaleziskiem jest srebrna bransoletka wartości około 30 zł. Ale przecież nie o to w tym wszystkim chodzi, już się nie nudzę na urlopie, zdrowo spędzam czas przy umiarkowanym wysiłku fizycznym i to są niewątpliwie plusem nowego hobby. Na nadmorskich plażach poznałem wielu podobnych do siebie poszukiwaczy z dużo większym stażem. Dla wielu z nich jest to "sposób na życie". Nie wierzę, żeby ogromną większość tych ludzi jakiegokolwiek zakazy powstrzymały od szukania; będą to z pewnością robić dalej, tyle że bardziej w ukryciu. Ludzie szukali skarbów już w starożytności i zajmują się tym aż do czasów współczesnych. Można stąd wysnuć wniosek, że niektórzy osobnicy mają skłonności do tego zajęcia zakodowaną w genach. W każdym środowisku trafiają się ludzie dobrzy i źli, uczciwi i nieuczciwi. Sądzę, że ci, którzy rozkopują cmentarzyska czy inne ważne stanowiska archeologiczne nie są ludźmi, dla których najważniejsze jest szukanie; oni to robią z czystej chęci zysku. Dla nich podstawowym narzędziem pracy jak sądzę, nie jest nie jest wykrywacz, a po prostu łopata. Nie należy przeceniać możliwości detektorów. Najlepsze z nich mogą wykryć większą monetę do głębokości około 30 cm. Nie sposób za ich pomocą stwierdzić, czy np. we wnętrzu kurhanu znajdują się jakieś cenne przedmioty.... W Polsce mamy kilkaset tysięcy stanowisk archeologicznych; oczywiście są wśród nich takie, które stanowią swoisty pomnik minionych czasów i one powinny być chronione z całą surowością prawa. Myśl, że należy je oznakować, aby ten, kto narusza ich stan miał świadomość, że popełnia przestępstwo. Argument, że oznakowanie takich stanowisk ułatwiłoby "robotę" ewentualnym rabusiom nie trafia do mnie

zupełnie, sądzę, że oni bez tego dobrze wiedzą gdzie i czego mają szukać. Natomiast jaką szkodę dla nauki i "dziedzictwa kulturowego" wyrządza poszukiwacz, który po żniwach chodzi po polu, aby znaleźć wywiezioną kiedyś z obornikiem monetę. Jest on ją w stanie wykryć tylko do głębokości warstwy ornej. Poprzez uprawę (roli-przyp. red), monety są wyrwane ze swego kontekstu, następuje wymieszanie rzeczy występujących współcześnie, z tymi z dawnych czasów. Dla nauki jedyną korzyścią może być stwierdzenie, że takie monety występowały na tym obszarze. Ja osobiście tylko raz szukałem monet na polu. Wyciągnął mnie tam przypadkowo spotkany na plaży w Kołobrzegu poszukiwacz. Był koniec sierpnia, na większości pól zboże było już zebrane. Umówiliśmy się wcześniej rano i pojechaliśmy. Szukając cały dzień znalazłem cztery monety. Trzy z nich były to jakieś miedziaki i jeden srebrny pruski grosz z 1840 roku. Monety miedziane były w takim stanie, że nic nie dało się z nich odczytać. Srebrny grosz wyglądał nieco lepiej. Już wtedy, szukając na tym uprawnym polu pomyślałem, że przy obecnej chemizacji rolnictwa, za kilkadziesiąt lat nie będzie sensu szukać w takich miejscach (oprócz występujących w glebie różnorodnych związków chemicznych, same narzędzia rolnicze powodują mechaniczne uszkodzenia, a duży dopływ tlenu na skutek ciągłego spulchniania ziemi bardzo przyspiesza korozję.) I w tym momencie nie rozumiem stanowiska niektórych archeologów i konserwatorów zabytków, uważają oni, że lepiej dopuścić do całkowitego zniszczenia przedmiotu, który z biegiem lat zamieni się w zbiór tlenków metali, niż pozwolić, aby znalazł go poszukiwacz - amator. Trudno mi wyobrazić sobie archeologów przeszukujących I czy II-wojenne pobojaowiska (nie mają na to środków, ani jak mi się wydaje ochoty), które kryją wiele pamiątek: zabytkowe (już), często unikalne egzemplarze broni np. polski karabin przeciwpancerny Ur, czy pistolet maszynowy Mors, sztandary pułkowe, odznaczenia itp. To właśnie poszukiwacze - hobbyści ratują te rzeczy przed całkowitym zniszczeniem. Myślę, że zamiast wieszać przysłowiowe psy na poszukiwaczach amatorach, środowisko archeologiczne powinno wykazać się inicjatywą i zorganizować kursy uświadamiające dla hobbistów, aby ci wiedzieli jak mają postępować i gdzie zgłaszać swoje znaleziska, aby mogły one być zbadane i opisane przez naukowców. Jeszcze raz podkreślam, że moim zdaniem jakakolwiek ustawa zakazująca lub ograniczająca posługiwanie się wykrywaczami metali pozostaje martwym zapisem na papierze i w warunkach polskich przyniesie więcej szkody niż pożytku. Wystarczy przypomnieć sobie, jakie efekty

przyniosła ustawa wprowadzająca prohibicję w USA.

Nazwisko i adres
do wiadomości redakcji

Wysłałem na adres Odkrywcy zdjęcie niemieckiego nieśmiertelnika, z gorącym apelem o pomoc w jego rozszyfrowaniu. Mam nadzieję, że tak renomowane czasopismo jak Odkrywca udzieli mi pomocy w nurtującej mnie sprawie. Od ponad roku jestem waszym czytelnikiem oraz bywalcem księgarni Odkrywcy. Wszelkie starania w identyfikacji tego nieśmiertelnika mnie zawiodły, jesteście moją ostatnią nadzieją!! Bardzo proszę o pomoc!!!!

Z wyrazami szacunku Błażej



O wyjaśnienie tej zagadki poprosiliśmy eksperta ze Stowarzyszenia Miłośników Archeologii Militarnej POMORZE Andrzeja Mażula - Gutego, który odczytał treść nieśmiertelnika jako Aserbeidschanisches Infanterie Bataillon 817, czyli 817 batalion azerbejdżański (jednostka należąca do tzw. Ost-Bataillone, czyli oddziałów złożonych z wziętych do niewoli żołnierzy Armii Czerwonej), nr żołnierza 201.

Legion Azerbejdżański rozwinięty został wraz z Legionem Północnokaukaskim z Legionu Górskokaukaskiego, zwanego także Kaukasko - Muzułmańskim. Każdy składał się z kilku batalionów, które były pojedynczo przyłączane do poszczególnych dywizji niemieckich. Sztab organizacyjny Legionów Wschodnich mieścił się w Rembertowie pod Warszawą. W maju 1943 r. Świątoszowie (Neuhammer) utworzono 162 Turkiestańską Dywizję Piechoty. W jej skład wchodziły 3 bataliony z Legionu Azerbejdżańskiego. W sierpniu 1944 r. w Świątoszowie sformowano 329 pułk piechoty, w skład którego wchodziły dwa bataliony z 804 i 805 Batalionu Azerbejdżańskiego. Jeden z batalionów składający się z Azerów brał udział w tłumieniu Powstania Warszawskiego. Od października 1944 r. 162 Azerbejdżański walczył we Włoszech. Po wojnie dostał się do niewoli brytyjskiej. Pojedyncze bataliony walczyły m.in. w obronie Kostrzyna nad Odrą.

"Archeolodzy i poszukiwacze - przyczyny konfliktu" - pod takim tytułem wydrukowaliśmy dwa odcinki artykułu prof. Aleksandra Bursche w kwietniowym i majowym numerze "ODKRYWCY". Tekstem tym chcieliśmy zaprosić wszystkich - i zaproszenie to podtrzymujemy, do dyskusji o prawach i obowiązkach eksploratorów, o lukach w polskim ustawodawstwie oraz o możliwościach współpracy profesjonalistów i amatorów. Poniżej drukujemy polemikę, jaką dołączył do listu do naszej redakcji dr Marek Rubnikowicz, zastępca Generalnego Konserwatora Zabytków. Czekamy na kolejne listy i opinie

Archeolodzy i poszukiwacze cd.

Redagowane przez Państwa czasopismo "Odkrywca" budzi w środowisku konserwatorskim tyleż nadziei, co i obaw. Nadzieje wiąże się z popularyzacją w przystępnej i atrakcyjnej edytorsko formie wiedzy o przeszłości, tej dawniejszej i tej całkiem niedległej. Obawy wynikają z wciąż nadmiernej eksponowanego wątku przewodniego "skarbów i przygody". Wydaje się być to zrozumiałe w warunkach komercyjnej rywalizacji na rynku wydawniczym, na którym na sukces liczyć mogą pozycje wybijające się okładką, krzyczącymi chwytliwymi tytułami. Można mieć tylko nadzieję, że redakcja zdaje sobie sprawę z wpływu, jaki ma na swych czytelników i nie poprzestanie na eksploatacji wątków sensacyjnych, które rozpalają wyobraźnię niedoświadczonych miłośników bliskiego kontaktu z przeszłością i mogą skłaniać ich do nie całkiem przemyślanych, a co gorsza niezgodnych z prawem działań. Nadzieję na dążenie do stałego oferowania czytelnikom "Odkrywcy" rzetelnej wiedzy jest z naszego punktu widzenia opublikowanie wywiadu z Zastępcą Generalnego Konserwatora Zabytków (choć pod niezbyt szczęśliwym tytułem "Martwe zakazy") oraz cyklu dwóch artykułów autorstwa dr Aleksandra Bursche pt. "Archeolodzy i poszukiwacze - przyczyny konfliktu". Artykuł dr Bursche, chociaż jest solidnym wyłożeniem pewnego punktu widzenia nie może jednak nie spotkać się z polemiką z naszej strony. Wynika to chociażby z głównej tezy, wokół której obudowana jest całość wywodu; "milczącym winowajcą [tytułowego konfliktu] jest prawo". Jest to twierdzenie dosyć przewrotne, ponieważ przyczyną konfliktu konserwatorów i poszukiwaczy przygód z wykrywaczem w ręku nie jest prawo samo z siebie, a jego łamanie przez tych drugich. Artykuły w rodzaju omawianego utwierdzają jednak ich w przekonaniu, że są ofiarami urzędników strzegących ustaw jakoby wzorowanych na radzieckich. Koronnym dowodem na to miałyby być ustawowe prawo Państwa do ruchomych zabytków archeologicznych, prawo, które autor wywodzi z "systemu ideologicznego, polegającego m.in. na ogra-

niczeniu wszelkimi sposobami własności prywatnej". Dziwi takie postawienie kwestii własności zabytków archeologicznych przez osobę posiadającą wiedzę o europejskich regulacjach w tej dziedzinie. Dr Bursche powołuje się, np. na ustawodawstwo duńskie i regułę "Danefae" (prawo króla do skarbu, które sformułowano na piśmie po raz pierwszy w połowie XIII w. w tzw. Prawie Jutlandzkim, po czym kilkakrotnie powtarzano je w kolejnych edyktach królewskich), którą zawarto w ustawie o muzeach z 1984 r., a która brzmi: "Przedmioty z przeszłości, włączając w to monety znalezione w Danii, do których nikt nie jest w stanie udowodnić swego prawa, są Danefae, jeśli wykonane są z materiałów szlachetnych lub mają specjalną wartość dla dziedzictwa kulturowego.

2. Danefae należy do Państwa. Każda osoba, która odnajdzie Danefae, albo, która wejdzie w jego posiadanie powinna natychmiast dostarczyć je Generalnemu Konserwatorowi Starożytności (Rigsantikvarowi)." Jak jasno widać w Danii, w kraju, w którym obecne Muzeum Narodowe założono w 1807 r., a w którym demokracja rozwija się od 1848 r., Państwo wciąż strzeże swych praw, mimo iż własność prywatna jest tam święta. Niewątpliwie nieprawdziwa jest zawarta w artykule informacja, iż społeczeństwo duńskie "przestało przestrzegać swego własnego prawa", przystając na skupowanie zabytków archeologicznych przez muzea po cenach rynkowych. Nic bardziej mylnego - w Danii nie istnieje wolny rynek Danefae. Zgodnie z odwiecznym prawem wszystkie zabytki wchodzące w skład tej kategorii przejmowane są z muzeów lokalnych przez Rigsantikvara, w którego imieniu działa Muzeum Narodowe. Zabytki oceniane są przez rzeczoznawców z działu Prehistorii (Danske Oldtid), którzy określają wysokość nagrody, jaka wypłacona zostanie z budżetu Państwa znalazcy. Tylko zła wola nie pozwala dojrzeć analogii do reguł postępowania przyjętych w Polsce, gdzie wyceny znalezisk i wykopalisk archeologicznych dokonują rzeczoznawcy ministra kultury, a nagrody wypłacane są ze środków budżetowych, którymi dysponuje Generalny Konserwator Zabytków. Jak widać wol-

ny rynek zabytków archeologicznych nie jest zjawiskiem, które byłoby w całości akceptowane nawet w krajach o tak rozwiniętych tradycjach starożytnych jak Dania. Warto przytoczyć tutaj również przykłady rozwiązania problemu własności ruchomych zabytków archeologicznych w innych krajach europejskich, np.:

Finlandia - własnością Państwa są wszystkie zabytki pochodzące z obiektów wpisanych do rejestru, zabytki sprzed 100 lat muszą być przedkładane Narodowemu Zarządowi Starożytności, który decyduje o ich ewentualnym przejęciu za nagrodą.

Grecja - zabytki obowiązkowo przekazywane są muzeom państwowym, tylko wyjątkowo połowa znalezisk trafia do osoby, która prywatnie finansowała badania, Hiszpania - właścicielem zabytków jest Państwo - za przypadkowe znaleziska wypłaca się nagrodę w wysokości połowy ich szacunkowej wartości,

Irlandia - właścicielem zabytków jest Państwo,

Niemcy - generalnie obowiązuje zasada "Schatzregal" (prawo do skarbu) - w większości Landów mienie, którego właściciela nie można określić należy do Państwa - w Bawarii jest inaczej - do połowy prawa ma właściciel terenu, a do drugiej połowy znalazca.

Norwegia - Państwo jest właścicielem zabytków sprzed roku 1536, monet sprzed 1660 r. oraz zabytków kultury lapońskiej sprzed 100 lat,

Wielka Brytania - obowiązuje zasada "treasure trove" - Korona jest właścicielem złota, srebra i monet - inne znaleziska należą do właściciela terenu - Państwo może je przejąć tylko za zgodą właściciela, wypłacając pełną ich wartość.

Jak wynika z powyższego wyliczenia przypisanie polskiej ustawie z 15 lutego 1962 r. o ochronie dóbr kultury (nota bene od 1997 r. nie jest to już ustawa o ochronie dóbr kultury i muzeach) regulacji mających korzenie w linii ideologicznej PRL jest błędem, który nie powinien pojawiać się w wypowiedziach tak uznanego archeologa, jakim jest dr Bursche. Po prostu w Polsce, która jest republiką, regale stało się prawem Państwa do zabytków archeologicznych, które

zupełności nie narusza regulacji obowiązujących w krajach Unii Europejskiej. Zupełnie nieuzasadnione jest również nawoływanie do takich zmian w prawie, które dawałyby przypadkowemu znalazcy zabytku archeologicznego prawo do rekompensaty, gdyż obecne przepisy przewidują nagrody za znaleziska i wykopaliska archeologiczne, które przekazane zostaną do muzeum lub Służby Ochrony Zabytków. Tryb udzielania nagród reguluje rozporządzenie Ministra Kultury i Sztuki z dnia 10 października 1995 r. w sprawie trybu, rodzaju i wysokości udzielania nagród za znaleziska i wykopaliska archeologiczne (Dz. U. Nr 20 poz. 580). Słuszna jednak jest uwaga dr Bursche, iż nagrody takie należeć się powinny przypadkowym znalazcom - dokładnie według tej reguły postępuje Generalny Konserwator Zabytków, odmawiając wnioskowania do Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego o nagrody dla tych, którzy swych odkryć dokonują przy użyciu wykrywacza metali. Trudno bowiem nazywać przypadkowym znalezisko, które dokonane zostaje podczas metodycznego przeszukiwania terenu przy użyciu narzędzia, uznanego przez autora omawianego artykułu za niezbędne narzędzie metodycznie prowadzonych prac archeologicznych. Dr Bursche zarzuca polskiemu prawodawstwu brak jasnego uregulowania zasad użytkowania wykrywacza metali. Problem ten istotnie zasługuje na ostateczne rozwiązanie i to zgodnie z umowami międzynarodowymi, na nieprzestrzeganie których w Polsce powołuje się autor. Niestety, nie zostały one wymienione, ale domyślać można się, iż chodzi tutaj o Europejską konwencję o ochronie dziedzictwa archeologicznego, która nakazuje: "uzależnienie od specjalnego wcześniejszego upoważnienia, jeżeli jest ono przewidziane przez prawo wewnętrzne danego państwa, użycie wykrywacza metalu (...) w poszukiwawczych pracach archeologicznych". Regulacje zgodne z duchem Konwencji przewiduje rządowy projekt ustawy o zabytkach, która trafił do Sejmu i ma szansę zastąpić tak krytykowaną przez dr. Bursche ustawę o ochronie dóbr kultury. Wynika z nich, iż na użytkowanie wykrywacza w celach poszukiwania zabytków należało będzie uzyskać zezwolenie wojewódzkiego konserwatora zabytków. Krytyka obecnego prawa wytyka również brak uregulowania statusu "amatora z wykrywaczem". Chciałoby się czegoś amatorstwo owo miało by dotyczyć, ponieważ jeśli archeologii, to skupiać powinno się wokół istniejących placówek archeologicznych i wiązać się ze współpracą z nimi w ramach obowiązującego prawa. Przykładem pozytywnej roli amatorów w archeologii jest często wzmiankowana przez dr Bursche Dania, gdzie bardzo silnie zaznacza swe istnienie związana w 1990 r. Unia Duńskich Archeologów Amatorów (Sammenlutningen af Danske Amatorarkaeologer), która skupia ludzi traktujących to przedsięwzięcie jako szlachetne hobby. Biorą oni

udział w programach badań rozpoznawczych oraz czasem w badaniach wykopaliskowych, bardzo ważne jest ich zaangażowanie w nadzorowanie zabytków rejestrowych i raportowanie na ten temat do odpowiednich instytucji. Archeolodzy amatorzy skupieni są w około 30 stowarzyszeniach, które najczęściej współpracują z lokalnymi muzeami. Archeolodzy zawodowi wykorzystują ich świetną znajomość lokalnych uwarunkowań, geografii, geologii i topografii terenu. Archeolodzy amatorzy wydają własne czasopismo "Arkaologi for alle" (Archeologia dla wszystkich), w którym poruszają wewnętrzne sprawy organizacyjne oraz ogólnie archeologiczne - autorami niektórych z artykułów są zawodowi archeolodzy np. z muzeów regionalnych, z Centrum Archeologii Morskiej w Roskilde, czy z Agencji Lasów i Przyrody. Stowarzyszenie posiada także swoją stronę internetową (www.viser.dk/sda/), która posiada szereg połączeń z innymi stronami, w tym ze stronami dotyczącymi regulacji prawnych w ochronie zabytków oraz ze stroną Sekretariatu Archeologicznego Riksanstikvara (RAS). Wydaje się, że nie ma powodu by polscy amatorzy nie włączali się w prace wykopaliskowe prowadzone przez profesjonalistów - prowadzi się ich w Polsce co roku ponad 2000 - wielu archeologów z pewnością skorzystałoby z pomocy doświadczonych amatorów. Nigdzie bowiem w Europie nie jest bowiem tak, by amatorzy prowadzili samodzielne i niezależne projekty badawcze. Pamiętajmy bowiem, że dziedzictwo archeologiczne i szerzej, dziedzictwo kulturowe (do którego zaliczają się i militaria) jest zasobem delikatnym i nieodnawialnym, co determinuje priorytet jego ochrony przed bezrefleksyjną eksploatacją. Kończąc tę polemikę zauważyć wypada, że argumentacja dr Bursche, chociaż bogata w przykłady i dążąca wyraźnie do obiektywizacji spojrzenia na problem, budowana jest wobec błędnego założenia, że najistotniejszym zagrożeniem dla zabytków archeologicznych jest utrzymywanie państwowej własności znalezisk archeologicznych. Jak staraliśmy się dowieść jest to teza nieuzasadniona, a brać się może z przekonania, że problem braków edukacyjnych społeczeństwa i jego dopiero budujący się szacunek dla spadku przeszłości rozwiązać można przepisem, który podstawy te motywować będzie perspektywa zysków materialnych. Wydaje się, że problem tkwi jednak w pilnej potrzebie intensyfikacji działań popularyzatorskich i edukacyjnych przez instytucje i organizacje archeologiczne, w tym i uniwersytety i Służbę Ochrony Zabytków, a zwłaszcza w włączaniu się ich w prace instytucji i stowarzyszeń pozarządowych skupiających ludzi poszukujących aktywnego kontaktu z przeszłością.

Piotr Szpanowski
- pracownik Urzędu Generalnego
Konserwatora Zabytków, archeolog

Dokończenie ze str 24

2. Tymczasowe zajęcie zbytku ruchomego polega na przekazaniu go, w zależności od przedmiotu, do muzeum, archiwum lub biblioteki, a w stosunku do nieruchomości wpisanej do rejestru zabytków, na oddanie jej w zarząd właściwej jednostce samorządu terytorialnego.

3. W przypadku trwałego zagrożenia zabytku ruchomego, może być on przejęty na rzecz Skarbu Państwa, na podstawie decyzji wojewódzkiego konserwatora zabytków, wyłączonej na rzecz Skarbu Państwa lub gminy właściwej ze względu na miejsce położenia zabytku, na podstawie przepisów o gospodarce nieruchomościami.

Art. 56

1. Zezwolenia wojewódzkiego konserwatora zabytków wymaga:

1) Prowadzenie badań archeologicznych oraz poszukiwań archeologicznych

2) Prowadzenie poszukiwań przedmiotów o charakterze zabytkowym lub innych poszukiwań w celu ujawniania zaginionych lub ukrytych dóbr kultury,

3) używanie w celach określonych w pkt. 1 lub 2 elektronicznych i technicznych urządzeń poszukiwawczych oraz sprzętu do nurkowania.

Art. 61

1. Wojewódzki konserwator zabytków po stwierdzeniu zabytkowego charakteru znaleziska organizuje prace zabezpieczające, a w razie potrzeby również odpowiednie badania archeologiczne.

2. Prawo uzyskania w depozyt lub na własność z zastrzeżeniem ust.3. przedmiotów pochodzących ze znalezisk oraz badań archeologicznych przysługuje: gminie, instytucji kultury, znalazcy lub właścicielowi nieruchomości, na której dokonano ujawnienia, jeśli mają one znaczenie dla historii i tradycji lokalnej.

3. Znaleziska oraz przedmioty uzyskane w wyniku badań archeologicznych stanowią własność Skarbu Państwa, a o przeznaczeniu archeologicznych dóbr kultury orzeka w drodze decyzji wojewódzki konserwator zabytków, przekazując je w depozyt lub na własność muzeum bądź innej instytucji kultury.

4. Obowiązkiem osób prowadzących badania archeologiczne jest nieodpłatne przekazanie wojewódzkiemu konserwatorowi zabytków dokumentacji tych badań.

Art. 62

1. W sprawach własności i wynagrodzenia dla znalazcy przedmiotów stanowiących dobra kultury stosuje się odpowiednio art. 189 kodeksu cywilnego z zastrzeżeniem ust.2.

2. Znalazcy archeologicznych dóbr kultury, który dopełnił obowiązków określonych w art. 60 ust. 1, przysługuje nagroda

3. Minister właściwy do spraw kultury i ochrony dziedzictwa narodowego określi, w drodze rozporządzenia, warunki i tryb przyznawania nagród i ich rodzaje, a także wysokość oraz źródła finansowania nagród pieniężnych, przypadki przyznawania nagród rzeczowych i dyplomów oraz wskaże osoby, którym nagroda nie przysługuje

Art. 99

Zabytek może być wyłączonej tylko wtedy, gdy jego właściciel nie wykonuje obowiązków określonych w ustawie albo, jeżeli interes publiczny tego wymaga, w szczególności w celu przeprowadzania badań naukowych, zabezpieczenia przed kradzieżą, nielegalnym wywozem za granicę, zniszczeniem lub utratą w inny sposób oraz w celu udostępnienia zabytków ogółowi.

Art. 100

Przy wyłączeniu nieruchomości wpisanej do rejestru zabytków stosuje się przepisy o gospodarce nieruchomościami.

Art. 101

1. O wyłączeniu zabytku ruchomego oraz o odszkodowaniu z tego tytułu orzeka Generalny Konserwator Zabytków.

Świat nietoperzy, duchów i tajemnic

Przyszło lato i wakacje, a wraz z nimi pora na odkrywcze wyprawy. Wśród wielu miejsc wartych zobaczenia chciałabym przedstawić te, które budzą szczególny dreszczyk emocji, czyli lochy, sztolnie i podziemia. Surfując tylko po polskich stronach internetowych doszłam do wniosku, że nasz kraj jest podziurawiony jak szwajcarski ser, a każde niemal miasteczko ma jakieś podziemia czy lochy. Choć tylko niektóre z nich są oficjalnie przeznaczone do zwiedzania, i tak nie wystarczy Wam jednego urlopu, aby je wszystkie odwiedzić.

Na oficjalnej stronie Stowarzyszenia "Podziemne Trasy Turystyczne Polski" <http://www.ptt.pl/> przedstawionych jest 35 podziemnych tras turystycznych podzielonych na jaskinie, kopalnie i sztolnie, piwnice i składy oraz obiekty pomilitarne. Każdy z obiektów jest krótko opisany, ale brakuje tutaj praktycznych informacji na temat tego co, kiedy i jak można zwiedzić. Przydałaby się też mapki, aby amator podziemi mógł zlokalizować interesujące go obiekty. Autorzy strony powiadają, że jest ona w trakcie przebudowy, może więc doczekamy się takich udogodnień. Jeśli chcielibyśmy poznać więcej szczegółów na temat tego, co czeka nas pod ziemią, trzeba poszukać w sieci samemu.

Obiektami niewątpliwie podziemnymi są jaskinie. Wprawdzie te, w których wytyczono trasy turystyczne nie kryją w zamaskowanych korytarzach poniemieckich depozytów, złota czy śladów produkcji tajnych broni, ale i tak warto je odwiedzić - gwarantuję, że każda z nich ma swoje tajemnice. Na stronie http://bg.univ.gda.pl/~dbart/turyst_p.html przedstawiono mapkę Polski z lokalizacją wszystkich jaskiń, które możecie odwiedzić, a ciekawe opisy i zdjęcia skutecznie do tego zachęcają. Znajdziecie tu godziny otwarcia, dokładne opisy tras, a nawet schematyczne plany korytarzy. Dowiedziecie się, że oprócz znanej wszystkim Jaskini Raj oraz Jaskini Niedźwiedziej istnieją jeszcze inne, mniej znane, lecz warte zwiedzenia. Kolejnymi obiektami podziemnymi są kopalnie i sztolnie. Prym wśród nich wiedzie oczywiście słynna na cały świat kopalnia soli Wieliczka, która w interesujący sposób reklamuje się na stronie <http://www.kopalnia-wieliczka.pl/>. Poznacie tu ze szczegółami dostępną dla turystów trasę, zajrzycie tam, gdzie nikogo nie wpuszczają, poczytacie o legendach i ciekawostkach. Jeśli podczas trudnych wypraw eksploracyjnych zapadliście na zdrowiu - może skorzystacie z... podziemnego sanatorium? Jeśli po wizycie w Wieliczce czujecie się jeszcze mało "zasole-

ni", możecie udać się do pobliskiej Bochni lub zwiedzić ją wirtualnie na stronie <http://www.kopalnia.hosting.pl/index1.html>. A teraz coś dla materialistów, którzy wyznają zasadę, że nie cenniejszego nad prawdziwe złoto. W kopalni w Złotym Stoku zrozumiecie dlaczego ten kruszec jest tak cenny, a strona <http://www.kopalnia.pulsar.net.pl/> dowodzi, że warto poświęcić jeden dzień na poznanie polskiego Eldorado. Równie cenne, choć z innego powodu były kopaliny wydobywane w Kowarach. Kto boi się śmiertelności promieniowania rudy uranowej i grasujących tam duchów może zajrzeć na strony http://www.karkonosze.info.pl/wycieczki/sztolnie_kowary.htm lub <http://republika.pl/jacotka/sztolnie.htm>. Niestety, nie pokazują one zbyt wiele, więc pozostają nam osobiste odwiedziny tego pełnego tajemnic miejsca. Więcej informacji o polskich kopalniach możecie przeczytać na <http://www.ptt.pl/>. Ja polecam jeszcze jedną, dla miłośników wrażeń specjalnych - <http://www.promarcos.com.pl/smzt/kopalnia.htm>

Ponieważ po dowiedzeniu tej strony mrocznie się jakoś zrobiło i strasznie, więc dla odmiany udajmy się do kilku miast, choć nie zaznamy tam słońca, bo będziemy zwiedzać ich podziemia.

Zapraszam zatem do Jarosławia: <http://info.jaroslaw.pl/jaroslaw/podziemia/index.html>, Kłodzka: <http://www.sebz.hg.pl/KLODZKO.HTM>, <http://www.kudowa.pl/abc/turystyka/klodzko/trasa/index.html>, Chełma: <http://republika.pl/piokosio/chelm/zobaczyc/podziemia/podziemia.htm>, http://republika.pl/chelm_miasto/atracje.htm, a także Sandomierza: <http://www.sandomierzbc.hg.pl/podziemia.htm>. Tyle tras pod miastami znalazłam w internecie, kolejne na pewno czekają na swoich odkrywców. Przyszedł na koniec czas na deser, na miejsca szczególnie ulubione przez eksploratorów. Obiekty pomilitarne, bo o nich właśnie mowa kryją w sobie ogrom tajemnic, ale i też wiele niebezpieczeństw.

Z tego powodu, choć jest w naszym kraju mnóstwo takich obiektów, to trasy turystyczne powstały tylko w kilku. Najbardziej znane to labirynty Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego, gdzie wytrwali turyści mogą spędzić pod ziemią nawet kilkanaście godzin. Ciekawie zapowiada się oficjalna strona trasy turystycznej, <http://www.mru.pl/>

Niestety, całość jest jeszcze w przygotowaniu. Więcej możemy zobaczyć na stronie <http://republika.pl/owb/>, gdzie możemy zapoznać się szczegółowo z historią, konstrukcją, przeznaczeniem i obecnym wyglądem obiektu. Wspaniałą stroną jest <http://republika.pl/pbro1/index.htm>. To wręcz serwis tematyczny, bardzo aktualny, informujący o wszystkim, co ma związek z trasą turystyczną MRU i z całym obiektem. O Międzyrzeckim Rejonie Umocnionym znajdziecie w internecie mnóstwo informacji, wystarczy tylko trochę poszukać. I wreszcie ostatni w naszej podróży, ale kto wie czy nie najpopularniejszy - kompleks Riese, poniemieckie korytarze i sztolnie wykute w skałach Gór Sowich. Kompleks ten składa się z wielu podziemnych obiektów, lecz do zwiedzania udostępniono tylko dwa: Rzeczkę i Osówkę. Od tych miejsc zaczęła się dla wielu poszukiwaczy przygoda z eksploracją. Nie wierzę, aby ktoś z Was jeszcze tam nie był, więc tylko po to, aby przypomnieć sobie swoją pierwszą przygodę, zapraszam do odwiedzenia tylko dwóch z wielu miejsc w internecie, gdzie miłośnicy tych miejsc dzielą się swoją fascynacją z innymi: http://republika.pl/sebolcs/kompleksy_podziemne.htm oraz <http://www.astercity.net/~riese/hobby.htm>. Na tym zakończymy naszą wycieczkę po podziemiach, sztolniach i jaskiniach. Wiem, że większość ludzi kojarzy wakacje ze słońcem, plażą i morzem. Ale my jesteśmy specyficzną grupą i choć tajemnice potrafimy znaleźć wszędzie, to te mroczne miejsca zawsze będą przyciągały nas szczególnie.

DENAR

WYKRYWACZE
METALI
od 1994 r.



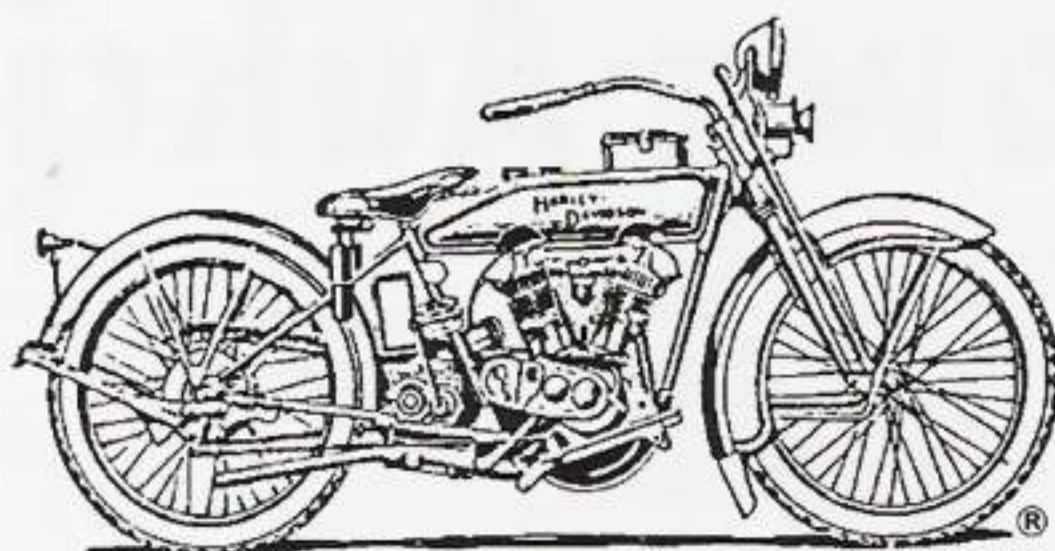
ul. Lipowa 6A/17
81-572 Gdynia
tel./fax (0-58) 781-08-89,
tel. kom. 0-602 224-228
denar@inetia.pl
denar.prv.pl

Autoryzowany dystrybutor:



NAJWIĘKSZA GIEŁDA KOLEKCJONERSKA W POLSCE

MOTO WETERAN BAZAR ŁÓDŹ 2001



6-7 LIPIEC
STADION SKS "START"
ŁÓDŹ UL. ŚW. TERESY 56/58
KOLEJNA GIEŁDA: 7-8 WRZESIEŃ 2001

SPRZEDASZ, KUPISZ, ZAMIENISZ
ZABYTKOWE SAMOCHODY I MOTOCYKLE
CZĘŚCI, AKCESORIA, LITERATURĘ
POJAZDY MILITARNE, MILITARIA
STAROCIE I WSZYSTKO,
CO DOTYCZY DAWNEJ TECHNIKI

INFORMACJA TELEFONICZNA:

0-42 6644433, 0-602 328837

OGŁOSZENIA DROBNE BEZPŁATNE

MILITARIA

Sprzedam militaria z Wojska Polskiego: manierki, menażki, łopatkę, pasy parczane, skórzane, maski p. gazowe, telefony polowe, opatrunki i inne - nowe. Wrocław 0 603-765-505

SPRZĘT

Sprzedam telefony polowe "TAJ 43" "MB66", łącznice polowe, bębny z nośnikami, kable - nowe. Wrocław 0 603-765-505

Kupię bagnety do "KBKAK", noże szturmowe, kaski "ORMO", "ZOMO", tarcze "MILICJA": hełmy z wojska. Wrocław 0 603-765-505

Sprzedam hełmy wzór 40/50 stan idealny, kompletne, w cenie 15 zł /szt. Wrocław 0 603-765-505

Profesjonalny Polski Wykrywacz Nowej Generacji, ten sprzęt czeka na Ciebie. Nowy, gwarancja pełen serwis szkolenie. Dodatkowe informacje pełna oferta 0 606-559-276 Jacek

Sprzedam wiertnice ręczną długości 4 m. Cena 80 zł + koszty przesyłki. Tel. 0 602 720 398

RÓŻNE

Sprzedam 4 koła do niemieckich transporterów opancerzonych Sd.Kfz. 250 i Sd. Kfz 251. Kraków. tel. 0-503-99-55-27

Radzieckie celowniki optyczne sprzed 1947 r.-kupię. Tel. (042) 688-92-21, e-mail KARDEMKO@poczta.onet.pl

Nawiążę kontakt z eksploratorami z Zielonej Góry i okolic, w celu współpracy. Tel. (068) 320 36 29 po 20

Nawiążę kontakt z poszukiwaczami militariów (nie tylko) z Bytomia w celu wspólnych wypraw w teren. Andrzej Las, ul. Energetyki 2b/5, 41-908 Bytom, tel. 0 608-387-778

Sprzedam odzież wojsk "US ARMY" - spodnie "WOODLAND" - od 50 zł, bluzy "WOODLAND", "PUSTYNNIA BURZA" od 35 zł, czapki, manierki i inne wyposażenie "US ARMY" - każda ilość. Wrocław tel. 0 603-765-505

Filmy video, książki oraz czasopisma o tematyce eksploracyjnej - skarby, fortyfikacje, podziemne fabryki. Mapy topograficzne pokrywające całą Polskę. Wykaz po otrzymaniu zaadresowanej koperty z naklejonym znacznikiem. "FILMY", ul. Kościuszki 39/7, 50-011 Wrocław

Sprzedam magnes do poszukiwań militariów, cena 50 zł. Tel. (042) 642-64-46 Łódź

PROFESJONALNE WYKRYWACZE METALI VLF

- tryb pracy statyczny z dyskryminacją oraz dynamiczny z dopasowaniem do gruntu
- lekka, ergonomiczna konstrukcja składana do transportu
- sonda o nowoczesnej konstrukcji wykonana z ABS
- wskaźnik siły sygnału pozwalający ocenić i skorygować efekt gruntowy
- zasięg maksymalny 180 cm
- skuteczny i wyraźny sygnał akustyczny z płynną regulacją progu działania
- układ elektroniczny wykonany w technologii SMD

START SYSTEM

84-240 REDA, UL. AKACJOWA 1,
Tel. (058) 678 63 60, kom. 0502 56 49 32



Na największej polskiej giełdzie internetowej ALLEGRO można kupić oprócz wielu przedmiotów użytkowych liczne egzemplarze kolekcjonerskie wystawione na sprzedaż. Pośród znaczków pocztowych, monet, kart telefonicznych i etykiet piwnych, liczną grupę w kategorii kolekcje zajmują szeroko pojęte militaria

Internetowa Aukcja Allegro

W Allegro kupować i sprzedawać może każdy, kto w internecie wejdzie na stronę www.allegro.pl. Cała procedura jest uproszczona do minimum, ale warto zacząć od zapoznania się z regulaminem aukcji. Internetowa giełda pozwala zorientować się w obowiązujących cenach i aktualnych trendach panujących wśród kolekcjonerów. Warto pamiętać, że ceny wywoławcze nie są tożsame z wartością oferowanych przedmiotów i często się zdarza, że jeden przedmiot jest wystawiany kilkakrotnie, a kolejne ceny bywają niższe od poprzednich. Uwaga: Allegro pobiera opłaty tylko za sprzedane przedmioty. Zależnie od kwoty jest to 1,25% lub 3% (im wyższa suma transakcji, tym prowizja jest niższa). Żadnym opłatom nie podlega rejestracja, kupowanie i wystawianie przedmiotów na sprzedaż.

Poniżej ceny niektórych z kilkuset wystawionych na aukcji militariów:



1. Rosyjska kłamra grenadierska z okresu I wojny światowej. Na awersie wyobrażenie wybuchającego granatu. Wykonana z mosiądzu. Cena 199 zł. Nie została sprzedana.

2. Niemieckie ładownice na naboje do karabinu Mauser. Sygnowane literami RBN. Skóra "groszkowana". Wewnątrz brak przegródek. Stan dobry. Cena 85 zł. Nie sprzedane.



3. Oryginalny, pierwszowojenny, austriacki, wojskowy opinacz. Wykonany z grubej, brezentowej tkaniny koloru czekoladowego. Brązowe, skórzane obszycia.

Wewnątrz skóra "groszkowana". Stan bardzo dobry. Cena 125 zł. Nie sprzedany.

4. Starannie wykonana replika kłamry ss. Sprzedana za 36 zł.



5. Oficerska szabla słowacka z okresu II wojny światowej. Od standardowej szabli czechosłowackiej różni się nałożoną tarczką herbową na kosz rękojeści, wykonaną z lekkiego żółtego metalu (na zdjęciu z lewej strony). Kosz z



dekorem roślinnym, tak zwany jaszczur na rękojeści, opleciony filigranem. Stan bardzo dobry bez rdzy. Pochwa i głownia niklowana z punktowymi odpryskami niklu. Na progu głowni sygnatury: CET oraz MILASZOWIC UND STOS - z drugiej strony. Długość całkowita szabli - 92 cm, długość głowni 78,5 cm, długość pochwy 81,5 cm. Została sprzedana za 600 zł.



6. Plecak amerykański wz. 1910. Wyprodukowany w 1918 r. (stempel). Stan idealny. Bez przetarć i plam. Poprzedni właściciel dodał do niego pokrowiec na manierkę produkcji brytyjskiej z okresu II wojny światowej. Na klapie mała odznaka z literami U.S. oraz numerem pułku. Plecaki tego samego wzoru były używane podczas II wojny światowej - ten jednak pochodzi jeszcze z I. Cena 100 zł. Nie sprzedany.

7. Czapka oficerska U. S. Army z okresu I wojny światowej. Lekkie uszkodzenia na obszyciu daszka i kilka dziurek wygryzionych przez mole na denku. Ogólnie dobry stan. Cena 100 zł. Nie została sprzedana.



8. Wojskowa mapa frontów na terenie Europy, w tym dotyczące terenów Polski, front od Rygi do Kowla, Kowel - Brody, Brody - Tarnopol. Mapy są w różnych skalach. Na odwrocie w punktach opisy do map. Wymiary 66,5 x 34 cm. Stan dobry. Sprzedana za 20.50 zł.

9. Mauser produkcji hiszpańskiej FABRICA DE ARMAS LA CORUÑA. Rok produkcji



1958, nr serii 2Q-8610. Kaliber 7,92 mm. Z certyfikatem oryginalności. Karabin pozbawiony cech użytkowych. Cena 3 000 zł. Nie sprzedany.



10. Koła do Messerschmitta BF 109 wraz z oryginalnymi oponami firmy "Continental". Stan dobry. Cena 2 500 zł. Nie sprzedane.

11. Duży niemiecki orzeł. Sprzedany za 25 zł.



12. Gogle używane w Polskich Siłach Zbrojnych na zachodzie. Oryginalne w metalowym pudełku. Żółte szkła, metalowa oprawa, oba szkła połączone skórzanym łącznikiem i metalowym ogniwem. Na elastycznej taśmie dwie przesuwne klamerki. Zostały sprzedane za 140 zł.



13. Oryginalny album z unikalnymi, prywatnymi zdjęciami oficera Wehrmachtu, 73 Inf. Reg. Ponad 250 rewelacyjnych zdjęć z kampanii wrześniowej. Wszystkie zdjęcia są podpisane datą, godziną, miejscowością, nazwiskami żołnierzy. Pierwsze zdjęcia datowane są na 26 sierpnia 1939 r. - ostatnie na 10 października 1939 r. Fotografie zostały zrobione w trakcie walk na Śląsku, forsowania Warty, bitwy nad Bzurą oraz Działoszyn, Widawka, Bełchatów, Łódź, Babice, Warszawa, Modlin, Mokotów. Zdjęcia przedstawiają między innymi rozbite niemieckie czołgi, polskich jeńców, Żydów oraz polskie wyposażenie i oporządzenie. Prezentujemy dwa zdjęcia z albumu, który właściciel wycenił na 3 999 zł.



w punktach i salonach sieci **EMPIK, INMEDIO, GARMOND-Press i KOLPORTERA** w całej Polsce oraz w następujących miejscach:

Białowieża - PTTK Biuro Usług Turystycznych, ul. Kolejowa 17; "Nad Stawami", ul. Kolejowa (parking)

Będzin - Zamek Karczma „Czarny Rycerz”, Muzeum Zagłębia: Pałac ul. Świerczewskiego 15; Zamek, ul. Zamkowa 1

Berne Sulimow - al. Niepodległości 6, UMiG

Bydgoszcz - Muzeum Tradycji POW, ul. Czerkaska 2; sklep „Major”, ul. Sienkiewicza 1

Chorzów - Antyki - Starocie „Retro”, ul. 3 Maja 4; Księgarnia „Grandy”, ul. 3 Maja

Częstochowa - Antykwarnia - Księgarnia „Niezależna”, ul. Kopernika 4

Dąbrowa Gór. - Market Real - punkt sprzedaży prasy, ul. Katowicka 1; Sklep Taia, ul. Łukasieńskiego 11

* **Drzonów** - Lubuskie Muzeum Wojskowe

Gdańsk - sklep „Militaria”, ul. Czerwony Dwór (targowisko), hipermarket Geant (punkt sprzedaży prasy), Gdańska Księgarnia Naukowa s.c., ul. Łagiewniki 56; księgarnia „Ogród Sztuk”, ul. Piwna 48/49; księgarnia „Muza”, ul. Garniecka 33; „Auto - Gum”, ul. Hynka 101; Fundacja na Rzecz Odzyskania Zaginionych Dzieł Sztuki „Latebra”, ul. Arakowska 7/1 (wtorki i piątki od 18.00);

PePe Market, ul. Grunwaldzka 615; Paragraf 22, ul. Konopnickiej 38; Paragraf 22, ul. Łagiewniki 52; „Kompas”, ul. Miszewskiego 17; Gdański Dom Książki księgarnia nr 38, ul. Miszewskiego 16; Gabinet Numizmatyczny, ul. Szeroka 119/120

Gdynia - „Denar”, ul. Lipowa 6a/17; sklep „Desant”, ul. Portowa 4; hipermarket Makro (punkt sprzedaży prasy)

* **Gierłoż** - „Wilczy Szaniec”; „Perkoz” artykuły przemysłowe

* **Giżycko** - Twierdza Boyen, ul. Turystyczna 1

Golub - **Dobrzyń** - zamek

Grudziądz - sklep militarny, al. 23 Stycznia 12

* **Iznotta k. Mikołajek** - „Galindia” Mazurski eden

Jelcz-Laskowice - sklep „Familia”, ul. Oławska

Jelenia Góra - sklep „U Benia”, ul. Długa 11

Katowice - Księgarnia Dom Edukacyjny „Kronika”, al. Korfańskiego 5; Firma „Antikpol” ul. Gliwicka 89, Antyki, ul. Mariacka 2; Salon Antyków, ul. Stawowa 9; Antykwariat Dzieł Sztuki Dawnej „Lamus”, ul. Batorego 10

Kielce - Antykwariat „Filar”, ul. Alabastrowa 98

Konin - Księgarnia „MAWI”, ul. 3 Maja 2

Kowary - sztolnia

Kraków - „Arsenal”, ul. Floriańska 20; Antyki Militaria, ul. Felicjanek 17 (www.militariaantyki.com.pl)

Krosno - „Army Shop”, ul. Piłsudskiego 18

Łódź - Księgarnia „Gedania”, ul. Pojezińska 2/6; Księgarnia Wojskowa, ul. Tuwima 34; Łódzka Księgarnia Niezależna, ul. Piotrkowska 102; Księgarnia „Nike”, ul. A. Struga 3; Księgarnia Ossolineum, ul. Piotrkowska 181

* **Malbork (zamek)** - „Krispol” artykuły przemysłowe

Niedzica - zamek

Olsztyn - Muzeum Warmii i Mazur w Olsztynie, ul. Zamkowa 2; Dom „Gazety Olsztyńskiej”, Targ Rybny 1; Muzeum Bitwy Grunwaldzkiej w Stębarku; Muzeum w Lidzbarku Warmińskim, pl. Zamkowy 1; Muzeum im J.G. Herdera w Morągu, ul. Dąbrowskiego 54; Muzeum w Mrągowie, ul. Ratuszowa 5; Galeria Zamek w Reszlu, ul. Podzamcze 3, Muzeum Mazurskie w Szczytnie, ul. Sienkiewicza 1; Muzeum Przyrody, ul. Metalowa 5, Olsztyn

Osowiec - twierdza (kontakt: Mirosław Worona)

Osówka - Podziemna Trasa Turystyczna w Górach Sowich

Otrębusy - Muzeum Motoryzacji, ul. Warszawska 21

Poznań - Księgarnia „Dobra Książka”, pl. Wielkopolski 4; Księgarnia „Militarium”, ul. Libelta 3

Przemysł - Centrum Inf. Turystycznej, Rynek 26

Rzeczka - Podziemna Trasa Turystyczna w Górach Sowich

Sanok - ul. II Pułku Strzelców Podhalańskich 24

Skarżysko Kamienna - Muzeum Orła Białego, ul. Słoneczna 90

Sosnowiec - Antyki, ul. Targowa 8; Market Achuan - salon sprzedaży prasy, ul. Zuzanny 20

* **Srokowo k. Węgorzewa** - Smażalnia „U Rybaka”

Szczecin - Kiosk Przemysłowo-Spożywczy „Mati”, ul. Jasna 82; punkt Toto, ul. Jasna 15

Szklarska Poręba - Muzeum Ziemi, J. Naumowicz, Szosa Jeleniogórska 9

Świdnica - T.W. „Nowinka”, ul. Franciszkańska 3

Tomaszów Mazowiecki - Muzeum Regionalne

Walim - Zakład Usług Turystycznych, ul. 3 Maja 26

Wałbrzych - sklep Kadwa, ul. Mickiewicza, Zamek Książ

Wałcz - „Bar u Majora”

Wambierzyce - Skansen, ul. Wiejska 52

Warszawa - „Pelta”, ul. Świętokrzyska 16; Muzeum Kolejnictwa, ul. Towarowa 1; księgarnia „Igli-ca”, ul. Okrąg 12; „Azymut”, ul. Corazkiego 4; sklep Mapa, ul. Ostrobramska 109

Wrocław - Centrum Informacji Turystycznej, Rynek 14; Księgarnia Ossolineum, Rynek 6; Księgarnia Marco Polo, ul. Wyszyńskiego 96; Księgarnia „PARAGRAF”, ul. Krupnicza 6/8; Księgarnia Podróżnicza, ul. Wita Stwosza 19;

sklep „Dorota”, ul. Agrestowa 6; sklep ul. Damrota 53; Muzeum Miejskie Wrocławia - Księgarnia, pl. Hirsfelda 16/17; Księgarnia „Sfera”, ul. Szczytnicka 50/52; Dworzec PKP i PKS; „Feniks”, stoisko kolekcjonerskie na IV piętrze, Rynek; Księgarnia Wydawnictwa Dolnośląskiego ul. Świdnicka 28; „Skalnik”, ul. Polaka 20

Zabrze - Muzeum Górnictwa Węglowego, ul. 3 Maja 19

Zagórze Śląskie - Zamek Grodno

Zamość - Salon Antyków „Kolekcjoner”, ul. Rynek Wielki 3

Zielona Góra - Księgarnia WSP, ul. Lisowskiego 15

Złotoryja - Muzeum Złota, ul. Zaulek 1

Złoty Stok - Kopalnia Złota, ul. Złota 7

* - Punkty sezonowe

Warunki prenumeraty

- Prenumeratę przyjmujemy na okres do 6 miesięcy (z zaznaczeniem od którego numeru powinna zacząć się prenumerata)
- Prenumeratę należy opłacić w banku lub na pocztę
- Koszty manipulacyjne związane z dokonaniem wpłat w banku lub na pocztę ponosi zamawiający
- Koszt przesyłki na terenie kraju ponosi wydawca
- Cena jednego egzemplarza w prenumeracie wynosi 7,00 zł, 7x6 egz. = 42 zł
- Pytania dotyczące prenumeraty prosimy kierować listownie pod adresem Redakcji, telefonicznie lub pocztą elektroniczną.

Numery archiwalne

Do nabycia są jeszcze numery: marzec 2000 nr 3 (20); kwiecień 2000 nr 4 (21), **Cena 6.00 zł za 1 egz.** Numery: grudzień 2000 nr 7(24); styczeń 2001 nr 1(25), luty 2001 nr 2(26), marzec 2001 nr 3(27), kwiecień 2001 nr 4(28), maj 2001 nr 5(29), czerwiec 2001 nr 6(30). **Cena 7,00 zł za 1 egz.** Prosimy o telefoniczny kontakt z Redakcją: tel. (0-71) 339-90-76

„Instytut Badań Historycznych i Krajoznawczych” Sp. z o.o.

62-510 Konin, ul. Spółdzielców 3/119

WBK S.A. o/ Wrocław

10901522-1617485-128-00-0

Księgarnia ODKRYWCY

Witajcie!

W tym miesiącu nie znajdziecie w Odkrywcy ulotki Księgarni. Wszystkie pozycje z poprzedniej, szóstej edycji są aktualne, natomiast nowości lipca drukujemy poniżej. Oczywiście jeśli ktoś nie posiada naszej aktualnej oferty może ją w każdej chwili zamówić, kontaktując się z nami telefonicznie, faxem, e-mailem lub listownie. Mam nadzieję, że zaafelowani letnimi odkrywczymi wyprawami nie zapomniacie o czytaniu!

Życzę Wam ciekawej lektury i pasjonujących poszukiwań.

Magda - Wasz księgarz

KSIĘGARNIA ODKRYWCY

Skr. Pocz. 2101, 90-959 Łódź 2

zamówienia tel. (42) 6898900 (czynne całą dobę!)

zamówienia fax (42) 6898901 (czynne całą dobę!)

e-mail: sklep@ksiegarnia-odkrywcy.pl

internet: www.ksiegarnia-odkrywcy.pl

biuro księgarni (42) 6898902

SMAKOWITE NOWOŚCI LIPCA

B026-6 L. Adamczewski, **Zatrzaśnięte wrota**, opr. miękka, str. 204, cena 25,50

Dziennikarz „Głosu Wielkopolskiego” zaprasza na kolejną podróż śladami tajemnic drugiej wojny światowej, ukrytych skarbów, pohitlerowskich fabryk zbro-

jeniowych i obiektów podziemnych oraz zagadek, które czekają na rozwiązanie.

C032-6 Z. Lalak, D. Jędrzejewski, **Niemiecka broń pancerna 1939-1945**, opr. twarda, str. 414, cena 47,50

Wyczerpujące, encyklopedyczne opracowanie dotyczące czołgów oraz samochodów i transporterów opancerzonych, używanych przez wojska niemieckie podczas II wojny światowej. Zaletą książki jest ukazanie poszczególnych pojazdów na tle działań wojennych, odtworzenie ich szlaków bojowych i historii toczonych przez nie walk. Mnóstwo archiwalnych zdjęć, rysunki techniczne i barwne tablice pozwalają na dokładne przybliżenie czytelnikom tego jak wyglądały i walczyły „stalowe potwory”.



F014-6 W. Głębiewicz, R. Matuszewski, T. Nowakowski, **Indywidualna broń strzelecka II wojny światowej**, opr. twarda, str. 196, format A4, cena 46,50

Książka prezentuje uzbrojenie, jakim dysponowali żołnierze wszystkich armii biorących



udział w wojnie. Zawiera przystępne opisy techniczne z szerokim kontekstem historycznym oraz rysunki i liczne fotografie, w tym dokumenty z działań bojowych. Materiał podzielono na cztery grupy tematyczne: karabiny i karabinki, pistolety maszynowe, pistolety i rewolwery oraz amunicję. W hasłach zawarto opisy budowy i działania broni, historię jej powstania i produkcji oraz cechy i oznaczenia fabryczne pozwalające rozpoznać i sklasyfikować np. znaleziony pistolet nawet przez osobę o małej znajomości uzbrojenia.

D031-6 K. Nowiński, **Niezwykłe miejsca w Polsce - przewodnik**, opr. miękka, str. 288, cena 34,90

Kolejny niezwykle przewodnik wydawnictwa Muza, opisujący tym razem niezwykle miejsca w Polsce. Znajdziecie tu zarówno mało znane, tajemnicze obiekty, miejsca i budowle, jak i te wydawałoby się do znudzenia, jak Wawel czy Wieliczka, przedstawione jednak w zupełnie nowy, odmienny sposób. Z tym przewodnikiem powędrujecie śladami dawnych kultur, szlakiem Inków, wikingów, tajemniczych malowideł i starych kapliczek.

Niezwykłe miejsca w Polsce





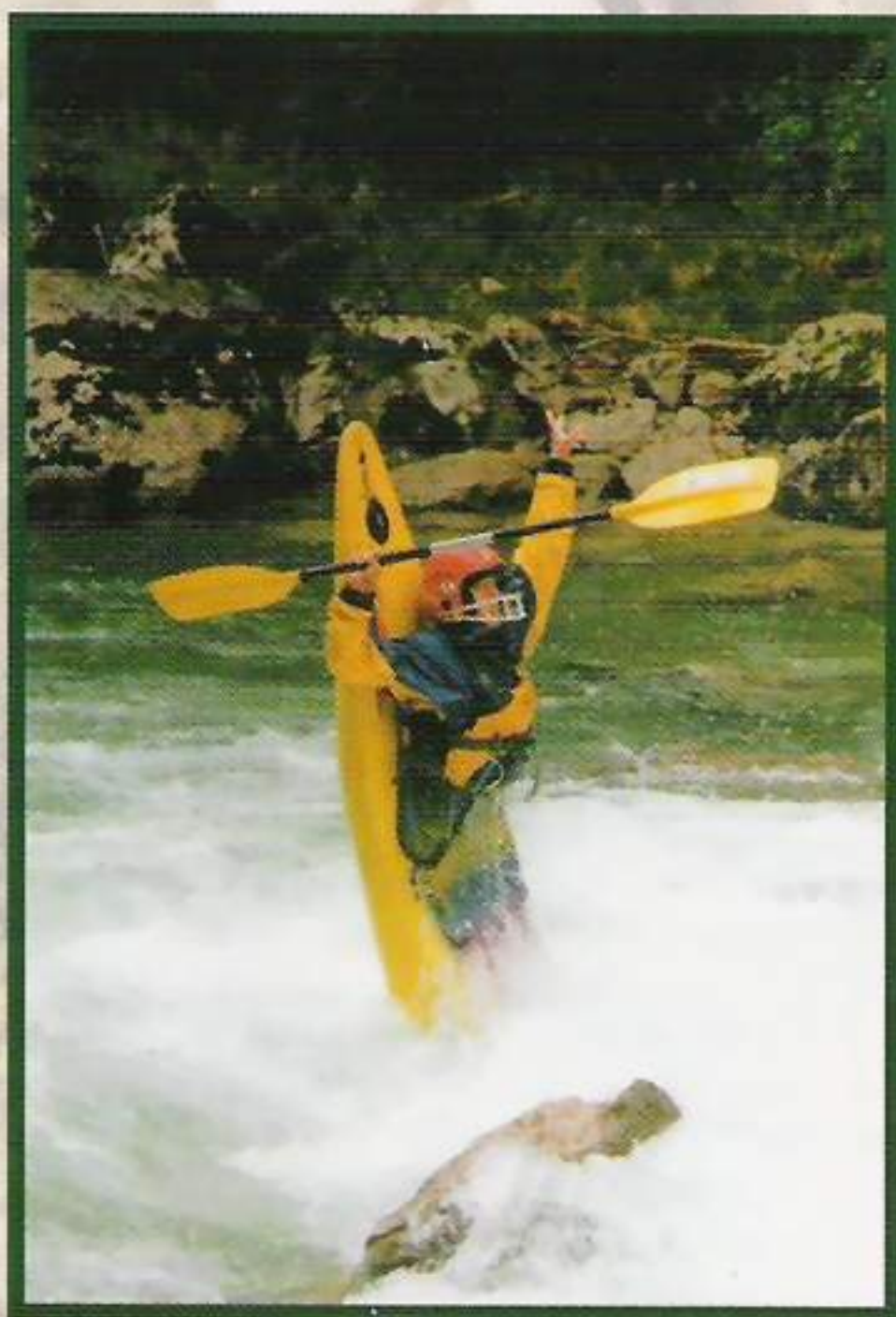
Ostatnia zagadka domu Romanowów

Mord dokonany na rodzinie cara Mikołaja to jedna z najbardziej ekscytujących historii XX wieku. Wkrótce po tej zagładzie zrodziła się legenda o cudownym ocaleniu księżnej Anastazji. Kilka lat później w Berlinie pojawiła się tajemnicza kobieta. Gdy przyznała, że jest córką cara, na wiele lat skłóciła żyjących członków rosyjskiej arystokracji. Jedni uważali ją za zręczną oszustkę, inni ufali jej bezgranicznie. Potrafili nawet przekonująco wyjaśnić fakt, że nie mówiła zbyt dobrze po rosyjsku.



Skarby znalezione w szlamie

„Kiedy w Gdańsku nad Motławą rozpoczęły się prace ziemne, gruchnęła plotka, która wywołała prawdziwą gorączkę skarbową. Po Trójmieście krążyły legendy o znajdowanych przez robotników monetach, szablach i muszkietach. Na reakcję nie trzeba było długo czekać, bo cała brać eksploracyjna popędziła taplać się w błocie. Mnie też tam nie zabrakło. Uzbrojony w detektor metali i łopatę, obserwowałem każdą kupę szlamu, którą koparka wydobywała na brzeg. Thusta, cuchnąca maź była nafaszerowana ogromną ilością śmieci, co skutecznie utrudniało prace z wykrywaczem. Mimo to przy odrobinie szczęścia można było znaleźć jakiś skarb” - opowiada Remigiusz Pacer, poszukiwacz z Gdańska.



Szaleństwo w górskich rzekach

Marzeniem wielu prawdziwych mężczyzn jest spływ kanionem Colorado albo Rio Colca. Podróż nurtem spienionej górskiej rzeki w kruchej i wywrotnej łupinie kajaka dostarcza przeżyć, jakich próżno szukać płynąc leniwym nurtem mazurskich rzek. Ci, którzy zakosztowali dreszczyku emocji podczas kajakerskiej wyprawy na Dunajcu lub Białce, szybko połknęli bakcyła tej niezwykle przygody. Doświadczeni miłośnicy tzw. White Water, czyli Białej Wody potrafią dokonywać ekwilibrystycznych ewolucji, stawiając kajak pionowo do lustra wody lub niczym diabelski młyn kręcić się w miejscu.

Ponadto:

Tarcze średniowiecznych wojowników

Cesarstwo Zachodniorzymskie, które unicestwiała wielkie nacje, samo padło pod ciosami uzbrojonych najeźdźców. Rzym zapomniał o żelaznej zasadzie, że narzędziem każdej polityki jest wojna. Jej nieodrodnymi dziećmi są jak najlepiej wyposażeni i wyszkoleni w walce wojownicy, w rękach których tarcze zajmowały wcale nie poślednią rolę. Najsilniejszy organizm polityczny na gruzach Imperium stworzyli Frankowie. Tarcze, jakich wtedy używali poddani Meroweuszów prawie niczym nie różniły się od tych, jakich używali wszyscy Germanie w okresie rzymskim. Walczyli nimi też anglosaksońscy earlowie Alfreda Wielkiego i wikińscy hirdmenni Olafa Trygvassona.

Nadmorskie czołgowisko

Weterani II wojny światowej, wojny w Korei i w Zatoce Perskiej pojawili się w Darłowie. Ostro tankowali paliwo i waczeli wciąż sprawnymi silnikami. Już po raz trzeci właściciele i miłośnicy pojazdów militarnych spotkali się, aby zaprezentować swoje maszyny, wymienić się doświadczeniami i poplotkować o nowinkach ukazujących się na tym specyficznym rynku. Nie zabrakło oczywiście prób terenowych na czołgowisku i na plaży. Po raz pierwszy pojawiła się ekipa Bundeswehry. A gwiazdą zlotu był Jack Littlefield z Kalifornii, właściciel 160 czołgów, stanowiących największą prywatną kolekcję na świecie.